

Gerald Durrell

Przeciążona arka

(The Overloaded Ark)

Przełożyła Irena Doleżal-Nowicka

Wszelkie istoty, w których
było tchnienie życia, weszły
po parze do Noego, do arki.
(Rdz 7,15)

*Johnowi Yeallandowi,
żeby upamiętnić wszystkie ptaki
i zwierzęta, które nie powinny wyginąć.*
Podziękowania autora

Obaj, John Yealland i ja, chcielibyśmy podziękować następującym osobom, które podczas naszego pobytu w Kamerunie na wiele sposobów służyły nam radą i pomocą.

Dziękujemy panom Bakerowi i Milesome'owi z United Africa Company w Mamfe oraz panu Coonowi z Victorii, którzy rozwiązali wiele naszych problemów dotyczących zaopatrzenia i transportu.

Przedstawicielom linii oceanicznych Elders and Fyffes zarówno w Victorii, jak i w Tico, którzy zapewnili powrotny przejazd nam i naszym zwierzętom, oraz kapitanowi i załodze statku, którzy robili wszystko, co w ich mocy, żeby nam ułatwić podróż do kraju.

Wielu urzędnikom w Kamerunie, a zwłaszcza panu Robinsonowi, zarządcy okręgu w Mamje, którzy pomagali nam w kłopotach.

Wielce też jesteśmy zobowiązani wielebnemu Paulowi Schiblerowi i jego żonie z misji Bazylea w Kumbie, którzy, kiedy u nich gościliśmy, uczynili dla nas chyba znacznie więcej niż inni.

Chcielibyśmy także podziękować wszystkim Afrykanom – naszemu osobistemu personelowi, jak też myśliwym, przewodnikom i tragarzom – bez których pracy i pomocy niewiele byśmy osiągnęli.

Na zakończenie chciałbym podziękować mojej żonie, która nie tylko pomogła mi opracować rękopis, ale odważnie wypowiadała krytyczne uwagi, choć nie było to bezpieczne.

Wprowadzenie

Jest to kronika sześciomiesięcznej wyprawy do wielkich dżungli kameruńskich w zachodniej Afryce, którą podjęliśmy wraz z moim towarzyszem. Cel jej był dwojaki: po pierwsze zdobyć i przetransportować do Anglii żywe okazy rzadkich ssaków, ptaków i gadów, zamieszkujących ten region; po drugie obaj od dawna marzyliśmy o tym, by poznać Afrykę, ale nie tę Afrykę białego człowieka, bitych dróg i koktajlbarów, gdzie ekspresowe pociągi przemierzają wielkie obszary, ogołocone z rodzimej flory i fauny wskutek „dobroczynnego” działania cywilizacji. Chcieliśmy poznać te nieliczne części kontynentu, które uniknęły tego losu i pozostały mniej więcej w takim stanie, w jakim były, kiedy Afrykę odkryto.

Była to nasza pierwsza wyprawa. Johna Yeallanda interesowały przede wszystkim ptaki, mnie natomiast ssaki i gady. Wspólnie zaplanowaliśmy to przedsięwzięcie i zdobyliśmy na nie pieniądze, ponieważ tego rodzaju wyprawa wymaga dużego kapitału, a ogrody zoologiczne, dla których te okazy mieliśmy zdobywać, nie finansowały jej. Ich pomoc polega jedynie na tym, że dają spisy gatunków, jakie ich na danym obszarze interesują. Dlatego z góry wiedzieliśmy, które zwierzęta są specjalnie poszukiwane.

Wiele napisano o łowieniu dzikich zwierząt, ale większość tych relacji daje obraz całkiem nieprawdziwy. Podczas takiej wyprawy nikt nie ryzykuje życia dwadzieścia razy dziennie z powodu zagrożenia przez wrogie plemiona albo dzikie zwierzęta, poza tym nikt nie siedzi cały dzień w fotelu, czekając, aż „czarni” wykonają za niego całą pracę. Oczywiście podejmując tego rodzaju zadanie, trzeba się liczyć z pewnym ryzykiem, ale z własnego doświadczenia wiem, że w dziewięciu wypadkach na dziesięć niebezpieczeństwa wywoływałem ja sam. Bez pomocy tubylców mielibyśmy niewielką szansę na schwytanie zwierząt, na których nam zależało; znają oni doskonale dżunglę, bo się w niej urodzili. Nasze zadanie rozpoczynało się w chwili schwytania zwierzęcia: musieliśmy zachować je przy życiu, i to w dobrej formie. Gdybyśmy je powierzyli opiece tubylców, niewiele z nich by przetrwało. Większość czasu poświęcaliśmy na opiekę nad naszym zwierzyńcem, resztę zaś na długie wędrówki przez dżunglę w pościgu za jakimś stworzeniem, które wcale nie chciało być złapane. Oczywiście kiedy się pisze książkę o tego rodzaju wyprawie, chciałoby się raczej podkreślać jasne strony niż nudną codzienną harówkę. Ostatecznie nikt nie ma ochoty opisywać na blisko dwustu stronach tego, jak się czyści klatki małp albo leczy u nich biegunkę, ani innych codziennych obowiązków. I dlatego jeśli na dalszych stronach znajdują się głównie opisy naszych najbardziej interesujących przygód, nie znaczy to, że nie było nudnych i przykrych okresów, kiedy świat przesłaniały nam nie sprzątnięte klatki albo chore zwierzęta, i człowiek zastanawiał się, po co właściwie podjął tę całą mordęgę.

Wreszcie na zakończenie oświadczam, że mój towarzysz nie jest winien opublikowania tej książki. Nie dość, że tyle wycierpiał ode mnie w tropikach, to teraz znów musi cierpieć w druku, nie wątpię jednak, że przyjmie to z wrodzoną sobie łagodnością. Gwoli prawdzie muszę jednak zanotować, co następuje: na wiadomość, że piszę książkę o naszej wyprawie, oświadczył z całą powagą: „Posłuchaj mnie, stary, nie rób tego”.

Preludium

Statek przecinał dziobem poranną mgłę, płynąc po morzu gładkim jak mleko. Słaby, podniecający zapach dolatywał do nas z niewidocznego brzegu: woń kwiatów, wilgotnej roślinności, oleju palmowego i tysiąca innych odurzających aromatów wyspanych z ziemi przez wstające właśnie słońce – bladą aureolę światła, niewyraźną we mgle. Ale kiedy zaczęło się wznosić coraz wyżej, ciepło jego promieni przeniknęło i uwolniło od niej ziemię i morze, aż uniosła się wysoko, tworząc długie, sennie wijące się pasma, i ujrzeliśmy zatokę i linię brzegu. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Afrykę.

Na lśniącej tafli wody rozrzucona była garstka małych wysepek okrytych tak ciężką warstwą stożkowatej zieleni, iż zdawało się, że muszą zatonać pod jej naporem. Za nimi pięła się w górę nadbrzeżna kraina porośnięta gęstym kobiercem drzew, za którym przysiadł niewyraźny wielki masyw – Kamerun – wyłocony porannym światłem. Barwy tego krajobrazu po bladych pastelowych odcieniach Anglii wydawały się zbyt jaskrawe, agresywne, rażące oczy, wręcz oślepiające. Nad wysepkami zataczały szybkie kręgi stada papug żako, których błazeńskie krzyki i pogwizdywania słabo do nas dolatywały.

Nad błyszczącym torem wodnym, który ciągnął za sobą statek, dwie brunatne kanie krążyły nerwowo w poszukiwaniu żeru, a zza resztek mgły rozsnutej na niebie nagle wyłonił się ciężki, lecz pełen wdzięku sęp rakama, o lśniących czarnobiałych piórach. A nad tym wszystkim, nad morzem i ziemią, w niewyraźnych spiralach unoszącej się mgły, górował cudowny zapach, który już przedtem poczuliśmy, teraz jednak mocniejszy, bardziej intensywny, zwiastun bujnej dżungli, bagien porośniętych gęstą trzcina i rozległych tajemniczych rzek płynących pod sklepieniem drzew.

Wylądowaliśmy jak we śnie, ale szybko przywołano nas do rzeczywistości: spędziliśmy nerwowe pół godziny, próbując wyjaśnić celnikom, po co nam tak niezwykły bagaż. Wreszcie jednak ruszyliśmy do Victorii zwykłą drogą, obramowaną kwitnącym wspaniale hibiskusem i kępami żółtej puszystej mimozy o duszącym zapachu. Zatrzymaliśmy się w niewielkim białym schronisku turystycznym, w którym mieliśmy spędzić tydzień, żeby się zorientować w sytuacji. Dużo mieliśmy do załatwienia i w innych warunkach byłoby to kłopotliwe dla otoczenia, poza tym musieliśmy odbyć wiele rozmów, uzyskać mnóstwo stempli na przeróżnych dokumentach, kupić niezliczoną ilość towarów, chodzić na kolacje do setek miłych ludzi, pływać w morzu i robić wiele różnych innych rzeczy, a wszystko jak w transie. Gdziekolwiek poszliśmy, zaskakiwało nas coś nowego. Tętniące życiem miasto położone nad zatoką pełne było szumiących na wietrze palm, obsypanych kwiatami żywopłotów z hibiskusów i bugenwilli, a w każdym ogrodzie i wokół każdego domu można było zobaczyć rosnące rzędami piękne lilie

kanna, niczym żywe płomienie w cienkich zielonych lichtarzach. A choć było to miasto zachwycające, marzyliśmy o dniu, kiedy ruszymy w głąb kraju. I wreszcie nadszedł.

Ciężarówka została zamówiona na siódmą trzydzieści, sądziliśmy więc, że załadunek zajmie jakąś godzinę i o ósmej trzydzieści ruszymy w drogę. Ta naiwna wiara świadczyła o tym, jak mało znamy Afrykę. O dziesiątej krążyliśmy nerwowo wokół piętrzącego się na werandzie bagażu, przeklinając i paląc ze zdenerwowania, ciągle wyglądając, czy nie nadjeżdża zaginione auto. O jedenastej na horyzoncie pojawiła się chmura kurzu, a w jej wnętrzu, jak żuk w trąbie powietrznej, znajdowała się ciężarówka. Zahamowała z wielkim zgrzytem i wysiadł z niej kierowca. Zauważyłem, że z tyłu siedzi ze dwunastu wesoło rozmawiających pasażerów w otoczeniu kóz, worków ze słodkimi ziemniakami, gaśiorów z winem palmowym oraz tobołków, rozłożonych dookoła w ciężarówce. Rozgniewany zbiegłem z werandy, żeby zbesztać kierowcę, i wtedy właśnie się nauczyłem, że w Kamerunie lepiej nie pytać, dlaczego ciężarówka się spóźniła. Usłyszałem co najmniej sześć różnych sprzecznych wersji, z których żadna nie usatysfakcjonowała nikogo z wyjątkiem kierowcy. Dałem więc spokój tej rozmowie i zająłem się pasażerami, a wtedy się okazało, że jest tam żona kierowcy, kuzyn żony kierowcy, ojciec pomocnika kierowcy oraz teściowa pomocnika kierowcy i tak dalej, i tak dalej. Po długiej, nad wyraz wrzaskliwej i często niezrozumiałej sprzeczce pasażerowie zostali usunięci wraz ze swoimi bagażami oraz inwentarzem. Kierowca musiał ustawić odpowiednio ciężarówkę do ładowania i wtedy moja wiara w jego umiejętności została mocno zachwiana, ponieważ cofając się, dwukrotnie uderzył w żywopłot z hibiskusa i raz w ścianę schroniska. Następnie nasz bagaż został załadowany z przerażającą szybkością i beztrząsą, tak że patrząc na to, zastanawiałem się, ile ekwipunku cało dotrze do Mamfe. Niepotrzebnie się martwiłem. Okazało się później, że uszkodzone zostały tylko rzeczy najpotrzebniejsze i nie do zastąpienia.

W rozmowie z kierowcą, podczas której poznałem dokładnie stopień pokrewieństwa pasażerów, John nie brał udziału. Kiedy wreszcie to pandemonium się uspokoiło, obejrzał przód ciężarówki i odkrył coś, co go bardzo ubawiło. Nad przednią szybą widniał napis: „Szybka podróż Victoria-Kumba”. Fakt, że ciężarówka, która spóźniła się o dwie i pół godziny, ma taką nazwę, bardzo go rozbawił. Dopiero później przekonaliśmy się, jakim wielkim eufemizmem był naprawdę ten napis. Wyruszyliśmy o godzinie dwunastej, pędząc przez ulice Victorii w tumanach kurzu, płosząc stada kurczaków, a ryczący silnik ciężarówki robił wszystko, by usprawiedliwić jej nazwę. Wkrótce po wyjeździe z Victorii zaczęliśmy się wspinać w górę po łagodnych zakrętach, mijając niekończące się palmowe plantacje.

Po jakichś dziesięciu milach zaczął się zjazd w dół, zapaliliśmy właśnie papierosy i zaczęliśmy się zastanawiać, ile czasu zabierze nam dotarcie do prawdziwej dżungli, kiedy silnik zakrztusił się raz, drugi i wreszcie ze skruczą zgasł. Stanęliśmy.

– Obóz numer jeden – powiedział John, spoglądając na nie kończące się zwarte szeregi

palm, których zwisające liście szeptały przy słabym powiewie.

Wszyscy zgromadzili się przy silniku i każdy, nie zważając na oparzenia, chciał pokazać innym, co się zepsuło. Po półgodzinie rozłożony na części silnik leżał na drodze, a pod ciężarówką było co najmniej czterech ludzi, głośno się kłócących. Zacząłem się poważnie obawiać, że ten nieciekawy zagajnik palmowy naprawdę stanie się dla nas obozem numer jeden, toteż zaproponowałem Johnowi, żebyśmy poszli przodem, a ciężarówka dogoni nas, jak ją zreperują. Spojrzał na rozłożone części, na czarne nogi sterczące spod samochodu i odparł z westchnieniem:

– Tak, sądzę, że możemy iść. Jeśli dobrze pójdzie, może nas dogonią, nim dojdziemy do Mamfe.

No i ruszyliśmy w drogę; była to bardzo nudna wędrówka. Wśród palm nie było żadnego ptactwa, a w zakurzonym poszyciu na poboczu zauważyliśmy bardzo niewiele owadów. Wkrótce ciężarówka nas dogoniła, a jej roześmiana załoga powitała nas wesołymi okrzykami.

– Obawiam się – powiedział John – że ich wiara we własne umiejętności techniczne jest nieuzasadniona.

Kiedy nasz wehikuł zepsuł się ponownie po pięciu milach, byłem skłonny zgodzić się z opinią mego towarzysza. Trzecia awaria nastąpiła, gdy wyjechaliśmy z plantacji palmowych i znaleźliśmy się w prawdziwie leśnym terenie, z radością więc poszliśmy pieszo. Za najbliższym zakrętem wrzawa mechaników-amatorów ucichła i ogarnęła nas leśna cisza. Po raz pierwszy w życiu znaleźliśmy się w prawdziwej dżungli. Oczarowani szliśmy niespiesznie, chłonąc widoki i dźwięki, oszołomieni bogactwem piękna i barw. Z jednej strony drogi był głęboki wąwóz, kipiący zielenią, z drugiej wznosiło się strome zbocze. Po obu stronach rosły olbrzymie drzewa wsparte na wielkich szkarpowych korzeniach, pokryte płaszczem pasożytniczych roślin, paprociami i mchem. Wśród tej gęstwiny wspinały się w górę aż po wierzchołek liany, tworząc przedziwne skrety, pętle i skomplikowane wzory, a po dotarciu do szczytu opadały na podłoże leśne prosto jak murarski pion. Czasem trafiały się prześwity, tam gdzie olbrzymie drzewa zostały ścięte albo runęły same. Zwłoki ich pokryte były wtórną roślinnością, a wszystko obwieszane gęsto bardzo żółtymi kwiatami powoju i jakimiś różowymi pnączami o kwiatkach w kształcie gwiazd. Nektarniki, lśniące metalicznie w słońcu, zawisając przez krótką chwilę nad kwiatami, trzepotały niesłychanie szybko ledwie widocznymi skrzydłami. Na martwych drzewach bielejących na tle zieleni siedziały stadka zimorodków malutkich, małych jak strzyżyki, o upierzeniu lazuroniebieskim i ciemnożółtym, ze szkarłatnymi dziobami i nóżkami. Stada dzioboroźców, żerujących na szczytach drzew, podrywały się na nasz widok, z przeraźliwym krzykiem bijąc wielkimi skrzydłami, podobnymi do gigantycznych miechów kowalskich. Przeszliśmy przez kilka drewnianych mostków przerzuconych nad płytkimi strumieniami, które płynęły po czystym bielusińskim piasku. Na

brzegach, gdzie było wilgotno i chłodno, a plamy słońca złościły trawę, wypoczywały roje motyli. Kiedy się zbliżyliśmy, podrywały się, trzepocząc w cieniu skrzydłami jak miniaturowe ognie sztuczne, błękitnożółte, żółte, zielone i pomarańczowe, tworząc obrazy jak w kalejdoskopie.

Od czasu do czasu mijaliśmy też jakąś wieś, zwykle kilka chat przy drodze, otoczonych małymi poletkami pierzastego manioku i czasem platanami o poszarpanych liściach, wiszących nieruchomo w słońcu. Sfora histerycznie szczekających kundli pędziła za ciężarówką, a gromadki dzieci o wzdętych brzuskach stały w przydrożnych rowach, szczerząc białe zęby w uśmiechu i machając zawzięcie rękami o różowych dłoniach. W jednej z takich wiosek stanęliśmy i kupiliśmy za sześć pensów wielką kiść bananów; tak łączywie pochłonęliśmy te delikatnie pachnące owoce, że zaczęło nas mdlić. Do Kumby dotarliśmy podczas krótkiego zielonego zmierzchu, kiedy papugi żako, wrzeszcząc nam nad głową, leciały do dżungli na nocleg. Załodze naszej ciężarówki oznajmiłem dobitnie, że jutro chcemy wyruszyć wcześniej rano. Potem zjedliśmy kolację i bardzo zmęczeni wsunęliśmy się pod moskitiery.

Ku naszemu wielkiemu zdumieniu ruszyliśmy w drogę o ósmej rano, a nasza ciężarówka, żeby zatrzeć wczorajsze złe wrażenie, mknęła jak ptak. W południe zjedliśmy lunch pod wielkim przydrożnym drzewem, popijając ciepłe piwo, walcząc z miejscowymi mrówkami o nasze kanapki i oglądając najbliższą okolicę przez lornetki. Jak poprzednio najbujniejsze było tu życie ptaków: darły się i śmigały wśród wierzchołków drzew dzioborożce wyniosłe, na powalonych pniach często przysiadły błyszczące jak klejnoty zimorodki, przepięknie upierzony brązowo-żółty kukał z dziobem jak u dzierzby srokosza obserwował nas uważnie, kiedy jedliśmy. Nad drogą pojawiła się śliczna krwistoczerwona ważka, skręciła w bok i wylądowała na brzegu mojej szklanki z piwem. Sześć wielkich mrówek maszerowało powoli i metodycznie po nogawce moich spodni, a po chwili dołączyła do nich mała zielona gąsienica, spuszczając się nagle z nieba na prawie niewidzialnej nitce.

Do Mamfe dotarliśmy o zmroku i zostaliśmy umieszczeni w wielkim pustym schronisku, w rozbrzmiewających echem pokojach, gdzie obserwowaliśmy blad różowe gekony, które wypełzły ze szczelin i biegały po suficie, żarząc polując na owady, ściągnięte światłem naszej lampy. Pełzały po białym suficie, prawie niedostrzegalnie, aż wreszcie, gdy znalazły się blisko muchy albo ćmy, ruszały z niezwykłą szybkością i chwytają ofiarę. Po krótkiej chwili potrzebnej na przełknięcie zdobyczy i medytację, gekony znów zaczynały polowanie.

Po zakupieniu w Mamfe zapasów żywności oraz innych potrzebnych rzeczy postanowiliśmy się z Johnem rozdzielić. John chciał się udać do położonej o jakieś dwadzieścia pięć mil od Mamfe wsi o nazwie Bakebe, gdzie jego zdaniem można było zdobyć poszukiwane przez nas ptaki. Ja z kolei chciałem jechać do Eszobi. Wieś ta leży na północ od Cross River, na skraju dżungli, która nieprzerwanym pasem, prawie nie zamieszкана, ciągnie się setkami mil na północ

aż do posepnych gór, w których swe siedlisko mają goryle. Uważałem, że będzie to idealne miejsce na założenie zapasowego obozu, podczas gdy John stworzy główną bazę w Bakebe. Ustaliliśmy, że łowiąc ssaki i gady, przy okazji będę zdobywał ptaki dla Johna, on zaś, zajmując się ptakami w Bakebe, będzie pamiętał o ssakach i gadach dla mnie. Zacząłem więc szukać tragarzy na wyprawę do Eszobi (nie prowadziła tam żadna droga) i ciężarówkę, żeby przetransponować Johna do jego wsi, dokąd na szczęście prowadziła szosa.

I tak nadszedł dzień naszego rozstania, przybyli też moi tragarze. Obserwowaliśmy ich, jedząc ostatnie wspólne śniadanie pod drzewami na trawniku przed schroniskiem. Była to gromada wielce podejrzanych typów.

– Nie sądzę – powiedział John – żebyś w ogóle kiedyś dotarł do Eszobi z tą podejrzaną bandą. Pewno cię zjedzą, zanim przejdiesz pół mili w dżungli.

W tym momencie jeden z nich ziewnął, ukazując zęby, ostro spiłowane zwyczajem kanibali, co nie podniosło mnie na duchu. Ale w tej właśnie chwili pojawił się fryzjer. Zawsze rozsądny John poradził mi, żebym krótko ściał włosy, nim ruszę w drogę do Eszobi.

Kiedy rozsiadłem się wygodnie, owinięty troskliwie peleryną fryzjerską, zauważyłem, że tragarze dziwnie podskakują, gwałtownie uderzają się po nogach i klną. Nie przejąłem się tym specjalnie, lecz nagle poczułem bolesne ukąszenie w nogę, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że u moich stóp kolumna mrówek szykuje się do ataku. Na ziemi było od nich aż czarno. Krzyknąłem i dwaj ludzie z mojej służby podbiegli, żeby mnie ratować, podwinęli mi spodnie i zaczęli zbierać mrówki z nóg. Właśnie w tym momencie pojawił się na scenie mały chłopiec tulący do piersi dwoje małpiąt. Ponieważ bardzo mi na nich zależało, zacząłem się wściekle z chłopcem targować, aż wreszcie je kupiłem. Umieścił obydwu na moich kolanach i uciekł ile sił w nogach, gdyż przez ten czas mrówki zdążyły zaatakować również i jego. Małe małpięta doszły do wniosku, że tego rodzaju zmiana właściciela wcale im nie odpowiada, zaczęły więc wierzgać, wrzeszczeć i gryźć jak rozpuszczone dzieci. Scena, jaka się teraz rozegrała, była wprost nie do opisanania: wokół skakali tragarze, żeby pozbyć się mrówek, nasi ludzie próbowali usunąć je z ładunku tragarzy, ja walczyłem z małpkami, spętany peleryną, a dwaj służący nadal zabijali mrówki na moich łydkach. Fryzjer od lat tak się nie ubawił; spoglądał na tę zwariowaną scenę, udzielając przy tym dobrych rad któremuś z naszych tragarzy albo służącemu, czasem kłął i z roztargnieniem ścinał mi włosy w różnych miejscach. W pewnym momencie, kiedy wskazał jednemu z tragarzy, który ładunek ma wziąć, wywiązała się tak gwałtowna dyskusja, że bałem się, iż lada chwila odcięte ucho spadnie mi na kolana.

Wreszcie posortowaliśmy rzeczy, a John odprowadził nas do poczerniałego mostu wiszącego na Cross River. Po drugiej stronie była dżungla i Eszobi. Zatrzymaliśmy się, obserwując długi szereg tragarzy idących przez most nad płynącą o sto stóp niżej ciemną wodą. Kiedy znaleźli się na drugiej stronie i wchłoneło ich wielobarwne poszycie dżungli, a do nas

dolatywały tylko przytłumione głosy, powiedziałem do Johna:

– No cóż, drogi chłopcze, muszę się zmierzyć z nieznany. Do zobaczenia za jakieś trzy miesiące.

– Życzę ci szczęścia – odparł John i dodał: – Chyba będzie ci bardzo potrzebne...

Przeszedłem przez rozklekotane skrzypiące deski mostu, a ze szpar w drewnie uciekały przede mną spłoszone jaszczurki. Kiedy znalazłem się na drugim brzegu, odwróciłem się i pomachałem Johnowi, który teraz na tle szerokiej rzeki i wielkich drzew, wydawał się bardzo mały. Potem ruszyłem szybko ścieżką w głąb dżungli, żeby jak najprędzej dogonić tragarzy.

Po wielu miesiącach oczekiwania i przygotowań nareszcie nadeszła wielka chwila.

Część pierwsza

ESZOBI

I

Dżungla za dnia

Szybko zdałem sobie sprawę, że kiedy rozpocznie się łowienie zwierząt, których będzie stale przybywać, większość czasu będę musiał poświęcić na opiekowanie się nimi i nie będę mógł oddalać się na dłużej z obozu. Postanowiłem więc wykorzystać każdą okazję na wędrówki po dżungli; kiedy przygotowywano miejsce pod obóz, wysłałem do naczelnika Eszobi gońca z zawiadomieniem, że chciałbym się z nim zobaczyć. Przybył wraz z czterema członkami swej rady w krytycznym momencie, kiedy z narastającym przerażeniem obserwowałem, jak pięciu tubylców próbuje z mizernym skutkiem postawić namiot.

Wyraźnie zmieszany, mały naczelnik miał czerwono-złotą szatę, na głowie pomarańczową trykotową czapkę, a do piersi przyciskał bardzo zdenerwowaną wielką kaczkę. Członkowie rady, wyglądający na ludzi bardzo przebiegłych, rozglądając się bystro na wszystkie strony, poprowadzili go do mnie pomiędzy stosami bagażu i wypchnęli naprzód, żeby wygłosił przemówienie. Głośno przełknął ślinę i mocniej przytrzymał kaczkę, która uporczywie biła go skrzydłami po twarzy, kwacząc przy tym rozpaczliwie. Była tak duża i silna, że w pewnym momencie zląkłem się, iż uniesie wodza i odleci wraz z nim, ale jakoś ją ujarzmił i ciągnął swoją mowę nieco zdyszany, z przekrzywioną czapką. Ledwie skończył, z wyraźną ulgą rzucił kaczkę w moje ramiona, a ja równie szybko przekazałem ją Piusowi. Wtedy nastąpiła długa wymiana grzeczności między wodzem a mną (za pośrednictwem Piusa), po czym wyjaśniłem, dlaczego przybywam do Eszobi. Pokazałem jego towarzyszom fotografie różnych zwierząt, które chciałem zdobyć, a oni z zachwytem dotykali ilustracji swoimi brunatnymi palcami, chichocząc i kiwając głowami, za każdym razem głośno i z podziwem wołając: „Ik... eechh!” Rozmowa była bardzo owocna; w rezultacie naczelnik obiecał, że przyśle mi najlepszego myśliwego w wiosce, który będzie moim przewodnikiem. Na zakończenie wręczyłem mu kilka paczek papierosów, a on, bardzo z siebie zadowolony, ruszył w stronę wsi. Zdążyłem jednak zauważyć, że członkowie rady, gdy tylko odeszli kawałek, otoczyli go i zabrali prawie wszystkie papierosy, nie zwracając uwagi na jego słabe protesty. Ja natomiast zająłem się namiotem, który z wdziękiem opadł właśnie na ziemię chyba po raz szósty.

Nazajutrz wcześnie rano do obozu przybyło dwóch ludzi, owych obiecanych przez naczelnika myśliwych. Wprowadziłem ich do namiotu i znad patelni z jajecznicą przyjrzałem się im uważnie. Jeden był niski, krępy, z cofniętym jak u małpy czołem i wystającymi zębami. Od pasa w dół owinięty był udrapowanym niby sarong zielonym materiałem w wielkie pomarańczowe i czerwone kwiaty. Drugi był bardzo wysoki i niezwykle chudy. Stał przede mną zgarbiony, rysując dużym palcem u nogi jakieś wzory na piasku. Jego sarong był elegancką kombinacją purpurowych i białych kropek na różowym tle.

- Dzień dobry, masa – odezwał się niski, ukazując wszystkie zęby w przymilnym uśmiechu.
- Dzień dobry, masa – powtórzył jak echo wysoki, uśmiechając się sztucznie.
- Dzień dobry. Czy to wy jesteście myśliwymi, których przysłał wódz?
- Tak, sah – odparli chórem.
- Jak się nazywacie?
- Sah?
- Jak do was mówią – wyjaśnił Pius zza moich pleców.
- Elias, sah – odparł niski chrypliwie.
- Andraia, sah – rzekł wysoki, wierząc się z zakłopotania, objąwszy długim ramieniem plecy swego towarzysza.

– Pius – powiedziałem – spytaj ich, czy chcą dla mnie polować. Zapłacę każdemu szylinga i sześć pensów dziennie i dostaną jeszcze dodatek za każde schwytane zwierzę. Jeśli to będzie zwierzę, które bardzo chcę mieć, wtedy dopłata będzie duża. Jeśli jakieś inne, dopłata będzie mniejsza.

Pius wysłuchał mnie z przekrzywioną na bok głową, potem zwrócił się do myśliwych i szybko przetłumaczył moje słowa na *pidgin-English*. [język angielski o małym zasobie słów i uproszczonej gramatyce, używany w kontaktach Europejczyków z ludnością tubylczą w Zachodniej Afryce i na Dalekim Wschodzie.]

– Masa mówi: wy dla niego myśliwi, eh? Masa płaci każdemu jeden szyling i sześć pensów każdego dnia, kiedy masa idzie z wami do buszu. Jeśli wy złapiecie zwierza, masa bardzo lubi, on da wam więcej. Jeśli zwierze nie dobre, masa da wam mato. Rozumiecie?

– Rozumiecie – odparli chórem myśliwi, uśmiechając się przy tym radośnie.

– Oni się zgadzają, sah – poinformował mnie niepotrzebnie Pius.

Wtedy pokazałem im wizerunki zwierząt, a oni bezbłędnie je rozpoznawali, podobnie jak ich wódz wykrzykując: „Ik... eechh”. Powiedzieli mi też, gdzie w okolicy można znaleźć które zwierzę. Bezbłędnie rozpoznali każdą fotografię. Wreszcie wyciągnąłem zdjęcie wielbłąda i podstępnie spytałem, czy można go spotkać gdzieś w okolicy. Wpatrywali się długo, naradzając się przy tym, i wreszcie przyznali, że nigdy czegoś takiego nie widzieli. Bardzo się z tego ucieszyłem, ponieważ byłem pewien, że złączą mi opowiadać o dużych stadach wielbłądów, które można spotkać pół mili od wsi, gdyż w ten sposób objawia się zwykle entuzjazm człowieka czarnego, kiedy chce pomóc białemu. Powiedziałem, żeby przyszli następnego dnia, dałem im trochę papierosów i dość pesymistycznie nastawiony patrzyłem, jak odchodzą ścieżką. Gruby Eliasz niby kaczką kiwał się w swoim barwnym sarongu, koło niego zaś dreptał delikatny Andraia. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem ludzi, którzy byliby tak bardzo zaprzeczeniem myśliwych jak ci dwaj, a im więcej o nich myślałem, tym mniej zaufania miałem do ich uzdolnień. Na szczęście przeżyłem miłe zaskoczenie, gdyż wkrótce okazało się, że są bardzo dobrymi myśliwymi. Eliasz odznaczał się odwagą, a Andraia szybkim refleksem w sytuacjach

wymagających natychmiastowego działania.

Wiele dni spędziłem z nimi, wędrując przez dżunglę, wiele też nocy pełzając wśród poszycia w anemicznym świetle latarek w poszukiwaniu mniejszych mieszkańców buszu. W promieniu dwudziestu mil od wsi znali każdą ścieżkę, każdy strumyk i wodospad, prawie każdą kępę krzewów. Z łatwością potrafili prześliznąć się przez największą gęstwinę poszycia, nie robiąc przy tym najmniejszego hałasu, który zdradziłby ich obecność, podczas gdy ja zgrzany, na moich płaskich stopach, kuśtykałem za nimi, robiąc przy tym hałas jak buldożer. Pokazali mi, jak zaznaczać szlak i jak mam iść, ale kiedy pierwszy raz spróbowałem samodzielności, zabłądziłem w ciągu dziesięciu minut. Pokazali mi, które owoce w buszu są jadalne, a które nie, które pędy można żuć bez obawy otrucia się, kiedy człowiek ma pragnienie.

Dżungla wcale nie jest tak upalna, cuchnąca i niebezpieczna, jak to opisują niektórzy autorzy, nie jest też bardzo gęsta, nie do przebycia płataniną. Jedyne miejsce, gdzie spotkałem nad wyraz bujną roślinność, to było opuszczone tubylcze gospodarstwo, gdzie wielkie drzewa zostały ścięte, tak że słońce miało swobodny dostęp, i w rezultacie niższa roślinność bardzo wybujała, pnąc się na całej polanie w górę, do słońca. W głębi dżungli niższa roślinność ma tylko dwa sposoby dotarcia do słońca: albo strzela na kilkaset stóp w górę jak rakietą, gładką, bez gałęzi, aż wreszcie jej liściasty wierzchołek może się przedrzeć przez baldachim w górę, albo pełźnie i meandrami toruje sobie drogę, wspinając się po gigantycznych pniach drzew i wreszcie docierając do najwyższych gałęzi i światła.

Kiedy się wchodzi do dżungli, oczom przywykłym do blasku słońca wydaje się ona ciemna i chłodna. Przefiltrowane przez miliony liści światło sprawia, że wokół jest dziwnie zielono, jak w akwarium, i wszystko wydaje się nierealne. Opadające przez setki lat liście tworzą grubą, elastyczną jak dywan ściółkę, pachnącą przyjemnie ziemią. Wszędzie wokół rosną drzewa wsparte na wielkich, wygiętych szkarpowych korzeniach, ich gładkie pnie liczą setki stóp wysokości, aż wreszcie listowie górnych partii i gałęzie splatają się i niepostrzeżenie tworzą bezkresny zielony dach dżungli. Podłoże porastają młode drzewka, które przebiły się niedawno przez warstwę liści, a ich długie, cienkie pędy zakończone kępkami jasnozielonych liści stoją w wiecznym cieniu swoich rodziców, szykując się do wielkiego wysiłku, by strzelić w górę do życiodajnego słońca. Wędrując przez dżunglę wśród tych anemicznych drzewek, można zauważyć słabo zarysowane ścieżki, poplątane i kręte. Są to drogi buszu, z których korzystają wszyscy jego mieszkańcy. W głębi dżungli nie widać śladów życia, napotkać je można tylko przypadkiem, toteż trzeba dokładnie wiedzieć, gdzie ich szukać. Jedynym odgłosem jest ustawiczne, przenikliwe granie cykad i głos małego ptaszka, który towarzyszył mi w każdej wędrowce, ukryty skromnie w poszyciu, co chwila powtarzając łagodne, pełne skargi dźwięki: „Huuu... hiiiiii”. Wiele razy próbowałem wysledzić to nieuchwytnie stworzonko, ale bez powodzenia.

W niektórych miejscach, gdzie ścieżki się rozszerzały, listowie w górze było porozrywane i można było dostrzec błękitne plamy nieba. Padające przez te prześwity słońce malowało złotem liście i przecinało ścieżkę mnóstwem ukośnych zamglonych promieni, wśród których igrały leśne motyle. Najbardziej polubiłem dwa gatunki i szukałem ich za każdym razem, ciesząc się, gdy udało mi się je dostrzec. Jeden był biały jak delikatny zamróz na szybie, a jego lot był zachwycający. Wznosił się w górę niby puch ostu porwany nagłym podmuchem wiatru, a potem opadał na ziemię, kręcąc się i wirując jak miniaturowa baletnica. Na niektórych ścieżkach, zwykle tam, gdzie przecinał je strumień, można było spotkać dwadzieścia, trzydzieści tych zachwycających owadów, siedzących nieruchomo nad brzegiem wody. Spłoszone ulatywały w górę, powoli wirując i zawracając, ześlizgując się i opadając jak chmura białego popiołu drzewnego na tle zieleni dżungli. Potem wracały na swoje miejsce, szybując nisko nad wodą, odbite w jej ciemnej tafli.

Drugi motyl był duży i piękny, ale widywałem go znacznie rzadziej niż tego mniejszego. Miał długie, dość wąskie skrzydła koloru ognistej czerwieni. Lot jego był szybki i zaskakujący: nagle w mroku buszu ukazywał się jak spod ziemi błędny ognik, świecący i migotliwy, i nagle, jak zdmuchnięta świeczka, znikał. Wtedy dżungla zawsze wydawała mi się o wiele ciemniejsza. Jej najbardziej uderzającą cechą było niezliczone mnóstwo małych strumyków, płytkich i czystych, które zakolami torowały sobie drogę, tworząc skomplikowane wzory. Lśniące, giętkie, owijały się wokół gładkich brunatnych głazów, tworząc na zakrętach białe piaszczyste plaże; pracowicie wymywały ziemię spod chwytnych korzeni drzew, po czym ze szmerem i chichotem zanurzały się w ciemnych ostępach dżungli. Rozgadane, spienione nad mikroskopijnymi wodospadami, drażyły potem w piaskowcu głębokie łagodne jeziora, w których żyły niebieskie i czerwone ryby, różowe raki i małe wesołe żabki. W okresie suszy strumyki te stawały się głównymi szlakami dzikich zwierząt. Były nie tylko wygodną drogą, ale dostarczały wody i pożywienia, tutaj bowiem spotykali się drapieżcy i ich ofiary. Piaszczyste brzegi usiane były filigranowymi odciskami: podobnymi do korala śladami łapek leśnych rudzików, drozdów i tłustych zielonych gołębi, czasem też długich wyraźnych śladów chruścieli. Miękką nadbrzeżną ziemią często wśród korzeni drzew zryta była przez dzikie świny, które szukały trufli i wielkich ślimaków, w miękkim zaś mule widziałem długie wąskie tropy dzików i macior oraz mniejsze – towarzyszących im warchlaków.

W tej dżungli, którą pokazali mi Eliasza i Andraia, nic nigdy mnie nie przeraziło, nie spotkało mnie żadne niebezpieczeństwo. Urzekła pięknem strzelistych drzew, baldachimem drżących w górze liści, wielką ciszą i cudownym spokojem.

Dobrze zapamiętałem dzień, kiedy Eliasza i Andraia po raz pierwszy wzięli mnie do dżungli, gdyż nigdy w życiu w tak krótkim czasie nie zobaczyłem tylu zwierząt... doprawdy bogowie przyrody byli dla mnie łaskawi. Poleciłem przewodnikom, aby zaprowadzili mnie w głąb dżungli

w linii prostej jakieś pięć, sześć mil od wsi, skąd, oświadczyłem beztrąsko, zaczniemy zataczać wielki krąg, którego środkiem będzie wieś. W ciągu tego dnia wielokrotnie żałowałem tej decyzji, ponieważ jednak była to pierwsza wyprawa do buszu i w grę wchodził mój prestiż, trzymałem się ustalonego planu, ale muszę wyznać, że kiedy całkowicie wyczerpany późnym wieczorem wróciłem do naszej bazy, byłem strzępem człowieka.

Wyruszyliśmy wcześniej rano. Jakże byłem rad, że za moimi plecami cichnie obozowy harmider. Zatrudniłem kilkunastu mieszkańców wsi, żeby zbudowali szopę dla zwierząt; rwetes i zamieszanie, jakie towarzyszyły ich poczynaniom, były wprost nie do opisania.

Przeszliśmy przez otaczające wieś pola uprawne, gdzie rosły krzewy manioku i olejowce. Były tu również kopce termitów z czerwonej ziemi. Obejrzałem te niezwykle budowle z dużym zainteresowaniem, wiedząc, że u ich podstawy znajdują się liczne otwory, w których oprócz prawowitych mieszkańców żyje mnóstwo przeróżnych stworzeń. Niektóre termitiery miały dziesięć stóp wysokości, u podstawy w obwodzie ze dwadzieścia pięć stóp, a ziemia wokół twarda była jak beton. Niechętnie poniechałem dokładniejszych oględzin, ale obiecałem sobie, że wrócę tu później. Ponieważ do obozu było niedaleko, postanowiłem, że będę tu kopać i zastawiać pułapki w dniach, kiedy nie będę mógł robić dalszych wypraw. Ruszyliśmy więc w drogę i wkrótce ścieżka doprowadziła nas do cichego strumyka, który pokonałem na bosaka; woda była lodowato zimna. Wdrapaliśmy się na przeciwległy brzeg, torując sobie drogę przez niskie poszycie, i wreszcie znaleźliśmy się w dżungli, gdzie zrobiliśmy krótki postój, żeby oczy przywykły do panującego tu półmroku.

Grunt był równy i szło nam się bardzo dobrze; po jakichś trzech milach idący na przedzie Eliasz nagle znieruchomiał i zatrzymał nas gestem ręki, następnie zbliżył się do mnie bezszelestnie i wyszeptał:

– Tam małpa, sah, o tam, gdzie duży kij.

Wypatrywałem w gęstym listowiu tego „dużego kija”, znajdującego się przed nami na wysokości dwustu stóp, ale nic nie widziałem ani nie słyszałem.

– Co to za małpa? – spytałem, na próżno wyteżając wzrok.

– Czarna, sah, ma biała plama na pysku...

Koczkodan białonosi, pomyślałem z żalem, ponieważ nadal nic nie widziałem.

– Masa go widzi?

– Nic nie widzę.

– Masa, my idziemy w bok. Masa zobaczy...

Ruszyliśmy w kierunku miejsca wskazanego przez Eliasza, idąc niezwykle ostrożnie przez zarośla. Nagle przypomniałem sobie, że mam przecież lornetkę. Cóż za głupiec ze mnie! Wyjąłem ją z pokrowca i nastawiłem na szczyty drzew. W pierwszej chwili widziałem tylko drżący ocean liści i nierozsądnie zirytowany pomyślałem, że moi myśliwi najwyraźniej widzą

i słyszą małpy, podczas gdy ja nawet z lornetką nic nie mogę dostrzec. I nagle z gęstwiny liści na wielkiej czarnej gałęzi wyłoniła się zachwycająca procesja. Pierwszy szedł stary samiec z zakręconym nad grzbietem ogonem; idąc po gałęzi, rozglądał się na boki. Był czarny jak węgiel, a koniuszki włosów na grzbiecie, zabarwione na zielono, tworzyły drobne plamki. Pierś miał białą, a na niewielkiej czarnej twarzy wokół nosa dużą, śnieżnobiałą plamę w kształcie serca. Włosy na głowie miał długie, sterczące do góry, co nadawało mu wygląd jakiegoś straszidła wędrującego po gałęziach. Tuż za nim szły jego znacznie mniejsze dwie żony, obie zalęknione, z dziećmi. Pierwsza niosła swą wierną kopię przyczepioną do piersi. Małe, ledwie urodzone małpiątko wisiało pod ciałem matki, obejmując ją rękami i małymi dłońmi trzymając się jej sierści na plecach. Drugie dziecko było starsze i szło ostrożnie za matką, ze strachem spoglądając w przepaść poniżej i popiskując od czasu do czasu. Jak urzeczony patrzyłem na te maleństwa i postanowiłem sobie w duchu, że muszę zdobyć małego koczodana białonosego, nawet gdybym miał poświęcić na to resztę mego życia.

– Masa strzela? – usłyszałem chrapliwy szept Eliasza. Odjąłem lornetkę od oczu i zobaczyłem, że mi podaje strzelbę. Przez chwilę byłem wściekły, że proponuje mi zabicie tej uroczej rodziny z rozczochranymi głowami i białymi nosami kłownów. Ale zrozumiałem po namyśle, że nie zdołam wyjaśnić tym ludziom moich intencji. W kameruńskiej dżungli sentymentalizm jest luksusem tych, którzy mają co jeść. Tutaj, gdzie tak trudno zdobyć mięso, każda jego uncja jest na wagę złota. Tak więc odczucia estetyczne nie są żadnym argumentem dla człowieka, którego organizm ma niedobór protein.

– Nie, Eliaszu, nie będę strzelać – odparłem i znów skierowałem lornetkę na wierzchołki drzew, ale mała rodzina już zniknęła.

– Eliaszu?

– Sah?

– Powiedz ludziom we wsi, że zapłacę pięć szylingów za taką małpę... Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, sah – rzekł Eliasz, wyraźnie uradowany.

Kontynuowaliśmy naszą bezplanową wędrowkę wśród olbrzymich drzew, aż wreszcie dotarliśmy nad brzeg szemrzącego cicho płytkiego strumyka. Wilgotne, gąbczaste brzegi porośnięte były roślinami o dużych liściach, zielonych i soczystych. Brnęliśmy wśród wysokiej do pasa roślinności, idąc z biegiem strumyka, kiedy Eliasz nagle podskoczył wysoko i wrzasnął: „Strzelaj, masa, strzelaj!...” Przede mną coś się działo, ale nie widziałem, do czego mam strzelać. Niedaleko mnie wśród poszycia jak chudy konik polny podskakiwał Andraia i wołał: „Ik... eechh!” Sądząc z hałasu, jakieś duże zwierzę znajdowało się w gęstwinie, która równie dobrze mogła kryć zarówno wielkiego goryla, jak i lamparta, nie miałem więc pojęcia, czego mam się spodziewać. Nagle ukazały się owe tajemnicze zwierzęta, a ja stałem jak wryty, patrząc na dorosłą parę dzikich świń rzecznych, które zygzakiem zaczęły uciekać wśród drzew. Były

jaskrawopomarańczowe, z długimi kępami białej sierści w uszach, a na grzbietach powiewały im białe grzywy. Nigdy dotąd nie widziałem tak zdumiewająco pięknych przedstawicieli świńskiej rodziny, patrzyłem więc na nie z otwartymi ustami, a one z niezwykłą szybkością zniknęły w dżungli. Eliasz i Andraia nie podzielali mego zachwytu i najwyraźniej mieli kiepskie wyobrażenie o moich myśliwskich talentach.

– Uciekają do buszu te świnię – stwierdził Eliasz ze smutkiem, kiedy jeszcze dolatywał do nas słaby odgłos ich ucieczki.

– Dobre mięso – zawtórował mu z westchnieniem Andraia. – Dla białych ludzi też dobre – ciągnął dalej, patrząc na mnie z wyrzutem, na wypadek, gdybym sądził, że jego rozczarowanie jest wyłącznie egoistyczne.

– Ta strzelba nie zabije dużej świni z buszu – wyjaśniłem spieszenie. – W Eszobi kupię drugą, o wiele większą.

– I ona bardzo mocna?

– Tak, będzie bardzo mocna, będzie mogła zabić świnię z buszu, lwa, nawet słonia – powiedziałem z przechwałką.

– Ik... eechh, to prawda, sah?

– Prawda. Pewnego dnia pójdziemy do buszu i będziemy mieć dużo dzikich świń.

– Tak, sah – odparli obaj chórem.

Znów ruszyliśmy w drogę, myśliwi radzi, że wkrótce będą piec świńskie mięso, a ja cieszyłem się, wspominając dwa piękne stworzenia, które przed chwilą widzieliśmy. No i tym, że raz jeszcze nie utraciłem mojego prestiżu.

W kilka godzin po spotkaniu z rzeczonymi świniami, kiedy byłem już bardzo zmęczony, po raz trzeci i ostatni tego dnia trafiliśmy na rzadkie zwierzęta. W pewnym momencie znaleźliśmy się w miejscu, które wyglądało, jakby je przeorano: warstwa liści była rozgrzebana, kamienie wyrwane z ziemi usłanej połamanymi gałęziami, a młode drzewka poogryzane. Kiedy myśliwi zbadali ślady, podpełzł do mnie Eliasz i wyszeptał magiczne słowo: „sumbo”, które oznacza mandryla, sympatyczne zwierzę, które tak bardzo lubimy oglądać w ogrodach zoologicznych, ponieważ ma płomiennie czerwony zadek i robi groźne miny. Zawsze miałem słabość do mandryli, może dlatego, że z tak wzruszającą niewinnością ukazują swoją intymną część ciała ku zgorszeniu publiczności w zoo. Tutaj było, jeśli miałem wierzyć Eliaszowi, duże stado, nie mogłem więc odmówić sobie przyjemności zobaczenia ich na swobodzie, w naturalnych warunkach. Zaczęliśmy się szybko skradać w kierunku, skąd dobiegały chrząkania i gniewne wrzaski, które głośnym echem odbijały się w dżungli. Potem zaczęliśmy iść na czworakach, a w pewnym momencie, co niezbyt mi się podobało, przebyliśmy jakieś sto jardów, pełznąc na brzuchach po bagnie. Ale mimo naszych usiłowań nie udało nam się podejść wystarczająco blisko, żeby mieć dobry widok, i tylko raz mignęło nam wśród gęstwiny szare futro. Wreszcie

daliśmy spokój, wyczerpani do cna padliśmy na ziemię i zapaliliśmy upragnione papierosy. Do wsi dotarliśmy o zmroku. Byłem podrapany, brudny i okropnie zmordowany, ale szczęśliwy, że udało mi się dokonać to, co zamierzałem. Wokół jasno płonącego ogniska przed jedną z chat na skraju wsi przycupnęło kilkanaście czarnych postaci. Jakieś dziecko przerażone widokiem białego demona w podartym ubraniu z głośnym płaczem wpadło do chaty. Jego rodzice wstali, żeby mnie powitać.

– Witaj, masa, witaj.

– Dobry wieczór, masa... Dobrze było?

Ciche głosy, połyskujące w świetle ogniska białe zęby, przyjemny zapach dymu drzewnego.

– Chwilę tu odpoczniemy, Eliaszu – powiedziałem i przykucnąłem przy ogniu. Ziemia ciągle jeszcze była nagrzana słońcem. Ból w nogach przestał mi dokuczać i czułem, jak ogarnia mnie miłe ciepło.

– Masa był w buszu? – zapytał starszy człowiek siedzący przy ognisku.

– Tak, my byli w buszu – odparł Eliasz z ważną miną, a potem zaczął szybko mówić w języku banyangi, gestami wskazując na ciemną ścianę dżungli, żeby pokazać, gdzie byliśmy.

Opowiadaniu towarzyszył zdumiony chór okrzyków: „Ik... eechh”, i pytania. Eliasz zwrócił się do mnie, jego wystające zęby błyszczały.

– Ja mówi temu człowiekowi, że masa chodzi bardzo dużo. Że masa bardzo silny... – mówił, najwyraźniej sądząc, że zasługuję na pochwałę.

Uśmiechnąłem się z całą skromnością, na jaką mnie było stać.

– Ja mówi, masa ma większa siła niż czarny człowiek, sah – ciągnął i spytał: – Masa lubi chodzić po buszu?

– Bardzo lubię – odparłem z przekonaniem. Na co wszyscy się roześmiali, rozbawieni tym, że biały człowiek lubi chodzić po buszu.

– Masa chce dziś wieczór znów pójść do buszu? – spytał Eliasz, a oczy miał rozjaśnione śmiechem.

– Tak, dziś wieczór mogę iść do buszu – odparłem. – Ja jestem myśliwy, a nie kobieta.

Ten marny żart został przyjęty potężnym wybuchem śmiechu.

– To prawda, prawda – rzekł Eliasz. – Masa mówi prawdę.

– Masa odważny człowiek – powiedział Andraia, uśmiechając się do mnie.

Wyjąłem paczkę papierosów, poczęstowałem wszystkich, i tak siedzieliśmy wokół trzaskającego ognia, z zadowoleniem wydmuchując dym, rozmawiając o różnych zwierzętach, aż wreszcie zaczęła opadać gęsta rosa. Wtedy pożegnaliśmy się i ruszyliśmy główną ulicą wsi, po której snuł się zapach oleju palmowego, manioku i bananów – wieczornego posiłku. W chatach płonęły ogniska, a w drzwiach siedzieli mieszkańcy i pozdrawiali nas, gdy przechodziliśmy.

- Masa już wraca?
 - Witaj, masa, witaj.
 - Dobranoc, sah.
- Dobrze było żyć.

II

Dym i małe zwierzęta

Zanim wieść o moim przybyciu dotarła do sąsiednich wsi i wszyscy sprawni fizycznie mężczyźni ruszyli do buszu, żeby łowić zwierzęta dla wariata, który je kupuje, a strumyczek dostawców zmienił się w przerażającą powódź, udało mi się zrobić kilka wypraw w głąb dżungli. Głównym ich celem było nie tyle chwywanie zwierząt, co znalezienie odpowiednich miejsc do zastawiania pułapek, zaznaczanie wypróchniałych drzew, w których można było stosować wykurzanie dymem, i poznanie otaczającej nas dżungli. Dopóki nie pozna się obszaru, na którym zamierza się działać, prawie niemożliwością jest zdobycie konkretnych zwierząt; każdy gatunek ma swój własny niewielki teren działania, trzeba więc ustalić, gdzie on jest, w przeciwnym bowiem razie szanse zdobycia poszukiwanych okazów są niewielkie. Czasem, rzecz jasna, sprzyjało nam szczęście i chwytałyśmy zwierzęta podczas rekonesansu. Zapamiętałem jeden taki przypadek. Było to tego dnia, kiedy towarzyszył mi tylko Elias.

Andraia, jak się szybko zorientowałem, był strasznym hipochondrykiem – wystarczał niewielki ból albo gorączka, by zaszywał się w swej chacie, gdzie leżał, jęcząc i skręcając się z bólu, co przyprawiało o rozpacz jego trzy żony, pewne, że ich pan i władca zaraz wyzionie ducha. Któregoś dnia czuł się wyjątkowo źle, Elias więc obiecał, że sam pójdzie ze mną do buszu. Z początku żałowałem tej decyzji, gdyż popołudniowy upał był bardziej niż zwykle dokuczliwy. Cisza panowała nawet w moim zwierzyńcu. Milczące ptaki z przymkniętymi oczami siedziały na grzędach, szczury i jeżatki wyciągnięte leżały na swoich posłaniach z liści bananowych, nawet tak ruchliwe zazwyczaj małpy były senne. Chata, w której mieszkała służba, rozbrzmiewała chrapaniem. Ja sam miałem wielką ochotę również uciąć sobie drzemkę. Powietrze było martwe, nieruchome liście zwisały z drzew. Upał obezwładniał. Nawet siedząc nieruchomo w cieniu, czułem, jak pot spływa mi strumieniami po szyi i plecach. Jeśli wyciągałem się na leżaku, wkrótce wokół mnie była mokra kałuża, a ciemna od potu koszula lepiła się do pleców i pod pachami. Wraz z upałem zapadła absolutna cisza, żaden ptak nie śpiewał, tylko cykada na drzewie coś cicho szeptała.

Z wielkim wysiłkiem zabrałem się do niezbędnych przygotowań. W jednej torbie miałem sieci, płócienne worki na ptaki lub węże, papierosy i zapalki. W drugiej, mniejszej, były naboje, zapasowe pudełko zapalek, latarka oraz różnego rodzaju próbówki i słoiki na drobniejszą zdobycz, taką jak pająki, skorpiony i tym podobne. Właśnie skończyłem czyścić strzelbę, kiedy przed namiotem pojawił się Elias. Po uśmiechniętej twarzy spływały mu krople potu, a przecież całe jego ubranie stanowił kawałek brudnego materiału owinięty wokół bioder. Miał ze sobą krótką dzidę i oczywiście maczetę.

– Jestem, masa – powitał mnie. – Masa gotów?

– Tak, Eliaszu, idziemy. Okropnie dziś gorąco.

– Dużo, dużo słońca – zgodził się ze mną, zarzucając sobie na ramię oba plecaki. Ruszyliśmy wąską czerwoną ścieżką, brodząc po kostki w chłodnej wodzie, przecięliśmy strumień i znaleźliśmy się w wielkiej cienistej dżungli, wśród niebotycznych drzew. Po obozowym upale powitał nas tutaj błogosławiony chłód, który wysuszył szybko pot, a półmrok sprawił, że nareszcie mogłem otworzyć szeroko oczy, które przedtem ustawicznie zaciskałem oślepiiony słońcem.

Eliasz szedł przodem prawie niewidoczną ścieżką, a jego duże stopy stapały lekko, bezszelestnie po liściastym podłożu. Co chwila w dżungli głośnym echem rozlegał się trzask zbyt nisko wiszącej gałęzi, którą ścinał maczetą. Tyle było ciekawych rzeczy po drodze, że rozglądając się na wszystkie strony, nie patrzyłem pod nogi, co utrudniało mi wędrówkę. Pęk kwiatów wśród listowia na wierzchołku drzewa sprawiał, że wyciągając szyję, patrzyłem w górę, to znów moją uwagę przykuwało leżące przy ścieżce zwalone drzewo, porośnięte kolonią malutkich, kolorowych, trujących grzybów. Nic więc dziwnego, że starając się zobaczyć wszystko naraz, co chwila potykałem się i zbaczałem ze ścieżki. Tego dnia jednak nie mieliśmy określonego celu i mogliśmy sobie pozwolić na badanie każdej dziury; obracaliśmy każdy spróchniały pień, szukając skorpionów i żab, a nawet żyjących głębiej większych stworzeń. Posuwaliśmy się więc bardzo wolno.

O jakieś dwie mile od obozu natrafiliśmy na mały strumień. Spieniony, torował sobie drogę przez zwalisko wielkich głazów, których górne płaszczyzny porastał zielony mech i pierzaste paprocie. W każdej dającej oparcie szczelinie rosły dzikie begonie z rozpostartymi na szarej skale talerzowatymi liśćmi, a gałązki delikatnych woskowatych kwiatuszków opadały w dół w stronę wartko płynącej wody. Ponad godzinę brodziliśmy z radością, chwytając, co się dało. Były tam nakrapiane ropuchy i szare drzewne żaby o olbrzymich bursztynowych oczach i długich wąskich palcach, wielkie żuki, które ćwierkały, kiedy braliśmy je do ręki. W bujnej przybrzeżnej roślinności było sporo olbrzymich lądowych ślimaków, dużych i ciężkich jak dorodne jabłko i wytrwale składających delikatne, podobne do pereł jaja na ściółce z liści. Nagle pod małym kamieniem odkryłem piękną zielonożółtą żabę i to skłoniło nas obu, żeby podnosić każdy ruchomy kamień w nadziei, że znajdziemy drugą. Eliasz, który szedł przede mną, podniósł duży kamień, a kiedy ten stoczył się po zboczu, cofnął się gwałtownie, wołając ze strachem:

– Masa, wąż... złe zwierze!

Zostawiłem wszystko i pobiegłem do niego pod górę. W wilgotnym wgłębieniu, w którym spoczywał kamień, leżał niezwykle wąż. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie, że jest bez głowy, gdyż miał na całej swej długości, około dwóch stóp, taki sam obwód. Był lśniący, czarny, z ciemnoczerwonymi i żółtymi łuskami w różnych miejscach. Przyglądając mu się uważnie, zauważyłem wreszcie głowę, a potem spostrzegłem, że znajduje się ona kilka cali od okrągłej

głębokiej dziury w ziemi. Postanowiłem zdobyć tak niezwykły okaz do mojej kolekcji i za pomocą patyka, powoli, cal po calu przetoczyłem niewielki kamień, aż przykrył otwór. Eliasz stał dyskretnie z tyłu, pojękując z cicha:

- Masa, on ciebie ugryzie. Ostrożnie, masa, to złe zwierze... Duża trucizna.
- Zamknij się, Eliaszu, i przynieś mi duży worek i drugi patyk.
- Taajes... – odparł posłusznie Eliasz i odszedł.

Wąż leżał bez ruchu, obserwując mnie uważnie, a ja trzymałem patyk w pogotowiu na wypadek, gdyby nagle ruszył do ataku. Byłem prawie pewien, że jest niegroźny, ale z powodu tych mocnych barw wolałem nie ryzykować. Zdyszany Eliasz wrócił z płóciennym workiem i długim patykiem. Powoli umieściłem otwór worka tak, by znajdował się o kilka cali od głowy węża, a potem lekko uderzyłem go patykiem w ogon. Byłem przekonany, że napotkam opór, więc zachowanie węża całkowicie mnie zaskoczyło. Czując dotknięcie patyka, gad nagle skoczył naprzód jak rozkręcona sprężyna prosto do worka i tam znieruchomiał tak jak poprzednio, a my spiesznie zawiązaliśmy worek. Nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z tak skorym do współpracy gadem.

– Ik... eechh! – zawołał zdumiony Eliasz. – Wąż nie boi się. Ja myślę, ten wąż lubi masa – stwierdził, a potem dłuższy czas, kiedy szliśmy dalej, odwracając kamienie, chichotał zadowolony.

Wąż okazał się pytonem ziemnym, małym krewnym wielkich węży dusicieli, u których głowa i ogon mają ten sam obwód, a czarna skóra pokryta jest małymi okrągłymi łuskami. Ponieważ nie tworzą one żadnego określonego wzoru, a małe oczka węża są dokładnie tej samej wielkości, kształtu i barwy co otaczające je łuski, nigdy nie wiadomo, gdzie jest koniec, a gdzie początek węża. To zupełnie niegroźne stworzenie większość czasu ryje w wilgotnej ziemi w poszukiwaniu drobnej zwierzyny, odpowiedniej dla jego słabych szczęk. Kiedy się go trzyma w ręku, zwija się i potem nagle prostuje, tak jak to opisałem, ale nigdy nie próbuje ukąsić ani owinać się wokół ręki napastnika czy zmiażdżyć jej, jak to się zdarza w przypadku nawet młodych okazów większych przedstawicieli tej rodziny.

Tak więc pyton ziemny był pierwszą naszą poważną zdobyczą tego dnia. Podjęliśmy zatem dalsze poszukiwania w bardzo optymistycznym nastroju. Ale choć podnieśliśmy wszystkie kamienie, którym byliśmy w stanie podolać, nie znaleźliśmy drugiego takiego węża. Wreszcie daliśmy za wygraną. Szybko spakowaliśmy nasze worki oraz resztę ekwipunku i ruszyliśmy w drogę, zostawiając brzeg rzeki w takim stanie, jakby buszowało tu stado pawianów albo leśnych świń.

Zmierzaliśmy do leżącej jakieś pięć mil od wsi niewielkiej trawiastej polany, którą odkrył kilka dni temu Eliasz. Powiedział mi, że jego zdaniem są tam jakieś ciekawe „zwierzęta”, ale nie potrafił określić jakiego rodzaju. Wkrótce się okazało, że nie znaczył drogi tak dokładnie jak

zwykle i nie wie, gdzie się znajdujemy ani względem wsi, ani owej łąki. Usiadłem na wielkim pniu i stanowczo oświadczyłem, że się nie ruszę, dopóki nie będę pewien, w jakim kierunku mamy iść.

– Ja tu poczekam, a ty idź i poszukaj ścieżki. Jak ją znajdziesz, wracaj do mnie, zrozumiałeś?

– Taajes... – odparł wesoło Eliasz i zniknął wśród drzew.

Z początku wyraźnie słyszałem uderzenia jego maczety, ale stopniowo odgłos ten stawał się coraz słabszy, aż wreszcie zupełnie ucichł. Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się wokół po swoim królestwie. Nagle z pnia, na którym siedziałem, rozległ się głos cykady. Zesztywniałem i zacząłem przyglądać się korze. Cykady stały się zmorą mego życia: pełno ich było w dżungli i wydawały z siebie donośne wibrujące dźwięki zarówno w dzień, jak i w nocy, ale choć usilnie próbowałem, nigdy żadnej nie udało mi się zobaczyć. Teraz w odległości stopy ode mnie któraś z nich grała jak na cytrze. Uważnie badałem wzrokiem pień, zielony gąbczasty mech, kępy drobnych szkarłatnych i zielonych trujących grzybów, stłoczonych w szczelinach, martwe liany nadal trzymające pień swego żywiciela w tak mocnym uścisku, że się wgryzły w korę. Przez ten miniaturowy krajobraz prowadził mrówczy szlak, a u wylotu niewielkiej dziury czyhał nieruchomy czarny pajak. Ale ani śladu cykady. W pewnym momencie ostrożnie obróciłem głowę i spostrzegłem nagle, że coś jakby szkło błysnęło w mchu. I wtedy zobaczyłem cykadę, mierzyła około dwóch cali długości, ciało jej było pokryte pięknym, delikatnym srebrnozielonym wzorem, tak że doskonale wtapiała się w zieloność mchu i szarość pnia. Przede wszystkim zwróciły moją uwagę jej wielkie skrzydła, błyszczące jak szkło, kiedy padły na nie promienie słońca. Pochyliłem się ostrożnie i złapałem ją błyskawicznie w stuloną dłoń. Schwytna zaczęła gwałtownie trzepotać skrzydłami, które dotykając moich palców, szeleściły jak papier. Potem nagle wydała rozpaczliwy ostry krzyk. Obserwowałem ją, trzymając delikatnie w ręku: jej srebrnozielony tułów był twardy jak orzech, oczy duże, wypukłe. Skrzydła przypominały płatki miki, a w świetle rysował się na nich wzór z żyłek tak piękny i skomplikowany jak na kościelnym witrażu. We wgłębieniu pomiędzy łapkami miała cienką długą trąbkę, którą przebija korę drzew i wysysa spod niej sok. Po dokładnym obejrzeniu umieściłem ją na otwartej dłoni; siedziała na niej chyba z minutę, nerwowo poruszając skrzydłami, aż wreszcie poderwała się i zniknęła wśród drzew. Właśnie rozmyślałem nad tym, czy udałoby mi się trzymać te owady w klatce z siatki i karmiąc je miodem i wodą, przywieźć do Anglii, kiedy wrócił Eliasz. Powiedział, że odnalazł ścieżkę i wie, gdzie teraz jesteśmy.

Poszliśmy więc tą ścieżką w kierunku polany. Takie polany tworzą się w niektórych częściach dżungli tam, gdzie warstwa ziemi jest zbyt płytka, żeby dać oparcie korzeniom wielkich drzew. Teren taki pokrywa niska roślinność, która może istnieć dzięki swym twardym korzeniom. Przywierają one do kilkucalowej warstwy ziemi, pokrywającej wielki skalny

pancerz, który stanowi fundament dżungli. Na tych polanach pienia się więc mocne trawy, a w skalnych rozpadlinach, gdzie deszcze naniósł ziemię i powstały głębsze jakby kieszenie, zapuszczają korzenie karłowate drzewka. Ale te małe poletka otoczone są wysokopienną dżunglą. Wystarczy, że warstwa ziemi stanie się grubsza, a już wielkie drzewa, rozrzucając swe nasiona, opanowują teren, wydzierając go niskiej roślinności.

Stopniowo drzewa stały się rzadsze, światło bardziej intensywne i dotarliśmy do gęstych zarośli na skraju polany. Torowaliśmy sobie drogę przez tę obwieszoną kwiatami kolczastą zaporę, brnąc po kolana, kiedy zobaczyliśmy przed sobą wielką złocistozieloną łąkę, skapaną w słońcu, cichą i samotną, obrośniętą na obrzeżach forpocztami lasu.

Położyliśmy się w ciepłej, kruchej trawie i zapaliliśmy papierosy, rozkoszując się słońcem. Stopniowo zaczęły docierać do nas odgłosy życia pniącego się na polanie: dźwięczne krzyki wielkich szarańczy o różowych skrzydłach, przenikliwe poświstywanie żaby drzewnej nad brzegów małego strumyczka, wijącego się wśród traw, ciche, ochryple gruchanie małego gołębia, który przysiadł wśród krzewów nad nami. Nagle z odległego krańca polany dobiegła seria powtarzających się radosnych okrzyków, odbijających się echem wśród drzew: „Karruu... karruu... kuu... kuu...” Nastawiłem lornetkę na drzewa w tamtej stronie i zacząłem starannie przeszukiwać gałęzie. I nagle je zobaczyłem! Trzy duże lśniące ptaki o długich, ciężkich ogonach i zagiętych grzebieniach. Nagle zerwały się do lotu, jak strzały przemknęły nad polaną i usiadły na drzewach po drugiej stronie, wydając znów swój przeraźliwy krzyk; potem, jakby w przypływie dobrego humoru, wielkimi skokami zaczęły przeskakiwać z gałęzi na gałąź, pędząc niby wyścigowe konie, z taką łatwością, jakby te gałęzie były gładką drogą. Miałem przed sobą turako olbrzymie, najpiękniejsze chyba ptaki dżungli. Często słyszałem ich donośne wołanie, ale teraz zobaczyłem je po raz pierwszy. Podziwiałem ich akrobatyczne zdolności, kiedy tak skakały i biegały wśród gałęzi, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby zerwać i zjeść jakiś owoc, a potem znów krzyżeć na cały las. Z zapartym tchem patrzyłem, jak skapano w słońcu, złocisto-zielone, przelatują z drzewa na drzewo, ciągnąc za sobą ogony niby wielkie sroki.

– Eliasz, widzisz te ptaki?

– Taajes...

– Za jednego żywego dam ci dziesięć szylingów.

– Naprawdę, sah?

– Naprawdę. Spróbujesz?

– Taajes... dziesięć szylingów... ik... eechh! – odparł Eliasz, leżąc w trawie i zaciągając się z przyjemnością resztką papierosa.

Usiadłem, żeby lepiej widzieć te wspaniałe lśniące ptaki, które skokami torowały sobie drogę w labiryncie drzew, radośnie przy tym do siebie pokrzykując. Potem nagle na łące znów

zapanowała cisza.

Zabraliśmy się do pracy. Rozwinęliśmy długie sieci o małych oczkach i ustawiliśmy je półkolem, dolną krawędź zakopując w ziemi, tak że wpadające w sieć zwierzęta musiały się w nią zaplątać. Potem usunęliśmy poszycie na odcinku o szerokości około dwóch stóp, pomiędzy końcami sieci, następnie położyliśmy tam ściętą trawę i przykryliśmy lekko warstwą wilgotnej, liściastej ściółki. Teraz mieliśmy pełne koło: jedną połowę tworzyły sieci, drugą pas suchej trawy, którą polaliśmy naftą i podpaliliśmy. Wilgotna warstwa liści sprawiała, że trawa paliła się wolniej, właściwie tliła, tworząc przy tym zasłonę duszącego dymu, pełną w stronę sieci. Czekaliśmy pełni nadziei, ale nic się nie wydarzyło. Tylko stado szarańczy uciekło z dymu, podskakując i gwałtownie furkocząc skrzydłami. Zgasiliśmy więc ogień i przenieśliśmy sieci w inne miejsce, powtarzając wszystko od początku z tym samym rezultatem. Oczy nas bolały od dymu, przypiekało słońce i ogień. Sześć razy przenosiliśmy sieci, pracownicy rozpalaliśmy ogień i nic.

Zacząłem już wątpić w zapewnienia Eliasza, że na tej polanie są ciekawe „zwierzęta”, ale przy siódmej próbie dopisało nam szczęście. Ledwie podpaliliśmy trawę, zobaczyłem, że w jednej sieci coś zaczyna się ruszać i szarpać. Przedostałem się przez dym i zobaczyłem, że w sieci miota się jakieś duże szare zwierzę o długim wygiętym ogonie. Chwyciłem je za ogon i uniosłem w górę, był to wielkoszczur rozmiaru kociaka, o futrze pełnym dużych podobnych do karaluchów pasożytów, które trapią te zwierzęta.

– Eliasz! – zawołałem. – Mamy „zwierze”. – Ale on zbyt był zajęty drugą częścią sieci, żeby zwracać na mnie uwagę, tak więc z pewnymi trudnościami udało mi się wpakować szczura do grubego płóciennego worka, unikając przy tym pogryzienia. Poszedłem wśród dymu na drugi kraniec sieci i zobaczyłem, że Eliasz szybko biega na czworakach, mrużąc gniewnie:

– Ach, ty brzydkie zwierze... Ach, ty niedobra rzecz...

– Co to takiego, Eliasz?

– Szczur z buszu, sah – odparł podniecony. – On biega za szybko i gryzie za dużo... Uwaga, sah, on ciebie chaps.

Tam i z powrotem wśród kępy trawy biegało stadko szczurów. Skakały i poruszały się zwinnie i bardzo szybko, uciekając przed dymem, a przy tym z niezwykłą zręcznością unikając oczek sieci. Były tłuste i lśniące, koloru zielonooliwkowego, a nosy i tylną część ciała miały rdzawoczerwone. Ruszając nerwowo długimi wąsami, śmigały nam koło nóg, wskakiwały w trawę i wyskakiwały z niej, a ich małe różowe łapki intensywnie pracowały. Były niezwykle odważne i boleśnie kąsały. Kiedy Eliasz ukląkł w trawie, próbując jednego z nich złapać, drugi przebiegł mu po nodze, wpadł pod jego biodrową opaskę i ugryzł w pachwinę, potem zeskoczył na ziemię i zniknął w trawie.

– Aj! – darł się Eliasz. – On mnie ugryzł, sah... ik... eechh! To złe zwierze...

W tym właśnie momencie jeden ze szczurów wbił mi zęby w palec wskazujący, niezbyt więc przejąłem się chwalebnyymi ranami Eliasza. Wreszcie złapaliśmy dziesięć szczurów i wynurzyliśmy się z dymu, wyglądając, jakbyśmy stoczyli ciężką walkę z lampartem. Ja miałem pięć bolesnych ugryzień na dłoniach i podrapaną twarz, gdyż przewróciłem się w kolczaste krzewy. Eliaszowi po nogach spływała krew, miał dwie rany na rękach i jedną na kolanie. Zdumiewające, jak mocno się krwawi w tropikach: wystarczy najdrobniejsze zadrapanie, a krew płynie, jakby została przecięta tętnica. Na domiar złego do tych otwartych ukąszeń i zadrapań ściekał pot, tak że bardzo nas piekły. We włosach mieliśmy pełno błota i popiołu. Trzeba przyznać, że drogo zapłaciliśmy za schwywanie tych szczurów.

Mimo to postanowiliśmy wypalić jeszcze jeden krąg w trawie, nim wyruszymy z powrotem do wsi. Żmudną robotę zakładania sieci i rozpalania ognia wykonaliśmy teraz radośnie, uszczęśliwieni zdobyczą, gdyż jak wiadomo, każdy sukces cieszy. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż wielokrotne powtarzanie jakiejś czynności bez rezultatów. Cofnęliśmy się i zaczęliśmy obserwować dym, powoli snujący się w złocistej trawie.

Pierwsze poderwały się z ukrycia i ruszyły w stronę sieci, przekonane, że łąka się pali, dwie dorodne, pięknie ubarwione jaszczurki, śligi. Jedną złapałem siatką na motyle, ale druga uciekła w stronę Eliasza, który nieporadnie zamachnął się na nią kijem i patrzył, jak gad znika wśród krzewów.

– Eliasz, uciekła ci?

– Ja idę za nią w krzaki, sah – odparł zmartwiony.

– Dlaczego nie złapałeś jej rękami? – spytałem gniewnie, wymachując mu przed nosem moją śligą jako wymownym dowodem. Cofnął się przerażony.

– To złe zwierze, masa. Ugryzie ciebie, to ty umrzesz.

– Nonsens – powiedziałem. Włożyłem mały palec między półotwarte szczęki jaszczurki i pozwoliłem żeby mnie ugryzła. Było to zaledwie słabe uszczypnięcie.

– Widzisz? To nie było złe zwierze, nie może mnie ugryźć, jest za słabe.

– Masa, to ma truciznę – powiedział Eliasz, przyglądając się zafascynowany, jak ślīga żuje mój palec. – To naprawdę złe zwierze, sah.

– Jeśli mnie ugryzie, to umrę?

– Nie sah – odparł Eliasz z typowo afrykańską logiką, na którą nie ma żadnych argumentów.

– Ty biały człowiek. Jeśli to zwierze ugryzie czarny człowiek, on umrze od razu. Biały człowiek inny.

Umieściłem moją śligę w płóciennym worku i znów zajęliśmy się siecią, w której miały się trzy urocze szczury i czarny ponury zębielek. Szczury były jasnopłowe, pokryte wzdłuż pasmami z wyraźnych, okrągłych kremowych cętek. Kiedy chwyciliśmy je za ogony, wisiały spokojnie, tak że zajmując się nimi, nie odnieśliśmy żadnej rany. Później się przekonałem, że te

szczury, choć bardziej nieśmiałe, dają się oswajać najłatwiej ze wszystkich leśnych szczurów; po dwóch dniach spędzonych w niewoli wspinały się na rękę po jedzenie.

Za to zębiełek, należący do ryjówek, miał charakter tak czarny jak jego sierść. Choć mierzył zaledwie trzy cale długości, walczył zaciekle w sieci, a kiedy próbowaliśmy go z niej wypłatać, zaatakował nas z otwartym pyszczkiem, marszcząc przy tym z wściekłości swój długi nos. Uwolniony z siatki siedział na tylnych nogach, zacisnąwszy łapki w pięści i wrzeszczał na nas groźnie, ostrzegając, że nie da się dotknąć. Z wielkim trudem włożyliśmy go do pudełka, gdzie siedział zanurzony do połowy w trawie, którą je wyścieliliśmy, i bardzo zły mruczał coś do siebie. Nie chciałem go zatrzymać, gdyż tak małe stworzenie zapewne nie przeżyłoby długiej męczącej podróży do Anglii, ale zamierzałem przez pewien czas z bliska go poobserwować. Dla Afrykanów fakt, że czasem zadaję sobie tyle trudu, żeby złapać jakieś zwierzę tylko po to, żeby je trzymać kilka dni, a potem wypuścić na swobodę, nie robiąc mu żadnej krzywdy, nie zjadając go, świadczył o tym, że jestem niespełna rozumu.

Promienie słońca padały już ukośnie na łąkę, kiedy się spakowaliśmy i ruszyliśmy w drogę powrotną skrajem łąki w stronę złocisto-zielonej ściany liści. W dżungli szybko ogarnął nas mrok i wkrótce pod drzewami było całkiem czarno. Co chwila się potykałem o korzenie i uderzałem głową w gałęzie przy akompaniamencie nieustannych „przepraszam, sah” Eliasza. Kiedy dotarliśmy do pól otaczających wieś, zobaczyliśmy, że tu zmierzch dopiero otulił świat. Wysoko nad nami dwie papugi leciały w stronę dżungli, a ich wrzaski i gwizdania dolatywały do nas echem. Rozsiane po niebie chmury tonały w złocie, różowości i zieleni. Światła obozu powitały nas przyjaźnie, a zapach wieprzowiny duszonej z orzeszkami ziemnymi mile łechtał mi nozdrza. Pomyślałem bez entuzjazmu, że nim się umyję i coś zjem, muszę najpierw zająć się naszą zdobyczą, odpowiednio rozmieścić zwierzęta i nakarmić je.

III

Większe zwierzęta

Większe zwierzęta były prawie równie liczne jak te mniejsze i zaliczało się do nich wszystko, począwszy od stworzeń wielkości domowego kota aż po słońia. Większe zwierzę rzecz jasna łatwiej złapać, po prostu dlatego, że jest bardziej widoczne. Ostatecznie stworzenie wielkości myszy albo wiewiórki nie potrzebuje gęstwiny, żeby się ukryć. Wszystkie mniejsze stworzenia miały irytujący obyczaj przeciskania się przez oczka naszych sieci, lecz gdy w sieć wpadło duże, niemal zawsze stawało się naszą zdobyczą.

Pewnego ranka Eliasz i Andraia przyszli o jakiejś, moim zdaniem, niesamowitej godzinie. Leżąc w miłym półmroku namiotu, słyszałem, jak na dworze głośnym szeptem toczy się sprzeczka, czy można mnie obudzić, czy nie. Pod tym względem Pius był twardy jak głaz i długo trwało, nim wbiłem mu w głowę, że nowo przybyłe zwierzęta nie mogą czekać, ponieważ trzeba jak najszybciej się nimi zaopiekować. Jeśli ktoś przyszedł z jakimś stworzeniem, kiedy się goliłem, jadłem albo czyściłem strzelbę, Pius wyniośle kazał mu czekać. Biedne zwierzę, które zostało schwytane w niezbyt łagodny sposób, być może przeżyło dzień bez jedzenia i picia i długi transport w słońcu, w niewygodnym worku albo plecaku, zapewne wykończyłoby się podczas tego dodatkowego oczekiwania. Odnosiło się to zwłaszcza do ptaków. Nie udało mi się na razie przekonać łowiących ptaki tubylców, że jeśli schwytali ptaka wieczorem i nie przynieśli go do mnie następnego dnia rano, szanse na jego przeżycie są prawie żadne. Zawsze kiedy to wyjaśniałem, otrzymywałem niezmienna odpowiedź:

– Masa, to mocny ptak. Ten ptak nie umrze, na pewno.

Wobec takiej postawy myśliwych musiałem wyjaśnić Piusowi, że zwierzę nie może czekać i niezależnie od tego, kiedy zostanie dostarczone, czy to będzie czas lunchu, czy w środku nocy, należy je natychmiast przynieść do mnie. Po długiej awanturze myślałem, że jasno wyjaśniłem, o co mi chodzi, ale teraz Pius nie chciał dopuścić do mnie Eliasza i Andrai, i z kłótni, jaka toczyła się przed moim namiotem, wynikało, że zapomniał o otrzymanych instrukcjach. Najwyraźniej Eliasz i Andraia byli w dżungli bardzo wcześnie rano i zdobyli coś, co ich zdaniem mogło zakończyć życie, podczas gdy Pius uparł się, że mnie nie obudzi przed ustaloną przeze mnie godziną szóstą trzydzieści. Byłem wściekły.

– Pius! – wrzasnąłem.

– Sah?

Wszedł po chwili do namiotu z filiżanką parującej herbaty, co mnie trochę ułagodziło.

– Dzień dobry, sah.

– Dzień dobry – odparłem, biorąc od niego filiżankę. – O co ta awantura na dworze? Czy ktoś przyniósł jakieś zwierzę?

– Nie, sah. Eliasz i Andraia chcą zabrać pana do buszu.

– Na miłość boską, o tej porze? Dlaczego tak wcześnie?

– Powiadają – w głosie Piusa brzmiało niedowierzanie – że bardzo daleko znaleźli wielką dziurę.

– Wielką dziurę w ziemi?... Masz na myśli jaskinię?

– Tak, sah.

Była to dobra wiadomość, gdyż na moją prośbę myśliwi szukali jaskiń, które moglibyśmy zbadać, ale jak dotąd bez rezultatu. Wygramoliłem się z łóżka i ubrany w mój wspaniały granatowo-czerwony szlafrok wyszedłem z namiotu.

– Dzień dobry, Eliasz... Dzień dobry, Andraia.

– Dzień dobry, sah – odparli jak zwykle chórem.

– O co chodzi z tą dziurą? – spytałem, sącząc herbatę z wielkopańską miną. Z trudem oderwali wzrok od mojego szlafroka.

– Wczoraj byłem w buszu – powiedział Eliasz – i znalazłem dziurę, jaką masa chce. W środku słyszę jakieś zwierze.

– Widziałeś je?

– Ja go nie widzę, sah – odparł Eliasz, szurając nogą. Zrozumiałem, że będąc sam, nie odważył się wejść do jaskini, ponieważ hałas mogło spowodować złe dżu-dżu.

– No dobrze, co więc robimy?

– Masa, my weźmiemy czterech ludzi i wtedy idziemy do buszu. Potrzebna duża siatka i łapiemy to zwierze...

– Dobrze, idź do wsi i sprowadź tu kilku dobrych myśliwych. W ciągu godziny masz być z powrotem. Słyszysz?

– Ja słyszę, sah.

– Pius, szybko podaj mi śniadanie.

– Tak, sah – odparł ponuro Pius. Wcale mu się ten zamysł nie spodobał. Pobiegł do kuchni i tam zaczął besztać kucharza, w ten sposób wyładowując się na nim. – Nie słyszysz, że masa chce zaraz śniadanie... Siedzisz sobie jak jakiś dzikus. Podaj mi talerz, kubek, szybko, szybko.

Po godzinie byliśmy w górzystej części dżungli, na wzniesieniach pokrytych płataniną korzeni. Oprócz Eliasza i Andrai było trzech ludzi: przebiegły osobnik o lisiej twarzy, z racji swojego zawodu zwany Cieślą, sympatyczny młodzieniec imieniem Nick i chudy, milczący Tomasz. Daniel, boy opiekujący się zwierzętami, siedł z tyłu, niosąc jedzenie dla nas wszystkich. Byliśmy w bardzo dobrym nastroju, myśliwi głośno rozmawiali, śmiejąc się i od czasu do czasu pokrzykując: „Ik... eechh!” Mocnymi uderzeniami maczet nacinali drzewa, żeby zaznaczyć szlak. Wspinaliśmy się pod górę przez jakieś pół mili, potem grunt stał się równiejszy i szło nam się łatwiej. Co pewien czas natrafialiśmy na drzewa mające w obwodzie najwyżej

sześć cali, smukłe, bez gałęzi, strzelające prosto w górę, w gęstwinę zieloności. Na pniach tych drzew rosły piękne maleńkie kwiatki jak z wosku, ciemnoróżowe, na ćwierćcalowych łodygach. Były one wielkości paznokcia małego palca ludzkiego i rosły tak gęsto, że prawie całkowicie zakrywały korę. W dziwnym, jakby podwodnym świetle dżungli na tle ciemnego drzewa świeciły jak wielkie różowe koralowce. W jednym miejscu minęliśmy sześć takich drzew rosnących na pagórku uformowanym z potężnych gładów, pokrytych miękkim jak aksamit mchem i żółto kwitnącą begonią. Wielogodzinna wędrówka przez dżunglę nużyła oczy nie kończącą się monotonią nagich pni drzew i wąskiego poszycia i taki cudowny widok, fantastyczny w kolorycie i kształcie, znów budził zainteresowanie otoczeniem.

W pewnym momencie zauważyłem, że wzdłuż naszej ścieżki leży olbrzymi butwiejący pień, mający chyba ze sto pięćdziesiąt stóp długości. Choć drzewo upadło bardzo dawno temu, wyraźnie było widać, że kiedy się roztrzaskało, zniszczyło wokół siebie roślinność, a wielki ciężar jego liściastej korony utworzył na ziemi małą polanę. W górze wyrwał dziurę w leśnym sklepieniu, przez którą przeziarał błękit nieba.

Wyrwane z ziemi, poskręcane i czarne korzenie wyglądały jak ręka olbrzyma. W tej dłoni dostrzegłem czarny otwór, prowadzący do wnętrza pnia. Zwróciłem na to uwagę Eliasza.

- Jak myślisz, czy tam są jakieś zwierzęta?
- Czasem one tam wchodzi – odparł ostrożnie.
- No to dobrze, zajrzemy do środka...

Andraia, Cieśla i ponury Tomasz podeszli do wierzchołka drzewa, a tymczasem Nick, Eliasz i ja uważnie zaczęliśmy oglądać otwór u podstawy. Wejście miało około ośmiu stóp średnicy, tak że człowiek mógł tam z łatwością stanąć. Eliasz i Nick wpełzli na kilka stóp do wnętrza i zaczęli węszyć jak teriery. Ja czułem tylko zapach gnijącego drewna i wilgotnej ziemi.

- Ach – powiedział Eliasz do Nicka, mocno węsząc. – To zwierze to chyba katar.
- Chyba tak – zgodził się Nick, także węsząc. Ja nadal nic specjalnego nie czułem.
- Co to za zwierzę „katar”? – spytałem Eliasza.
- To być zwierze, sah. Skórę na plecach ma jak wąż. Ono robi tak... – i skulił się jak piłka, żeby pokazać obyczaje tego stworzenia.

- Jak chcesz je wyciągnąć? – spytałem.

Eliasz wyszedł z pnia i odbył szybką rozmowę w języku banyangi z Cieśłą, znajdującym się u drugiego końca drzewa. Potem zwrócił się do mnie:

- Masa ma latarkę?
- Tak... Daniel, przynieś mi z plecaka tę dużą latarkę. Trzymając latarkę w zębach, Eliasz znów na czworakach zniknął w otworze, mruczając i sapiąc. Dobiały do nas jego stłumione westchnienia: „Ik... eechh!” Uważałem, że nie należy w tym właśnie momencie przypominać mu, że w takich płytkich miejscach bardzo lubią się gnieździć niektóre odmiany węży. Ciekaw

byłem, co pocznie, jeśli natrafi na węża w tym wąskim tunelu, gdzie nie było miejsca, żeby się obrócić.

Nagle, kiedy przebył jakieś dwadzieścia stóp we wnętrzu pnia, usłyszeliśmy stłumione okrzyki i szamotaninę.

– Co on mówi? – spytałem zaniepokojony Nicka, wyobrażając sobie, że jakiś groźny wąż dopadł Eliasza.

– Eliasz widzi zwierze, sah. Ono żyje w środku. Eliasz mówi, niech Cieśla zrobi mały ogień, zwierze wtedy ucieka i Eliasz go złapie.

– Dobrze, idź i powiedz to Cieśli.

– Taajes... Sah ma zapalki?

Podąłem je, a Nick ruszył do drugiego końca drzewa. Wpełzłem do środka i w niewyraźnym blasku latarki zobaczyłem daleko w głębi Eliasza.

– Eliasz, wszystko w porządku? – Sah?

– Czy wszystko z tobą w porządku?

– Tak, sah. Widzę go! – krzyknął podniecony.

– Jakiego rodzaju jest to zwierzę?

– To katar, sah, i on idzie w tył.

– Czy mogę podejść bliżej i zobaczyć?

– Nie, sah, tu za ciasno! – zawołał w odpowiedzi i nagle zaczął kaszleć. Wielka chmura duszącego dymu rozsnuła się we wnętrzu pnia, przesłaniając światło latarki, zacząłem się krtusić, oczy mi łzawiły. Szybko wyczołgałem się na zewnątrz.

– Andraia! – krzyknąłem. – Zrobiłeś za duży ogień, musi być mniejszy, słyszysz mnie?

– Tak, sah. Ja słyszę – dobiegła mnie słaba odpowiedź z drugiego końca drzewa.

Ponownie wpełzłem w zadymioną czeluść.

– Wszystko z tobą w porządku, Eliasz?

– Mam go, mam go! – krzyknął w odpowiedzi uradowany Eliasz, mocno przy tym kaszłąc.

– Przynieś mi go! – odparłem, i jak tylko mogłem najszybciej, zacząłem pełznąć na czworakach, starając się dojrzeć coś wśród kłębow dymu. – Przynieś szybko!... – Miałem wrażenie, że minęły długie godziny, nim ujrzałem zrogowaciałe podeszwy stóp Eliasza i jego samego, nagusieńkiego jak go Pan Bóg stworzył, ponieważ opaską na biodra owinał swoją zdobycz. Uśmiechnął się do mnie od ucha do ucha.

– Ja go owinałem, sah, w moja opaska. Bałem się, on mi ucieknie.

– Czy to zwierzę szybko biega? – spytałem, niosąc ciężkie tajemnicze zawiniątko w miejsce, gdzie było jasno i mogłem je rozwiązać.

– Nie, sah.

– Gryzie?

– Nie, sah.

Uspokojony tymi informacjami położyłem zawiniątko na ziemi i rozwinąłem. Miałem przed sobą niezwykle stworzenie. Na pierwszy rzut oka zdawało mi się, że to wielka jodłowa szyszka, do której przywarła druga szyszka, różowoszara. Zorientowałem się wtedy, że jest to samica łuskowca nadrzewnego zwinięta ciasno w piłeczkę, ze swoim przyczepionym do pleców dzieckiem.

– To katar – oświadczył z dumą Elias.

– Bardzo piękne stworzenie – powiedziałem.

Z trudnością udało mi się zdjąć małe z grzbietu samicy, gdyż chciałem mu się przyjrzeć. W przeciwieństwie do matki wcale się nie bało. Siedziało mi na dłoni, patrząc krótkowzrocznie swoimi małymi kaprawymi oczkami, podobnymi do dwóch wypukłych guziczków do butów. Stworzenie to od czubka długiego pyszczka aż do końca pokrytego łuską ogona miało dziesięć cali długości, również grzbiet i łepki były pokryte drobnymi zazębującymi się, podobnymi w kształcie do liści łuskami, które z racji jego młodego wieku były szaraworóżowe i nadal jeszcze miękkie. Jego brzuszek, broda, wewnętrzna strona łap i smutny pyszczek były porośnięte białawym, dość szorstkim futerkiem, a spodnia część ogona całkiem łysa. Pyszczek miał długi i próbował wcisnąć mi między palce swój wilgotny, lepki nos. Tylne grube nóżki miały pazurki, za to każda przednia wyposażona była w jeden duży zagięty pazur, a obok drugi, nieco mniejszy. Przednimi pazurami to małe stworzenie przywierało z wielką siłą do mojej ręki i starało się owinać ogon wokół przegubu, żeby się jak najlepiej zabezpieczyć, ale nie miało jeszcze siły osobnika dorosłego, tak że za każdym razem kiedy się zwinęło, ześlizgiwało się. Jego matka wyglądała podobnie, tyle że łuski miała twarde, koloru kasztana, a brzegi ich były zniszczone i połamane, nie tak ładnie poukładane, w trzy małe szpice, jak u dziecka. Mierzyła zapewne około trzech stóp, ale trudno mi było to stwierdzić, ponieważ wstydliwie nie dała się rozprostować. Zwinięta miała rozmiary piłki futbolowej.

Myśliwi oczywiście szaleli z radości z powodu tej zdobyczy, ja jednak dobrze zapamiętałem wszystko to, co przeczytałem na temat łuskowców, i raczej byłem skłonny do pesymizmu. Żywią się one mrówkami, nie mają zębów, tylko bardzo długi węzowaty język i wydziela im się duża ilość lepkiej śliny. Mocnymi przednimi pazurami rozpruwają kopce mrówek, a potem szybko wysuwają i wciągają długi język, za każdym razem z przylepioną do niego warstwą owadów. Jak w przypadku wszystkich zwierząt, które odżywiają się tak jednostronnie, w niewoli z trudem przyzwyczajają się do pożywienia zastępczego i dlatego rzadko kiedy udaje się je utrzymać przy życiu. Ale były to moje pierwsze łuskowce i postanowiłem, że nie poddam się bez walki. Umieściłem dziecko z powrotem na plecach matki; natychmiast wbiło duże przednie pazury w szczelinę między dwiema łuskami, a końcem ogona zaczepiło o trzecią. Tak zakotwiczone wsunęło swój długi nos pomiędzy przednie nóżki i zasnęło. Oboje włożyłem do płóciennego

worka i znów ruszyliśmy w drogę. Po godzinie marszu dotarliśmy do jaskini, do której tak bardzo chciałem zaprowadzić Eliasza. Przed sobą miałem strome zbocze pagórka pokryte w niższych partiach wielkimi głazami. Część ich była zakopana do połowy w ziemi, inne zaś prawie ginęły pod grubą warstwą paproci, begonii i grubego mchu. Pod jednym z tych głazów znajdował się otwór długości około trzech stóp i wysokości osiemnastu cali. Wskazując go z dumą, Eliasz powiedział:

– To ta dziura, sah.

– I to ma być ta jaskinia? – spytałem, podejrzliwie spoglądając na mały otwór.

– Tak, sah. To małe wejście, ale w środku dużo miejsca... Masa zobaczy latarką?

– Dobrze – zgodziłem się z rezygnacją.

Myśliwi usunęli bujną roślinność sprzed wejścia do jaskini, a ja, leżąc na brzuchu, wsunąłem głowę i ramiona w otwór. Rzeczywiście wewnątrz jaskini było wielkości małego pokoju; w przeciwległym jego krańcu grunt zdawał się ostro spadać w dół. Powietrze było tu świeże i chłodne. Skaliste podłoże jaskini było pokryte warstwą czystego białego piasku. Wysunąłem się z otworu.

– Jeden z was musi wejść do środka – powiedziałem stanowczo – i świecić latarką, dopiero wtedy wejdziemy za nim. – Spojrzałem na myśliwych, ale żaden z nich się do tego nie palił. Wybrałem Daniela, ponieważ był najmniejszy.

– Ty, Daniel, weźmiesz latarkę i wejdiesz do środka, potem Andraia, za nim pójdę ja.

Daniel i Andraia wcale nie byli zachwyceni tym pomysłem.

– Masa – jęknął Daniel – tam w środku może być złe zwierze...

– I co z tego?

– Ono mnie złapie...

– Jak to? To ty nie jesteś myśliwym? – spytałem, marszcząc przy tym surowo czoło. – Jeśli jesteś myśliwym, to jak „zwierze” złapie ciebie? To ty złapiesz „zwierze”, prawda?

– Ja się boję – stwierdził szczerze Daniel.

– Eliasza – powiedziałem – zobacz, czy słyszysz jakieś „zwierze” w środku?

Każdy kolejno wsadzał swoją wełnistą głowę w otwór i po chwili stwierdzał, że nic nie słyszy.

– No widzisz – powiedziałem do Daniela. – Teraz wejdiesz do środka. Nie bój się, nie zostawimy cię samego. Ja i Andraia pójdziemy za tobą.

Z miną męczennika zbliżającego się do stosu Daniel położył się na ziemi i wpełzł do otworu.

– Andraia, teraz ty...

Wysokiemu Andrai zabrakło sporo czasu wczolganie się do środka. Słyszeliśmy, jak krzyczy na Daniela, że po pierwsze tarasuje wejście, które z punktu widzenia Daniela było wyjściem, a po drugie świeci mu prosto w oczy latarką. Wreszcie zniknął nam z oczu i teraz ja zacząłem się

szukować, żeby pójść w jego ślady. Właśnie miałem głowę i ramiona w środku, kiedy w jaskini rozległy się głośnie wrzaski, zostałem mocno uderzony w głowę kijem od siatki na motyle, a latarka tak mnie oślepiła, że nie widziałem, co się dzieje.

– Masa, masa! – krzyczał Daniel, znów uderzając mnie po głowie siatką. – Wielki boa... wielki wąż... Ty się cofaj, sah, cofaj...

– Cicho bądź – wrzasnąłem – i przestań mnie walić tą cholerną siatką!

Daniel przycupnął rozdygotany. Wpełzłem do środka, przykucnąłem obok niego i zabrałem mu latarkę. Obejrzałem w jej świetle jaskinię i zobaczyłem, że tykowaty Andraia siedzi tuż obok.

– Andraia, z której strony jest ten boa?

– Ja go nie widzę, sah – odparł. – To Daniel mówi, że on jest tu... – I długim ramieniem wskazał głębokie przejście przed nami.

– Ty go widzisz? – spytałem Daniela, któremu klekotały zęby ze strachu.

– Ja go widzę, sah, tam, tam w środku. On ma znak na skórze.

– W porządku. Uspokój się, posłuchamy.

Przywarowaliśmy, milcząc, ciszę mąciło tylko szczękanie zębów Daniela. Nagle usłyszałem jakiś inny dźwięk. Ponieważ Andraia w tym momencie przekrzywił głowę w bok, zorientowałem się, że on również to słyszy. Był to cichy syk, pomruk, narastający w ciemności przed nami. Daniel zaczął jęczeć, więc uderzyłem go latarką w gołe.

– Andraia – szepnąłem – słyszysz coś?

– Ja nie wiem, sah – odparł.

Z ciemności dobiegał ponury, groźny odgłos. W jaskini było tak zimno, że wszyscy się trzęśliśmy. Wiedziałem, że muszę szybko coś zrobić, w przeciwnym bowiem razie Daniel dojdzie do wniosku, że jest to jakaś forma dżu-dżu i wtedy zostanę stratowany na śmierć w drodze do małego otworu wyjściowego. Wziąłem latarkę, nakazałem moim rozdygotanym myśliwym, żeby się nie ruszali, i zacząłem się czołgać naprzód, do miejsca, gdzie jaskinia gwałtownie opadała w dół. Niezbyt mnie to zachwycało, gdyż wiedziałem, że w razie spotkania z niewiadomej wielkości pytonem znalazłbym się w trudnej sytuacji, zwłaszcza że w jednej ręce trzymałem jedyne źródło światła. Dotarłem do miejsca, gdzie grunt się obniżał, nachyliłem i poświeciłem latarką. Poniżej była duża jaskinia. Dziwny hałas narastał i kiedy puściłem tam snop światła, miałem wrażenie, że sklepienie opadło i sunie na mnie z wielkim szumem i przeraźliwym piskiem. Czarna fala coraz bardziej się zbliżała; na chwilę zamarło mi serce i przemknęło mi przez głowę, że zbyt pochopnie zbagatelizowałem dżu-dżu. Lecz nagle zrozumiałem, że ta wielka chmura składa się z setek malutkich nietoperzy. Powietrze aż gęste było od nich, przypominały rój pszczół, a sklepienie dolnej jaskini było tak gęsto nimi pokryte, że wyglądało, jakby poruszał się na nim puszysty dywan. Piszcząc, krążyły wokół mnie,

przecinały promień latarki, a ustawiczny trzepot ich skrzydeł wywoływał silny podmuch. Skierowałem światło latarki na ziemię, ale nigdzie nie znalazłem zapowiadanego przez Daniela węża „boa”.

– Andraia! – zawołałem. – Tu nie ma boa, tu są tylko nietoperze...

Słyszając to, Andraia i Daniel przybiegli do mnie. Spojrzeli w dół, w pełną nietoperzy jaskinię.

– Ik... eechh! – powiedział Andraia.

Daniel nie wyrzekł ani słowa, ale przestał szczekać zębami.

– No powiedz mi, gdzie ten wielki boa? – spytałem go z ironią.

Zaczął chichotać, Andraia mu zawtórował.

– No dobrze. A teraz już żadnych więcej głupot, zrozumiano? Wyjdiesz na dwór i poprosisz Eliasza o sznur i siatkę do łapania... I to szybko.

Daniel skierował się do wyjścia.

– Masa chce ta zwierzyna? – spytał Andraia, kiedy czekaliśmy na powrót Daniela.

– Nie, nie chcę tych małych nietoperzy. Chcę duże. Czy myślisz, że je tu znajdziemy?

– Z pomocą boską, tak – odparł pobożnie Andraia, zaglądając w głąb.

Żeby się dostać do dolnej jaskini, powinniśmy byli zejść piętnaście stóp w dół po stromej skale, na której krawędzi teraz przykucnęliśmy. Lina była tu niezbędna, zacząłem więc się rozglądać, do czego ją przywiążemy, ale nic nie znalazłem. Po dłuższym czasie wrócił Daniel z linami i siatką. Kazałem mu wyjść na zewnątrz i tam przywiązać linę mocno do drzewa. Następnie zakryliśmy siecią tunel łączący obie jaskinie i zostawiliśmy tam Daniela, by wypłatywał każdego nietoperza, który by wpadł w sieć, a ja i Andraia zaczęliśmy schodzić w dół. Na pierwszy rzut oka ściana wydawała się gładka, ale z bliska przekonaliśmy się, że jej powierzchnia niby zaorane pole pokryta jest podłużnymi bruzdami o krawędziach ostrych jak brzytwa. Wreszcie obdarci i zakrwawieni dotarliśmy do piaszczystego dna jaskini. Było tutaj takie mnóstwo nietoperzy, że powietrze aż wibrowało od ich pisków i trzepotania skrzydeł. Andraia trzymał latarkę, a ja krążyłem wokoło z siatką na długim kijku i po wielu nieudanych próbach udało mi się złapać cztery małe nietoperze. Chciałem je mieć jako okazy muzealne, gdyż tego gatunku nietoperze żywiące się małymi owadami trudno hodować, a poza tym z pewnością nie przeżyłyby długiej podróży do Anglii. Miały dużą rozpiętość skrzydeł: około ośmiu cali, a tłusty, pokryty futrem tułów był wielkości włoskiego orzecha. Ale nade wszystko zdumiała mnie głowa, kiedy ją obejrzałem w świetle latarki. Sterczały z niej wielkie uszy w kształcie płatków kwiatów, przejrzyste w świetle latarki. Nosy były nagie, ale za to rowkowane i ząbkowane na kształt zdumiewającej płaskorzeźby, przypominającej zniekształconą rozetę Tudorów w miniaturze. Małe jak u gargulca oczka błyszcząły, a w otwartych pyszczkach widać było białe ząbki. Potem zaczęliśmy szukać w jaskini większych

nietoperzy, żywiących się owocami, być może zamieszkujących ją również obok tych małych potworków, ale wysiłki nasze były bezowocne. Najpierw wysłałem Daniela z siatkami na powierzchnię, a po chwili poszedłem w jego ślady. Kiedy mrugając oczami w blasku słońca, wypęzłem na zewnątrz, Cieśla podbiegł do mnie i pomógł mi wstać.

- Witam, sah – powiedział, jakbym wracał z dalekiej podróży.
- Już myślałeś, że złapało mnie dżu-dżu – powiedziałem.
- Nie, sah, ale czasem można spotkać w takim miejscu złe zwierze.
- A dżu-dżu?
- Ech... czasem można także spotkać dżu-dżu – przyznał.
- Gdzie jest Elias? – spytałem, dopiero teraz zauważywszy jego nieobecność.
- On niedawno poszedł do buszu, szukać drugiej dziury – wyjaśnił Cieśla.
- Czy jest tu gdzieś w pobliżu druga dziura? – spytałem z ciekawości.
- Może Elias ją znajdzie – powiedział dość sceptycznie.

Jednak Cieśla się mylił. Elias wrócił i powiedział, że w odległości jakiejś pół mili znalazł drugą jaskinię, większą niż ta, którą właśnie zbadaliśmy, a ponadto pełną dużych nietoperzy. Natychmiast tam ruszyliśmy.

Jaskinia mieściła się w skalistym zboczu wzgórza i z pewnością była znacznie większa od poprzedniej. Wejście do niej było prawie ukryte wśród bujnej roślinności. Wewnątrz miała siedemdziesiąt jardów długości, a sklepienie, znajdujące się na wysokości co najmniej trzydziestu jardów, pokryte było grubą ruchomą warstwą skrzeczących nietoperzy owocożernych. Był to niezwykle ciekawy widok i pogratulowałem Eliaszowi jego odkrycia. Wkrótce jednak pojawiły się trudności: sklepienie jaskini znajdowało się zbyt wysoko, by sięgnąć tam siatkami na długich kijach, otwór jaskini zaś był tak duży, że tylko jego część mogliśmy zakryć naszą największą siecią. Po namyśle ułożyłem pewien plan. Wysłałem dwóch myśliwych do dżungli, żeby ścięli dla nas wszystkich po jednym drzewku długości jakichś dwudziestu stóp. Poleciłem im, żeby każde dokładnie oczyścili, tylko na czubku zostawiając pęk gałązek z liśćmi. Następnie możliwie szczelnie zatkali wejście do jaskini sieciami, a potem każdy dostał miękki worek, żeby włożyć w niego ewentualną zdobycz. Gdy wszystko było gotowe, cofnąłem się do środka i wypaliłem ze strzelby w ziemię z obu luf. Huk wystrzału i jego echo wywołało istne pandemonium. Cała kolonia nietoperzy, licząca co najmniej pięćset sztuk, w panice wzbila się w powietrze, kołując wokół jaskini, machając skrzydłami, podnosząc przy tym nieopisaną wrzawę. Łopot ich skrzydeł przypominał uderzenia wielkich fal o skalisty brzeg. Po dłuższej chwili, kiedy się upewniliśmy, że sklepienie nie ucierpiało i nie zawali się z powodu wystrzału, weszliśmy głębiej. Było tu aż gęsto od nietoperzy owocożernych, latających nam nad głowami, skręcających w bok tuż przed twarzą, czochrających nam włosy machaniem skrzydeł. Zabraliśmy się do dzieła, biegnąc wokół jaskini i wymachując nad głowami kijami. Nie miało

sensu łapanie pojedynczych nietoperzy, ponieważ wywijały się nam z największą łatwością. Dopiero gdy wybraliśmy miejsce, gdzie było ich najwięcej, odnieśliśmy sukces: każdym machnięciem miotłkowatego kija strącaliśmy na piaszczyste podłoże kilka nietoperzy. Wtedy rzucaliśmy naszą broń i chwytaliśmy je, nim wzbiły się w powietrze. Nie zadawaliśmy im mocnych ciosów, gdyż kije miały na czubku gałązki i liście, wystarczyło to jednak, by zdezorientowane nietoperze spadały na ziemię. Tutaj szybko próbowały poderwać się do lotu. Nawet w tej beznadziejnej sytuacji wykazywały tak dużą ruchliwość, że trudno było nam je łapać i wkładać do worków, gdyż zęby miały ostre i bardzo duże.

W ciągu trzech kwadransów tej niezwyklej gonitwy wokół jaskini, złapaliśmy dwadzieścia pięć sztuk. Ale wkrótce nietoperze poszły po rozum do głowy: niektóre wyleciały na dwór, gdzie zawisły na drzewach niby drgające grona czarnych owoców, inne natomiast zgromadziły się w najwyższym miejscu sklepienia, gdzie nie mogliśmy ich dosięgnąć. Doszedłem do wniosku, że dwadzieścia pięć okazów na początek nam wystarczy, i zarządziłem koniec akcji. Usiedliśmy z dala od jaskini i paląc dobrze zasłużone papierosy, obserwowaliśmy, jak nietoperze kolejno opuszczają drzewa i nikną w czarnym wnętrzu, dołączając do swoich rozgadanych towarzyszy. Zapewne po raz pierwszy od wieków, odkąd ta kolonia tu żyła i rozmnażała się, została w ten sposób zaatakowana. Zapewne też wieki upłyną, nim znów ją ktoś zaatakuje. Tak, bez wątpienia nietoperze wiodły tu przyjemny żywot: w dzień spały, wisząc w ciemnościach w chłodnym zaciszu jaskini, a wieczorem budziły się głodne i wylatywały wielką krzykliwą gromadą w światło zachodzącego słońca, ponad ozłoconymi czubkami drzew, by obsiąść wielkie, skąpane w blasku drzewa i napychać się ich słodkimi owocami, podczas gdy cienie zmierzchu przesączały się przez gałęzie. Wśród pisków i trzepotu skrzydeł zrzucały z wielkiej wysokości na ziemię dojrzałe owoce, które zjadały potem inne, żerujące nocą zwierzęta. Później, gdy zaczynało świtać, wracały do jaskini ociężałe, najedzone do syta, z futerkiem oblepionym sokiem, i rozpoczynały kłótnie o najlepsze miejsce do zawisnięcia głową w dół. Wreszcie stopniowo zasypiały, słońce zaś wznosiło się nad drzewami pełnymi owoców, dojrzewających na nową wieczorną biesiadę.

Kiedy odchodziliśmy, cienie się już wydłużały. Przystanąłem i po raz ostatni spojrzałem na jaskinię. Jej ciemny otwór w skale przypominał otwarte usta i kiedy tak patrzyłem, forpocza kolonii nietoperzy wyleciała, wysoko szybując ponad drzewami. Potem jeszcze jedno stado i jeszcze jedno, aż wreszcie połączyły się w nieprzerwany strumień, z daleka przypominający smugę dymu. Kiedy szliśmy mozolnie przez mroczną dżunglę, wysoko nad sobą słyszeliśmy ich głośny krzyk – zmierzały ku swoim żerowiskom.

IV

Dżungla nocą

Dzięki naszym trwającym wiele dni polowaniom w dżungli oraz dzięki owocnym wysiłkom tubylców z okolicznych wiosk moje klatki wkrótce się zapełniły, i teraz cały dzień zajmowało mi doglądanie zwierząt, polować zaś mogłem dopiero po wypełnieniu codziennych obowiązków. Zaczęliśmy więc polować w nocy przy latarkach. Z Anglii przywiozłem cztery duże silne latarki elektryczne. Następne cztery kupiłem po przybyciu do Kamerunu. Uzbrojeni w tę potężną baterię światła przeczesywaliśmy dżunglę od północy do trzeciej nad ranem, i w ten sposób zdobyliśmy wiele nocnych zwierząt, których nie mając wyposażenia, nigdy byśmy nawet nie zobaczyli.

Dżungla nocą jest całkiem inna niż za dnia: wszystko tu czuwa, zachowując wielką ostrożność, a na szczytach drzew błyszczą oczy różnych stworzeń. Szelesty i piski dolatują z poszycia, a w świetle latarki można dostrzec, jak kołyszą się liany – widomy znak, że coś się rusza w czarnej koronie drzewa, sto pięćdziesiąt jardów nad twoją głową. Na ściółkę leśną spadają dojrzałe owoce i uschłe gałązki. Cykady, które chyba nigdy nie śpią, dzwonią w pobliżu, a od czasu do czasu krakanie jakiegoś wielkiego ptaka niesie się głośnym echem po dżungli. Najczęściej chyba odzywał się w nocy góralek drzewny, który przenikliwie gwizdał w regularnych odstępach, coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie dźwięki się zlewały i gwizd stawał się coraz bardziej przenikliwy. I nagle, kiedy osiągnął najwyższą nutę, cichł jak uciął nożem, a w powietrzu nadal drgało echo jego głosu. Ledwie zapadła ciemność, odzywały się żaby i ropuchy, zaczynały gwizdać, pohukiwać, klekotać, ćwierkać, rechotać. Zdawały się być wszędzie, od szczytów najwyższych drzew aż po najmniejsze dziury pod kamieniami na brzegach rzek. Kiedy nocą polowaliśmy w dżungli, wydawała się ona dwukrotnie większa niż normalnie; poruszaliśmy się pod wielkim szeleszczącym baldachimem drzew i wszystko poza promieniem latarki było zwartą ścianą mroku. Tylko w małym kręgu światła, rzucanym przez latarkę, można było widzieć kolory, a w tym fałszywym blasku liście i trawy przybierały nieziemską, srebrzystoszarą barwę. Zawsze miałem wtedy wrażenie, że poruszam się w najciemniejszych głębinach morza, gdzie od milionów lat nie przeniknął ani jeden promień światła. W słabym poblasku latarki majaczyły skręcone, sterczące wysoko szkarpowe korzenie drzew, a liście traciły kolor. Trzepotliwe ćmy przecinały promień latarki i nikły w ciemności jak srebrzysta ławica malutkich rybek. Powietrze było ciężkie i wilgotne od rosy, a kiedy świeciłem latarką tak wysoko, że jej promień gubił się w labiryncie pni i gałęzi, widziałem delikatne pasma mgły, leniwie snującej się wśród gałązek i pnaczy. Czarne cienie zwodziły mnie, co chwila zdawało mi się, że smukłe drzewa czają się na zdeformowanych pniach i wiją, a kiedy posuwam się naprzód, ześlizgują się w ciemność jak żywe. Wszystko było tajemnicze, trochę upiorne, ale

fascynujące.

Na pierwszą nocną wyprawę myśliwską wyruszyliśmy wcześniej, gdyż Eliasz namówił mnie, żebyśmy zapolowali nad brzegami sporej rzeki, która znajdowała się dość daleko od obozu. Zapewniał mnie, że znajdę tam ciekawe „zwierze” wodne. Co miał na myśli, nie wiedziałem, ponieważ myśliwi używali tego terminu z wielką dowolnością, obejmując nim wszystko, począwszy od hipopotama, a skończywszy na żabie. Od Eliasza zdołałem się tylko dowiedzieć, że „to dobre zwierze” i że będę „bardzo szczęśliwy”, jeśli je złapiemy. Przeszliśmy chyba milę ścieżką prowadzącą do dżungli i właśnie minęliśmy ostatnią plantację, kiedy Eliasz nagle się zatrzymał. Podeszedłem do niego. Skierował latarkę na koronę małego drzewa, mierzącego około czterdziestu stóp wysokości. Obchodził je, oświetlając latarką pod różnymi kątami, i mruczał coś pod nosem.

– O co chodzi? – spytałem.

– Tam królik, sah – usłyszałem zdumiewającą odpowiedź.

– Królik... Czy jesteś tego pewien, Eliaszu?

– Tak, sah, to na pewno królik. O tam, wysoko, sah go nie widzi na tej gałęzi?

Oświetlając latarką szczyty drzew, szybko zacząłem sobie przypominać wszystko, co wiem o faunie kameruńskiej. Nigdy nie natrafiłem na żadną wzmiankę o królikach w Kamerunie, byłem też pewien, iż w żadnej części świata nie zanotowano obecności królika drzewnego. Pomyślałem jednak, że ostatecznie, jeśli królik siedzi wśród górnych gałęzi czterdziestostopowego drzewa, można go nazwać „drzewnym”. I w tej właśnie chwili ujrzałem w promieniu latarki dwa rubinowe punkciki: „królik”! Wysoko na gałęzi nad nami siedział sobie, nonszalancko czyszcząc wąsy, tłusty, szary szczur.

– Eliaszu, to jest szczur, a nie królik – powiedziałem rad, że moja wiedza zoologiczna jest w porządku. W świecie zoologów odkrycie królika drzewnego z pewnością wywołałoby wielką sensację.

– Szczur, sah? My go tutaj nazywamy królik.

– Jak myślisz, czy uda nam się go złapać?

– Tak, sah. Masa i Andraia czeka tu, a ja idę na drzewo.

Skierowaliśmy latarki na szczura, Eliasz zaś zniknął w ciemności.

Po chwili drzewo się zatrzęsło, co świadczyło o tym, że zaczął się wspinać, a szczur spoglądał na nas w dół z wyraźnym przestrawem. Nagle pobiegł na koniec małej gałązki, na której siedział, i spojrzął w dół, żeby mieć lepszy widok. Właśnie wtedy wśród liści, tuż poniżej gałęzi, na której siedział szczur, ukazała się głowa Eliasza.

– Z której on jest strony? – spytał, zasłaniając oczy przed światłem.

– Wyżej, nad tobą, po lewej stronie.

Kiedy głośno wymienialiśmy uwagi, szczur ześliznął się z wielką szybkością po pnączu

i wylądował na gałęzi o piętnaście stóp poniżej Eliasza.

– On pobiegł w dół, Eliasz! – krzyknął głośno Andraia. – Jest teraz pod tobą...

Naprowadzany naszymi okrzykami Eliasz ostrożnie zszedł niżej, aż się znalazł na tej samej wysokości co szczur, który nadal siedział spokojnie na gałęzi, kończąc toaletę. Eliasz powoli sunął po gałęzi do szczura, który obserwował go z wyraźnym lekceważeniem. Począł, aż Eliasz rzucił się do przodu, i wtedy skoczył. Odruchowo skierowaliśmy na niego latarki i obserwowaliśmy, jak ląduje na małym krzaku i znika nam z oczu. Na górze dał się słyszeć trzask, okrzyk bólu i przerażenia, i odgłos zsuwania się ciężkiego ciała. Poświeciliśmy latarkami. Eliasz zniknął i tylko spadające wolno liście świadczyły o tym, gdzie był przed chwilą. Znaleźliśmy go rozcierającego nogę w krzakach u stóp drzewa.

– Ik... eechh! – jęczał. – Ta gałąź za słaba. Złamała się, ja bardzo ranny.

Po dokładnych oględzinach okazało się, że są to tylko zadrapania. Ukoilem jakoś urażoną ambicję Eliasza i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Dłuższy czas rozmawialiśmy z ożywieniem o różnicy między królikami i szczurami, kiedy nagle zorientowałem się, że idziemy po białym piasku. Spojrzawszy w górę, stwierdziłem, że wyszliśmy z dżungli i że nad sobą mamy nocne niebo, którego czerń pogłębia migotanie gwiazd. Szliśmy już brzegiem rzeki, ale nie zauważyłem tego, ponieważ toczyła swe brunatne wody leniwie i bezgłośnie między gładkimi brzegami, jak wielki wąż. Zeszliśmy z plaży i skierowaliśmy się w stronę gęstej, sięgającej do pasa roślinności, która tworzyła granicę pomiędzy piaskiem i początkiem dżungli. Tutaj przystanęliśmy.

– To dobre miejsce, by złapać wodne zwierze, sah – szepnął do mnie Eliasz. Andraia chrząknął potakująco. – Idziemy cicho-cicho do tego miejsca i tam go znajdziemy.

Zaczęliśmy więc iść cicho-cicho przez bujne poszycie, świecąc sobie latarkami. Właśnie się zatrzymałem, żeby włożyć małą drzewną żabkę do słoika, który miałem w kieszeni, kiedy Eliasz rzucił mi swoją latarkę i dał nura w zarośla. Próbuąc złapać jego latarkę, zgubiłem swoją, która spadła na kamienie i od razu zgasła. I tak nie tylko nie złapałem latarki Eliasza, ale przy okazji straciłem swoją. Teraz została nam tylko latarka Andrai, która świeciła bardzo anemicznie, ponieważ jej baterie były stare i zawilgły. Tymczasem Eliasz tarzał się wśród poszycia, tocząc śmiertelną walkę z jakimś chyba okropnie silnym zwierzęciem. Wyrwałem latarkę Andrai i w jej słabym świetle zobaczyłem, że to coś, co Eliasz trzyma w ramionach i co kopie ze wszystkich sił, to śliczna antylopa, której sierść zdobi piękny wzór z białych cętek i pasów.

– Trzymam go, sah, trzymam! – krzyczał Eliasz, plując liśćmi. – Sah niesie szybko latarka, to zwierze mieć za dużo siły...

Skoczyłem mu z pomocą i potknąwszy się o kamień, upadłem na twarz. Nasza ostatnia latarka mrugnęła i zgasła. Siedziałem w ciemności i rozpaczliwie jej szukałem po omacku. Słyszałem, jak Eliasz błaga o pomoc. Kiedy po dłuższej chwili trafiłem palcami na to jedyne

źródło światła, nagle zapanowała cisza. Po kilku nieudanych próbach zapaliłem latarkę i skierowałem jej promień na Eliasza. Siedział ponury na swoim dużym zadku i wyjmował liście z ust.

– To zwierze uciekło, sah – powiedział. – Mnie bardzo żal, ale ono silniejsze niż jeden człowiek. Sah widzi, jak ono mnie zraniło nogą. – Wskazał pierś, poraną długimi bruzdami, z których płynęła krew – dzieło ostrych kopyt małej antylopy.

– Nie martw się – powiedziałem, smarując mu skaleczenia jodyną. – Złapiemy takie samo zwierzę innym razem.

Po dłuższych poszukiwaniach znaleźliśmy pozostałe dwie latarki; niestety żarówki stłukły się na skutek upadku. Zapomniałem wziąć zapasowe, toteż jedynym źródłem światła była trzecia latarka, bardzo kiepska, która w każdej chwili mogła zgasnąć. Musieliśmy zakończyć polowanie i wracać do obozu, dopóki jeszcze mogliśmy widzieć szlak. Bardzo rozczarowani ruszyliśmy w drogę, idąc tak szybko, jak to było możliwe przy słabym świetle.

Kiedy znaleźliśmy się wśród pól na skraju wsi, Eliasz zatrzymał się i pokazał uschłą gałąź, która zwisała nisko nad ścieżką. Pełen nadziei spojrzałem na nią, ale zobaczyłem tylko jeden zeschnięty liść.

– O co chodzi?

– O tam, ten suchy kij, sah.

– Nic nie widzę...

Zaniepokojony naszym szeptaniem suchy liść wysunął głowę spod skrzydła, spojrzał na nas z niepokojem i szybko odleciał w ciemność.

– To ptak, sah – wyjaśnił Eliasz.

Nocna wyprawa, choć właściwie nieudana, pokazała mi, czego się można spodziewać. Zdumiał mnie fakt, że ptaki potrafią spać tuż nad ziemią, podczas gdy w pobliżu jest tak dużo wielkich drzew, gdzie mogą nocować. Po namyśle jednak zrozumiałem, dlaczego to robią: siedząc na końcu cienkiej gałązki, wiedzą, kiedy pełźnie po niej jakiś napastnik: gałązka ugnie się pod jego ciężarem albo nawet się złamie. Dlatego, jeśli była długa, cienka i odosobniona, nie miało znaczenia, jak wysoko się znajduje, sto stóp ponad ziemią czy pięć. Zacząłem wypytywać Eliasza na ten temat, a on mi powiedział, że często napotykał na ptaki siedzące bardzo nisko, zwłaszcza na terenach uprawnych. Tak więc, następnej nocy, wyposażeni w duże miękkie worki, ruszyliśmy, żeby spenetrować pola. Wziąłem też siatkę na motyle.

Nie odeszliśmy daleko, kiedy spostrzegliśmy bilbila gabońskiego siedzącego na cienkiej gałęzi o jakieś nieć stóp nad nami: prawie niewidoczną kulkę szarego pierza na tle liści. Kiedy moi dwaj towarzysze skierowali na niego latarki, ja ustawiłem siatkę w odpowiedniej pozycji i szybko sięgnąłem nią w górę. Zapewne bilbil jeszcze nigdy w życiu tak się nie przeraził; w każdym razie zniknął w ciemności, donośnie ćwierkając. Okazało się, że ten mój zamach

w górę był niefortunny. Poszliśmy więc dalej i wkrótce ujrzelśmy słodko śpiącego zimorodka malutkiego. Zarzuciłem na niego siatkę od góry tak, że został ściągnięty na ziemię i w ciągu kilku sekund znalazł się w płóciennym worku. Ptaki, umieszczone w ciemnym worku, leżą spokojnie, nie uderzają skrzydłami i nie robią sobie krzywdy podczas transportu. Byłem nad wyraz ucieszony tą nową metodą, dzięki której wzbogaciła się moja kolekcja ptaków. Ten sposób okazał się znacznie lepszy niż inne, dotychczas stosowane. Tej nocy spędziliśmy na polach trzy godziny i złapaliśmy pięć ptaków: jednego zimorodka, dwa rudziki leśne, gołębia karlika i bilbila. Od tej pory, jeśli nie miałem sił na długą wędrówkę po dżungli nocą, po prostu szliśmy na godzinę na pola o jakieś dwie mile od obozu. Rzadko się zdarzało, byśmy wrócili z pustymi rękami.

Eliasz bardzo się martwił, że utraciliśmy „wodne zwierze”, i wkrótce zaproponował, żebyśmy znów zapolowali nad rzeką, kusząc mnie tym, że zna kilka jaskiń w tamtej okolicy. Tak więc pewnego wieczoru wyruszyliśmy o ósmej, z mocnym postanowieniem, że aż do świtu będziemy tropić to „zwierze”. Wyprawa zaczęła się niezbyt fortunnie, kiedy po kilku milach natrafiliśmy w dżungli na martwy pień wielkiego drzewa. Takie drzewa często można spotkać w dżungli; na ogół stoją one aż do czasu, kiedy ich wnętrza zniszczą warunki atmosferyczne i robactwo, a wtedy pod ciężarem górnych gałęzi łamią się na wysokości mniej więcej trzydziestu stóp, a pozostała część pnia stoi nadal, wsparta na szkarpowych korzeniach, niby fragment komina fabrycznego, z tą tylko różnicą, że jest o wiele piękniejsza. W połowie owego pnia była wielka dziupla i w świetle latarek ujrzelśmy w jej ciemnym wnętrzu błysk oczu. Po krótkiej naradzie Andraia i ja skierowaliśmy latarki na otwór, a Eliasz obszedł pień z drugiej strony, żeby się przekonać, czy będzie się mógł po nim wspiąć. Szybko wrócił, mówiąc, że nie może dosięgnąć jedyne miejsce, na którym mógłby oprzeć stopy, jest za niski, i dlatego musi się tam wdrapać Andraia. Andraia zniknął za pniem i tylko trzaski i stłumione okrzyki „ik... eechh!” świadczyły o tym, że posuwa się w górę. Obaj z Eliaszem podeszliśmy bliżej, cały czas oświetlając dziuplę. Andraia przebył już trzy czwarte drogi w górę, kiedy ukazał się mieszkaniec owej dziupli: duża cyweta. Ujrzelśmy jej pysk z czarną maską, zauważyłem też, że ma sierść szarą w czarne kropki. Po chwili znów schowała się w dziupli.

– Ostrożnie, Andraia, to kot z buszu – ostrzegł szeptem Eliasz. Dorosła cyweta jest wielkości małego psa collie.

Ale Andraia nie odpowiadał całkowicie pochłonięty trzymaniem się rękami i chwytymi palcami nóg kory drzewa. Właśnie w chwili gdy dotarł do krawędzi dziupli, cyweta jak strzała wyskoczyła na zewnątrz i wylądowała czterema łapami na piersi Eliasza, który pod wpływem jej ciężaru runął do tyłu. W ułamku sekundy zobaczyłem, jak pysk cywety się otwiera i zamyka, usłyszałem też kłapanięcie szczękami. Nie zdołała trafić zębami w policzek Eliasza, ponieważ ten właśnie stracił równowagę i zaczął się przewracać. Zęby cywety ominęły jego twarz zaledwie

o trzy cale. W mgnieniu oka zwierzę zeskoczyło z leżącego na ziemi Eliasza, zatrzymało się, żeby spojrzeć na mnie, i w dwóch susach zniknęło w dżungli. Eliasz podniósł się z ziemi i uśmiechnął do mnie z zakłopotaniem, mówiąc:

– Ik... eechh! Jakiś człowiek rzucił złe dżu-dżu na to polowanie. Najpierw my nie złapaliśmy to wodne zwierze, a teraz ten leśny kot.

– Ciesz się, że masz całą twarz – pocieszyłem go, wstrząśnięty okrucieństwem cybety, zwierzęcia, które zawsze uważałem za płochliwe i unikające ludzi. W tym momencie usłyszeliśmy zduszony okrzyk nad głowami i skierowaliśmy latarki w górę, tam, gdzie Andraia przywarł do pnia jak czarny chudy pająk.

– O co chodzi? – spytaliśmy.

– Tu jeszcze jest coś w środku – odparł Andraia drżącym głosem. – Ja słyszę hałas w dziurze... – Sięgnął pod swą opaskę biodrową i z trudem wyjął latarkę, którą oświetlił dziuplę.

– Ik... eechh! – zawołał. – Tu w środku mały kot z buszu.

Przez długą chwilę Andraia, wykonując dziwaczne ewolucje, żeby nie spaść z drzewa, jedną ręką świecił latarką w głąb dziupli, a drugą próbował złapać małe. Wreszcie mu się udało i zobaczyliśmy, jak trzyma za ogon plującą małą cywetę. Kiedy ją wyciągnął na zewnątrz, triumfalnie wołając: „patrzcie na niego, patrzcie!”, zwierzak ugryzł go w nadgarstek.

Andraia nie znosił bólu, wystarczyło, żeby wbił sobie drobny cierń w stopę, a zaczynał okropnie kuleć, jakby miał amputowane wszystkie palce. Nic więc dziwnego, że teraz wrzasnął przeraźliwie, wypuścił latarkę i cywetę, przestał trzymać się drzewa i runął na ziemię.

Jakim cudem się nie zabił, na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą. Latarka się rozbiła, a mała cyweta łebkiem spadła na twardy jak kamień korzeń szkarpowy drzewa i leżała nieprzytomna. Po dziesięciu minutach na skutek silnego krwotoku zakończyła życie, nie odzyskując przytomności.

– Ik... eechh! Naprawdę jakiś człowiek rzucił na nas dżu-dżu – stwierdził ponownie Eliasz.

Nie wiem, czy to naprawdę było dżu-dżu, czy nie. W każdym razie przez resztę nocy dopisywało nam szczęście. Wkrótce po przygodzie z cywetą znaleźliśmy się nad brzegiem szerokiego strumienia, głębokiego pośrodku na trzy stopy. Woda była mętna, brunatna i nawet światło naszych latarek nie mogło jej przeniknąć. Przez około pół mili szliśmy, brodząc w tym strumieniu, aż wreszcie zauważyliśmy biegnącą wzdłuż przeciwnego brzegu ścieżkę. Choć powierzchnia strumienia była gładka, głębiej płynął silny prąd, który hamował nasze kroki. Woda była lodowato zimna. Byliśmy właśnie pośrodku i posuwaliśmy się na tyle szybko, na ile pozwalał nam silny prąd i głęboka woda, kiedy uświadomiłem sobie, że nie jesteśmy w strumieniu sami. Wokół nas kłębiły się w ciemnej wodzie dziesiątki brunatnych węży wodnych. Zaciekawione pływały dokoła, ukazując łebki nad powierzchnią wody, a ich malutkie oczka świeciły w blasku latarek. Andraia spostrzegł je w tym samym momencie co ja, ale jego

reakcja była zupełnie inna.

– Och, och! – zawołał i upuszczając worek na naszą ewentualną zdobycz, ruszył do brzegu; zapomniał jednak, że jest w wodzie, która w tym miejscu sięgała nam prawie do pasa i każda próba poderwania się do biegu z góry skazana była na niepowodzenie. Zgodnie z moimi przewidywaniami, silny prąd podciął mu nogi i Andraia upadł z tak głośnym pluskiem, że wszystkie węże uciekły. Zniesiony prądem wyłonił się z wody o kilka jardów dalej i z trudem stanął na nogi. Jego piękny sarong, który troskliwie niósł na głowie, chroniąc przed zamoczeniem, był teraz moką szmatą.

– Co się stało? – spytał Elias, który odwróciwszy się, obserwował, jak Andraia brnie przez strumień niby ranny wieloryb. On najwidoczniej nie zauważył węży.

– To węże, Elias – wysapał Andraia. – Za dużo węży. Dlaczego my nie idziemy ścieżką?

– Węże? – spytał zdziwiony Elias, oświetlając latarką spokojną tafłę wody.

– Naprawdę, Eliaszu, tu są węże wodne – powiedziałem. – Andraia bardzo się ich boi.

– Ik... eechh? – zawołał Elias gniewnie. – Ty głupi, Andraia. – Ty nie wiesz, że to zwierze ciebie nie ugryzie, jak masa tu jest?

– Ach! – westchnął pokornie Andraia. – Zapomniałem o tym.

Elias, który stał pośrodku strumienia, podczas, gdy Andraia szukał porzuconego worka, wyjaśnił mi:

– Jeśli czarny człowiek sam wejdzie do wody, każde złe zwierze jak wąż go poczuje, podejdzie i ugryzie. Jeśli czarny człowiek wejdzie do wody z biały człowiek, zwierze czuje biały człowiek i boi się bardzo, i nie podejdzie.

– Tak się dzieje tylko wtedy, kiedy wejdziemy do wody? – spytałem.

– Tak, sah.

Była to wiadomość godna zapamiętania na przyszłość. Andraia wreszcie odnalazł wszystkie pogubione rzeczy, zaproponowałem więc, żebyśmy zgasili latarki i zaczekali. Może wtedy węże znów się pojawią i uda nam się kilka złapać. Moi myśliwi zgodzili się, choć bez zbytniego entuzjazmu. Staliśmy tak w wodzie, w absolutnej ciemności przez około pół godziny, po czym, jak było wcześniej ustalone, na dany sygnał wszyscy jednocześnie zapaliliśmy latarki. Wokoło nas było pełno wodnych węży, kreślących srebrzyste wzory w świetle latarek. Chwyciłem sieć i zarzuciłem w stronę najbliższego; po krótkiej szamotaninie wyciągnąłem go i przełożyłem do worka. Zachęceni tym przykładem Elias i Andraia w krótkim czasie przyłączyli się do mnie i razem złapaliśmy dwadzieścia sztuk. Ponieważ teraz byliśmy już mądrzy i wiedzieliśmy, że najmniejszy ruch z naszej strony spowoduje ich ucieczkę w mętną i głęboką wodę strumienia, zaniechaliśmy polowania i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nie wiem, co sprawiło, że właśnie owej nocy węże w takiej liczbie pojawiły się w strumieniu, ponieważ nigdy więcej nie widziałem tak wielkiego ich skupiska. Często w trakcie

naszych dziennych, jak i nocnych polowań odbywaliśmy długie wędrówki nurtem rzeki, ale tylko z rzadka natrafialiśmy na pojedyncze sztuki. Wtedy, brodząc, zrobiliśmy jakieś pół mili, a widzieliśmy ich setki; być może odbywały się tutaj ich gody albo znecił je nadmiar pożywienia w tej właśnie okolicy. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, jaka naprawdę była tego przyczyna. W kilka tygodni później przechodziliśmy przez ten sam strumień nocą, w tym samym miejscu i nie zauważyliśmy ani jednego węża. W czasie naszych poszukiwań często napotykaliliśmy wiele zagadek tego rodzaju, ale niestety nie miałem możliwości zbadania ich tak dokładnie, jakbym chciał. Mogłem najwyżej je tylko odnotować i później snuć przypuszczenia co do ich przyczyny. Jedną z najprzykrzejszych stron łowienia żywych okazów fauny jest brak czasu na zbadanie różnych tajemniczych zjawisk, których wyjaśnienie mogłoby się zapewne okazać niezwykle fascynujące.

Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie spotkaliśmy się z „wodnym zwierzem”, i choć spenetrowaliśmy dokładnie niskie zarośla wokoło, nie natrafiliśmy na następny okaz. Zrezygnowaliśmy więc z poszukiwań i piaszczystym brzegiem ruszyliśmy w kierunku skały, gdzie – jak powiedział Elias – były jaskinie. Kiedy obeszlśmy wybielony słońcem pień wielkiego drzewa, który leżał na brzegu, zobaczyłem, że przed nami coś się świeci.

– Elias, co to jest? – spytałem, wskazując palcem.

– To ogień, sah – odparł.

– Ogień? Tutaj?

– Tak, sah. Może jakiś myśliwy tu śpi.

Podeszliśmy bliżej. Żarzyły się tu popioły niewielkiego ogniska. Tuż obok był mały szałas zrobiony z gałęzi i pnączy.

– Hej, hej! – zawołał Elias. – Jest tam kto?

W głębi szałasów coś się poruszyło i wyrzała czarna zaspana twarz.

– Kto tam? – spytał nieznajomy. Spostrzegłem, że sięga po leżącą obok bardzo prymitywną strzelbę. Szybko skierowaliśmy na siebie światło latarek, żeby widział, z kim ma do czynienia.

– Ik... eechh! – westchnął. – Biały człowiek z wami?

– Tak – powiedział Elias. – Z nami biały człowiek.

– Co biały człowiek robi w buszu w nocy? – spytał; widziałem, że patrzy na nas podejrzliwie, bojąc się, że może jesteśmy jakimś okropnym dzu-dzu w przebraniu.

– My polujemy na różne zwierze – odparł Elias.

Nogą poruszyłem gasnący żar, tak że się rozpałił, usiadłem przy nim i wyciągnąłem papierosa. Nieznajomy poczęstował się jednym, ale nadal w rękę trzymał swoją flintę.

– Elias – powiedziałem – przynieś więcej drzewa na ognisko, żeby było jaśniej i żeby on zobaczył, że naprawdę jestem białym człowiekiem, a nie jakimś dzu-dzu.

Elias i Andraia roześmieli się, a mężczyzna niepewnie się uśmiechnął i odłożył strzelbę.

Podsyciliśmy ognisko i siedliśmy wokół niego, paląc papierosy, a Eliasz wyjaśnił obcemu, kim jesteśmy, co robimy i skąd przyszliśmy. Nieznajomy, jak się okazało, był wędrownym myśliwym. Tacy jak on żyją w dżungli, strzelają do czego się da i suszą mięso. Kiedy zrobią taki zapas, że nie mogą go unieść, idą do najbliższego miasta, sprzedają mięso na targu, kupują zapas prochu i wracają do buszu. Ten człowiek miał wielkie szczęście, gdyż zastrzelił cztery dorosłe mandryle. Pokazał nam poćwiartowane i wędzone w dymie drzewnym mięso. Największy samiec za życia musiał być wspaniałym okazem, a jego wysuszona ręka, przypominająca rękę mumii, była potężnie umięśniona. Jego ręce i czaszka, pokryte wysuszonym mięsem, wyglądały zupełnie jak ludzkie. Z kolei myśmy wytłumaczyli, co robimy, i pokazaliśmy myśliwemu węże wodne, które niezbyt go zachwyciły. Kiedy mieliśmy wyruszyć w dalszą drogę, dałem mu cztery papierosy, a on z kolei ofiarował mi nogę mandryła, mówiąc, że „to bardzo dobre mięso dla czarny człowiek i biały”. Zjadłem później potrawkę z tej nogi: myśliwy miał rację, była bardzo smaczna, delikatna i soczysta, o smaku wołowiny, z lekkim zapachem dymu drzewnego.

Wreszcie dotarliśmy do jaskiń znajdujących się w ścianie skalnej porośniętej paprociami, mchem i gęstwiną długich pnączy, które zwisały z drzew rosnących na górnej krawędzi skały. Jak zwykle u jej stóp było rumowisko głazów porośniętych krzakami. Największa jaskinia była wielkości małego pokoju i od niej rozgałęziały się wąskie niskie korytarze, zbyt jednak małe, byśmy mogli w nie wpełznąć, położyliśmy się więc na brzuchach i oświetliliśmy je latarkami w nadziei, że coś zobaczymy.

Potem podzieliliśmy ścianę skalną na części i każdy zaczął badać swoją część. Kiedy zbliżyłem się do „moich” korytarzy, świecąc dokoła latarką, coś wyskoczyło z poszycia przede mną i zniknęło w jednym z nich. Pospieszyłem tam, ale bez wielkiej nadziei, że złapię to coś, ponieważ schroniło się w zaciszu swego korytarza. Kiedy przykucnąłem i oświetliłem wnętrze, zorientowałem się, że właściwie to nie jest korytarz, gdyż liczy zaledwie osiem stóp i urywa się. Dno pokryte było różnej wielkości głazami, ściany nierówne, pełne ciemnych zakamarków i szczelin. Nie mogłem nigdzie dostrzec tego zwierzęcia, ale gdzieś się tu na pewno ukryło, ponieważ nie było stąd chyba żadnego innego wyjścia. Andraia i Eliasz znajdowali się nieco dalej, ale nie chciałem głośno wzywać ich na pomoc, gdyż jak wiadomo, im większa cisza, tym łatwiej zaskoczyć zwierzę. Położyłem się więc na brzuchu, zawiesiłem sobie na szyi worek, w usta włożyłem latarkę i zacząłem się czołgać korytarzem. Owa tradycyjna metoda podchodzenia zwierzyny okazała się najboleśniejszym sposobem poruszania się, jaki można sobie wyobrazić. Na skutek erozji dno jaskini było zasłane kamieniami o krawędziach ostrych jak brzytwa, sterczących tak, by natrafiały na najwrażliwsze części ludzkiej anatomii, wywołując piekielny ból.

Pełzłem tak z zaciśniętymi zębami, aż wreszcie dotarłem do małego okrągłego „pokoiku”, z którego inny korytarz prowadził zapewne w głąb ziemi. Kiedy znalazłem się niedaleko wejścia

do niego, usłyszałem zaskakujący dźwięk: ostre grzechotanie, potem przerwa, dwa tupnięcia i cisza. Zatrzymałem się. Po chwili ruszyłem i znów się rozległo grzechotanie, przerwa, dwa tupnięcia i cisza. Błyskawicznie przebiegłem myślą spis fauny kameruńskiej, ale te dźwięki nie kojarzyły mi się z żadnym znanym mi gatunkiem, zacząłem więc się posuwać dalej, jeszcze ostrożniej. Wreszcie dotarłem do korytarza, zapaliłem latarkę i przekonałem się ze zdumieniem, że jest także ślepy, ale znacznie krótszy niż ten, w którym byłem przedtem. Kiedy zatoczyłem latarką krąg, żeby się przekonać, co jest źródłem tego hałasu, znów rozległo się grzechotanie, coś na mnie skoczyło, wytrącając mi z ręki latarkę, i poczułem ból w palcach. Podniosłem ją i szybko się wycofałem, po czym usiadłem, żeby obejrzeć dłoń. Na jej wierzchu zobaczyłem kilka kropel krwi i głębokich zadrapań, które zaczęły mnie piec. Wyglądało to tak, jakbym wsunął rękę w zarośla jeżyn. Przez chwilę zastanawiałem się, co to było, i nagle zrozumiałem, że mam do czynienia z jednym z najczęściej spotykanych w Kamerunie zwierząt, które wydaje właśnie tego rodzaju dźwięki, mianowicie z jeżatką afrykańską o szcztokowatym ogonie. Dziwne, że nie wpadłem na to przedtem.

Poczołgałem się z powrotem i bardzo ostrożnie zapaliłem latarkę: rzeczywiście, miałem przed sobą jeżatkę w całej okazałości. Stała, na pół obrócona do mnie, jej ogon grzechotał jak szalony, co trwało dłuższą chwilę, po czym zwierzę gwałtownie zatupało tylnymi nogami, podobnie jak króliki, kiedy są przestraszone. Jeżatka była mniej więcej wielkości kota, choć trudno to stwierdzić dokładnie, gdyż z powodu zjezonych kolców sprawiała wrażenie większej niż w rzeczywistości. Stała częściowo zwrócona do mnie tyłem i spoglądała na mnie przez ramię czarnymi oczami na poły z gniewem, na poły ze strachem. Była prawie całkiem czarna, z wyjątkiem grzbietu, który w dolnej części usiany był białymi i czarnymi plamami. Jej długi ogon wygięty w kształt litery U sięgał do połowy grzbietu i był całkiem goły, na samym końcu ozdobiony śmieszoną kępką tępo zakończonych kolców, która przypominała kłos pszeniczny; była gruba, długa i biała. Właśnie owa ozdoba ogona wywoływała ten dziwny odgłos, który powstawał wtedy, gdy jeżatka prostowała się i potrzasała pustymi wewnątrz kolcami. Jest to oznaka zdenerwowania. Nie bardzo wiedziałem, co mam zrobić. Żeby złapać jeżatkę, trzeba dwóch ludzi, ale nawet gdybym wezwał na pomoc Eliasza lub Andraię, w tym wąskim tunelu nie byłoby dla nas miejsca. Nie pozostawało mi nic innego, jak spróbować ją złapać samemu. Bardzo ostrożnie owinałem jedną rękę lnianym workiem, drugi położyłem na ziemi w pogotowiu, żeby tam umieścić zdobycz, i ostrożnie poczołgałem się w jej kierunku. Znów zaczęła grzechotać i tupać, wydając przy tym przeraźliwe ostrzegawcze piski. Przycisnąłem się, po czym nagle chwyciłem ją za ogon, gdyż była to najmniej chroniona część jej ciała, a więc najłatwiejsza do schwytania. Udało mi się, ale jeżatka błyskawicznie odwróciła się w stronę mojej ręki; kolce przebiły płótno, które miało mnie chronić, jakby to był zwykły papier. Poczulem silny ból, ale zacisnąłem zęby i pociągnąłem jeżatkę ku sobie, wiedząc, że jeśli

pozwole jej się wyrwać, nie uda mi się jej znowu złapać, ponieważ poznała moją metodę ataku. Popełzłem z powrotem, ciągnąc oporne zwierzę, aż wreszcie znalazłem się w małym pokoiku na końcu pierwszego korytarza. Było tu nieco więcej miejsca, spróbowałem więc zarzucić worek na głowę zwierzęcia, ale walczyło wściekle, opierając się o moją pierś, tak że kolce przecięły cienką koszulę i wbiły mi się w ciało. Ta ciasna przestrzeń była jego atutem, bo ilekroć się odwróciło, zawsze udało mu się wbić we mnie jakiś kolec, ponieważ ja nie mogłem zrobić żadnego uniku. Pozostało mi jedno: musiałem się wydostać na otwartą przestrzeń. Przeciskałem się więc mozolnie tyłem, ciągnąc jeżatkę, a ostatnie kilka stóp wydawały mi się całymi milami. Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, gwałtownym skretem ciała próbowała wyrwać mi się z ręki, ale trzymałem ją wysoko w powietrzu, żeby nie mogła zranić ani mnie, ani siebie. Wisiała teraz w mojej ręce całkiem spokojnie, jakby całkowicie straciła chęć do walki.

– Andraia... Eliasz... chodźcie szybko, złapałem "zwierze"! – zawołałem.

Zaraz nadbiegli, a kiedy zobaczyli, co trzymam, byli wyraźnie zdumieni.

– Zwierze czuk-czuk – powiedział Eliasz. – Gdzie masa go znalazł?

– Tutaj, w tej dziurze. Ale mnie mocno poraniło. Włóżcie go do worka, ręka bardzo mnie boli.

Eliasz otworzył duży worek i wpuścił tam moją zdobycz. Było to pierwsze moje spotkanie z jeżatką i schwywanie jej w pojedynkę uznałem za nie lada wyczyn.

Jeżatka ze szczotkowatym ogonem, albo, jak ją lokalnie nazywano, zwierze czuk-czuk, jest jednym z najpospolitszych zwierząt w Kamerunie, można ją spotkać wszędzie. Większość krętych, ledwie widocznych ścieżek w dżungli to wynik wędrówek tych gryzoni. Potrafią one, jak się później przekonałem, żyć w każdych warunkach, ale najbardziej lubią jaskinie, zwłaszcza takie z niewielkimi otworami pod dużą skałą albo spiętrzeniem głazów. Prawie w każdej jaskini można natrafić na ślady ich bytowania: odciski łap na piaszczystym podłożu, kilka pozostawionych kolców albo na poły zjedzony owoc. W jednej z jaskiń znalazłem świeże orzechy palmowe, co świadczyło o tym, że jakaś jeżatka musiała odbyć długą nocną wędrówkę do najbliższej tubylczej plantacji – co najmniej sześć mil – żeby zdobyć ten przysmak. W innej znów jaskini przekonałem się na własne oczy, że zwierzęta te potrafią się bawić podobnie jak angielskie wydry. W jaskini tej jedna pochyła ściana tworzyła naturalną zjeżdżalnię; miała jakieś osiem stóp długości i opadała łagodnie do ziemi, pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Tę kamienną pochylnię wypolerowały zjeżdżające jeżatki. Sądząc po śladach na piasku, wdrapywały się na szczyt zjeżdżalni, zsuwały w dół, znów się wspinały i znów zjeżdżały. Najwyraźniej sport ten uprawiało bardzo wiele pokoleń, gdyż powierzchnia skały gładka była jak szkło. W *pidgin-English* nazwa jeżatki pochodzi od słowa „czuk”, co oznacza cierń albo kolec, a zwłaszcza igłę do zastrzyków. W tym tubylczym języku liczbę mnogą tworzy się, powtarzając po prostu dane słowo, tak więc jeżatka ze szczotkowatym ogonem nazywa się

„zwierze czuk-czuk”. Doszedłem do wniosku, że to bardzo stosowna nazwa, gdyż bezpośredni kontakt z jeżatką przyprawił mnie o bardzo bolesne rany na całym ciele. Po dwóch dniach nasza jezatka bardzo się oswoiła i podchodziła do drzwi klatki, żeby brać z mojej ręki owoce. Ale nastawiała kolce, grzechotała ogonem i tupała nogami, jeśli tylko próbowałem włożyć rękę do klatki, żeby jej dotknąć. Z czasem zaczęła podchodzić do prętów i dawała mi się drapać za uszami albo głaskać pod brodą, ale na to mogłem sobie pozwolić tylko wtedy, gdy dzieliły nas pręty.

Kiedy wypaliłem papierosa i chępliwie opowiedziałem moim myśliwym ze szczegółami, jak schwytałem jezatkę, ruszyliśmy w drogę. Wkrótce znów nam się powiodło, co jeszcze bardziej podniosło mnie na duchu. Nie była to równie cenna zdobycz jak jezatka, ale mimo to ważna. O jakieś dziesięć stóp nad ziemią zauważyłem w świetle latarki parę śpiących kameleonów. Leżały ciasno koło siebie, wielkie oczy miały zamknięte, były mocno splecione łapami, a dla niepoznaki przybrały kolor jasnosrebrzystozielony. Złamaliśmy gałąź i straciliśmy je do worka, nim się przebudziły i zrozumiały, co się dzieje. Ponieważ spały w ten sposób, zapewne były w okresie godów albo może właśnie się parzyły... Okazało się, że miałem rację, gdyż w kilka tygodni później samica na dnie klatki złożyła pięć białych jajek wielkości jaj wróblích.

Kiedy kameleony znalazły się w worku, byłem w tak cudownym nastroju, że bez wahania stoczyłbym samodzielną walkę z lampartem, gdyby się tylko napatoczył. Na szczęście te wielkie koty trudno spotkać w Kamerunie. Potem w świetle latarki ukazała się parka karłowatych małpek galago, zwanych dziećmi buszu. Obecnie w Kamerunie żyją trzy ich odmiany, a dwie z nich są wielką rzadkością, i o ile mi wiadomo, nie ma ich w angielskich ogrodach zoologicznych. Dokładne określenie gatunku, kiedy zwierzę znajduje się o dwadzieścia stóp nad głową, oświetlone tylko promieniem latarki, jest niemożliwe, toteż na każde stworzenie przypominające galago polowaliśmy z wielkim zapałem i determinacją. Tak też odnieśliśmy się do tej pary, która tańczyła w górze wśród lian, od czasu do czasu spoglądając na nas pięknymi błyszczącymi oczami, które przypominały duże rubiny. Było to zadanie z pewnością dla dwóch ludzi, zostawiliśmy więc Andraię na dole, żeby oświetlał zwierzęta latarką, a my z Eliaszem weszliśmy z dwóch różnych stron na drzewo i jednocześnie zaczęliśmy się zbliżać do małpek. Przypominały parę puszystych szarych kociaków, tańczących wśród pnączy lekko i z wdziękiem. Powoli zbliżaliśmy się coraz bardziej, a ja naszykowałem siatkę na motyle. Po schwytaniu dwóch kameleonów i jezatki uważałem, że to będzie dziecinnie łatwe. Właśnie się pochylałem, żeby się zamachnąć siatką, kiedy natrafiłem ręką na coś długiego, cienkiego i zimnego, co się wiło tak mocno, że natychmiast puściłem gałąź i siatkę, która spadła na ziemię. Przerażone tym galago skoczyły w mrok i zniknęły. Przywarłem do gałęzi i znieruchomiałem, nie wiedząc, gdzie znajduje się wąż i do jakiego należy gatunku.

– Andraia! – krzyknąłem w dół. – Daj mi tu światło. Na tej gałęzi jest wąż i mnie zje, jeśli nie będę mieć światła.

Andraia odwrócił się i oświetlił latarką miejsce, w którym przywarłem do pnia. Wtedy zobaczyłem węża. Znajdował się wśród liściastych gałązek o jakąś stopę ode mnie. Przyjrzałem mu się uważnie: tylna jego część owinięta była wokół gałązek, za to przednia zwisała w dół w kształcie litery S, co oznaczało, że wąż szykuje się do ataku. Był bardzo cienki, miał brunatną skórę z ciemniejszymi plamami i krótki ostry łepok z wielkimi oczami. Mierzył około dwóch stóp. Obserwowaliśmy się nawzajem z jednakową podejrzliwością. Nie miałem nic, w co mógłbym go złapać, z wyjątkiem krótkiego sznurka, który znalazłem po nerwowym szperaniu w kieszeniach. Zawiązałem na nim pętlę, potem ułamałem dużą gałązkę, żeby do niej przywiązać zaimprovizowaną pułapkę. W tym momencie wąż postanowił wycofać się i z wielką szybkością zaczął sunąć wśród gałęzi. Klęcząc na gałęzi i przytrzymując się jedną ręką, trzy razy próbowałem zarzucić na niego pętlę, ale dopiero za czwartym razem mi się udało. Mocno zacisnąłem pętlę, a wąż, sycząc, zwinięty w węzeł zawisł na końcu sznurka. Oznaczyłem gałązkę, zawiązując na niej chustkę do nosa, i zrzuciłem ją Andrai, wyjaśniając, co ma zrobić dalej. Kiedy znalazłem się na ziemi, wąż był już w worku. Bardzo byłem zmartwiony utratą małpek galago, gdyż nigdy więcej nie napotkaliśmy ich podczas naszych nocnych polowań.

V

Skamielina, która gryzie

Jednym z największych uroków łowienia okazów fauny jest to, że nigdy nie wiadomo, co się złowi. Człowiek wychodzi z obozu, dźwigając siatki i worki, żeby schwytać nietoperze, a wraca z pytonem w siatce, całymi workami ptaków i kieszeniami pełnymi krocionogów. Mogłem całymi dniami na próżno przemierzać dżunglę w poszukiwaniu określonego gatunku wiewiórek, a kiedy zrezygnowałem z bezowocnych usiłowań i postanowiłem spędzić dzień w obozie, okazywało się nagle, że para tych nieznośnych gryzoni bawi się w gałęziach drzewa, pod którym stał mój namiot. Wyobraźcie sobie takie pechowe dni, które spędzałem, wędrując cały dzień przez dżunglę bez rezultatu, w asyście dwudziestu ludzi uzbrojonych w najprzeróżniejsze narzędzia, żeby złapać cokolwiek się da, począwszy od słonia, a skończywszy na musze. Wiedziałem na przykład, że zwierzę, które chcę schwytać, przebywa w konkretnym miejscu, powiedzmy, na trawiastych polanach w dżungli. Nikt nigdy nie natrafił na nie w innym otoczeniu... do momentu, kiedy ja zacząłem go szukać. Skrupulatnie badałem wszystkie polany na wiele mil wokoło, zastawiając pułapki, wykurzając zwierzęta dymem, dosłownie przeczesując niemal całą okolicę. Łapałem różne rodzaje szczurów, myszy, koników polnych, węży, jaszczurek, prawie wszystko, tylko nie to stworzenie, które chciałem złapać. Cały czas pewien, że można je znaleźć tylko w trawiastych miejscach, uporczywie prowadziłem swoje bezowocne łowy. Po przeszukaniu areалу chyba dwukrotnie większego niż argentyńska pampa, zrezygnowałem. I oto w tydzień później pierwszy okaz tego zwierzęcia łapałem w gęsto zalesionej części dżungli, w odległości około dwudziestu mil od najbliższej trawiastej polany. Oczywiście tego rodzaju doświadczenia są bardzo męczące, ale jak już powiedziałem, cały urok polega na tym, że człowiek wyrusza w dżunglę i nigdy nie wie, czy wróci z pustymi rękami, czy z kilkoma niezwykle cennymi okazami, o których tylko marzył. W Kamerunie można spotkać bardzo wiele interesujących stworzeń, tak samo jak w innych częściach świata, i co najmniej połowa z nich nigdy nie dotarła do Anglii ani do żadnego innego kraju na świecie; żyją wyłącznie w swoich rodzinnych lasach. Są też inne stworzenia, tak rzadkie, że ich wypchane okazy znajdują się w dwóch, może trzech muzeach na świecie, natomiast nieznanne pozostają ich obyczaje w naturalnym środowisku. Wiadomo jedynie, że istnieją. Oczywiście najbardziej chcieliśmy schwytać takie właśnie zwierzęta. Istnieją tylko dwa sposoby, żeby się dowiedzieć, jak jakieś zwierzę żyje i jakie są jego obyczaje: jeden – to badać je w stanie dzikim, a drugi – trzymać w niewoli. Ponieważ większość zoologów nie jest w stanie odbywać wypraw w odległe części świata, takie okazy trzeba im dostarczyć. Dlatego, moim zdaniem, ważniejsze jest zdobycie zwierzęcia, którego nigdy nie obserwowano w niewoli, nawet gdyby to był jakiś rzadki gatunek myszy, niż zbytnio zabiegać o schwywanie zwierząt większych i lepiej znanych.

Niestety, również ten, kto się para zbieraniem okazów fauny, musi z czegoś żyć, a im większe i bardziej imponujące stworzenia, tym więcej się za nie płaci.

Ja nade wszystko chciałem zdobyć angwantibo, małego, niezwykle rzadkiego lemura, którego nie można spotkać nigdzie na świecie, poza dżunglą kameruńską. Londyńskie Towarzystwo Zoologiczne prosiło mnie specjalnie, bym przywiózł im ten okaz, ponieważ nigdy go nie miało i naukowcy byli nim niezwykle zainteresowani. Miałem tylko jeden rysunek tego rzadkiego zwierzęcia, z biegiem czasu coraz brudniejszy i bardziej zniszczony, gdyż pokazywałem go każdemu myśliwemu, który do mnie przychodził, prosząc, by starał się zdobyć dla mnie angwantibo. Mijały tygodnie bez rezultatu, byłem zrozpaczony. Znacznie podniosłem cenę, jaką zamierzałem zapłacić, ale i to nic nie dało. Ponieważ jest to stworzenie zdecydowanie nocne, uznałem, że istnieje duża szansa, iż natrafię na nie podczas naszych nocnych polowań. Toteż, ilekroć to było możliwe, prosiłem Eliasza i Andraię, żeby prowadzili mnie do tych części dżungli, gdzie drzewa porośnięte są lianami oraz innymi pasożytniczymi pnączami, gdyż angwantibo żyje w takim właśnie środowisku. Podczas jednego z takich bezowocnych polowań na tego lemura natrafiliśmy na całkiem inne zwierzę, równie jednak interesujące i rzadkie.

Którejś nocy przewędrowaliśmy wiele mil w dżungli i wspięliśmy się na niezliczone obrośnięte pnączami drzewa, nie spotykając ani jednego żywego stworzenia. Wreszcie, kiedy bardzo przygnębieni, usiedliśmy na ziemi i zapaliliśmy, Eliaz zaproponował, żebyśmy poszli nad pobliski strumień, gdzie jego zdaniem z pewnością znajdziemy młode krokodyle. Pomyślałem sobie, że jako plon całonocnej wyprawy, lepszy młody krokodyl niż nic. Ruszyliśmy w drogę. Było nas czterech: oprócz Eliasza i Andrai zabraliśmy ze sobą chłopca imieniem Amos, którego obowiązkiem było nieść wszystkie siatki i worki, tak by pozostali w każdej chwili mogli się wspiąć na drzewo. Amos był wyjątkowym półgłówkiem. Zupełnie się nie orientował w tym, co robimy, i żadne argumenty nie zdołały go przekonać, że aby coś złapać lub choćby zobaczyć, należy się poruszać cicho i spokojnie. Potykał się co chwila, ze straszliwym hałasem upuszczając puszki albo zaplątując się w worki, które niósł, wpadał w każdy krzak po drodze. W rezultacie więcej czasu spędzaliśmy na wyplątywaniu go z zarośli niż na poszukiwaniu zwierząt. Wreszcie, będąc u kresu cierpliwości, zagroziłem mu, że jeśli jeszcze raz narobi hałasu albo w coś się zapłacze, odstrzelę mu stopy. Skutek tej groźby był taki, że chichotał bez opamiętania przez następne pół godziny, a potem wpadł do małego wąwozu pełnego chrustu, czyniąc przy tym taki harmider jak stado spłoszonych bawołów.

Strumień płynął korytem z granitowych płyt, w którym woda wyżłobiła liczne jeziorka i wodospady, gdzieniegdzie tworząc w skale jakby równoległe rynny. Tam gdzie woda płynęła spokojnie, wyrzucała na brzeg bielusieńki piasek, lśniący w blasku latarek jak kość słoniowa. Zatrzymaliśmy się w takim piaszczystym miejscu i wycięliśmy sobie rozwidlone na końcu kije, a potem ruszyliśmy, brodząc w wodzie w górę strumienia. Po jakiejś półgodzinie zobaczyliśmy

nagle na wąskim brzegu parę mocno świecących oczu. Podeszliśmy ostrożnie i zobaczyliśmy małego krokodyla, długości około osiemnastu cali, który na odgłos naszych kroków czujnie podniósł łeb. Kierując mu w oczy światło latarki, powoli zbliżyliśmy się na tyle, żeby przygwoździć go za szyję rozwidlonymi kijami. Następnie podniosłem go z ziemi i po dłuższej dyskusji z Amosem, który szybko uciekł z całym wyposażeniem, umieściłem krokodyla w skrzynce. W lepszym już nastroju dzięki tej zdobyczy ruszyliśmy w drogę i wkrótce natrafiliśmy na ścianę skalną wysokości dwudziestu stóp, z której spieniona woda gwałtownie spadała w dół. Wilgotną powierzchnię skały porastały paprocie i begonie. Z wielką ostrożnością zaczęliśmy się wspinać i w połowie drogi, kiedy bardzo dzielnie pokonywałem półkę skalną nad wodospadem, zauważyłem tłustą, piękną ropuchę siedzącą pod kępą paproci. Miała kolor musztardowożółty. Patrzyła na mnie, jak to ropuchy, pustym wzrokiem, szybko oddychając. Nigdy w życiu nie widziałem okazu tego koloru i postanowiłem, że musi znaleźć się w mojej kolekcji. Nie było to jednak tak łatwe, jakby się zdawało. Stałem na bardzo wąskiej półce, uczepony końcami palców skalnej ściany, która była śliska, tak że musiałem się poruszać z największą ostrożnością, bo w przeciwnym razie spadłbym z wysokości dziesięciu stóp w skalne wgłębienie poniżej wodospadu, gdzie kłębiła się spieniona, czarna woda. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że Elias dotarł do górnej krawędzi wodospadu, a teraz, przykucnąwszy nade mną, przyświeca mi latarką.

– Eliasz! – zawołałem. – Tu jest zwierzę, ale nie mogę go złapać. Podaj mi koniec twojej opaski, będę się miał za co złapać i może je schwytam...

Elias odwinął z bioder opaskę i trzymając jeden jej koniec, drugi spuścił do mnie. Okazała się jednak za krótka. Byłem na siebie wściekły, że nie zabrałem liny.

– Weź opaskę Andrai i zwiąż je razem! – poleciłem.

Kiedy czekałem, na górze wybuchła kłótnia, najwidoczniej Andraia był człowiekiem wstydlwym i nie chciał stać na górze całkiem goły. Wreszcie ukazały się oba pasy materiału z wielkim węzłem pośrodku. Chwyciłem dolny koniec jedną ręką, tak że drugą miałem wolną i mogłem złapać ropuchę. Tymczasem ona, skacząc wzdłuż półki, oddaliła się ode mnie o jakieś sześć stóp i przysiadła na skalnym występie. Aby się do niej dostać, musiałem zawisnąć nad wodą całym ciałem, trzymając się tylko materiału. Odmówiwszy krótką modlitwę, wychyliłem się i złapałem ropuchę za tylną nogę. Na skutek tego ruchu zakołysałem się niebezpiecznie i instynktownie spojrzałem w górę, żeby się przekonać, czy wszystko jest w porządku. Wtedy zobaczyłem z przerażeniem, że wielki węzeł, łączący oba pasy tkaniny, zaczyna puszczać. Ledwie zdążyłem wrócić na dawne miejsce, kiedy oba kawałki się rozdzieliły. Wyglądając znad krawędzi skały, Andraia mógł zobaczyć, jak jego opaska wesoło wiruje w wodzie.

Kiedy po wyłowieniu opaski Andrai wszyscy dotarliśmy szczęśliwie na szczyt, usiadłem, żeby obejrzeć ropuchę. Można sobie wyobrazić, co czułem, kiedy się przekonałem, że mój

niezwykły okaz w rzeczywistości jest najczęściej spotykaną w Kamerunie odmianą ropuchy, taką, która zmienia swój normalny kolor na bardzo jasny, tuż przed porą godów. Wypuściłem ją ze smutkiem i patrzyłem, jak skacze leniwie w kierunku zarośli.

Szliśmy teraz wzdłuż strumienia, który spieniony wił się wśród wielkich głązów, pełni nadziei, że zdobędziemy więcej krokodyli. I rzeczywiście, niebawem udało nam się złapać jeszcze dwa. Potem brodziliśmy przez godzinę bezowocnie. W pewnym momencie na rosnącym nad nami drzewie błysnęło dwoje oczu, ale mimo poszukiwań, nie udało nam się znaleźć ich właściciela. Zmęczony bardzo Amos włókł się za nami, od czasu do czasu ponuro jęcząc. Wiedziałem, że to nie jest skarga, że chłopak w ten sposób poprawia sobie nastrój, ale bardzo mnie to denerwowało i zastanawiałem się, co z nim zrobić. Eliasz i Andraia brodzili przede mną, a ja niosłem nasze rozwidlone na końcu kije; chciałem, by mając wolne obie ręce, mogli swobodnie operować latarkami. Wreszcie, ponieważ przez długie – jak mi się zdawało – godziny nie dostrześliśmy żadnego żywego stworzenia, zrobiłem bardzo głupią rzecz: w przypływie zniechęcenia odrzuciłem kije, pewien, że w razie potrzeby zawsze będzie można wyciąć nowe. Jak na złość, wkrótce Eliasz nagle się zatrzymał, kierując promień latarki w stronę czegoś, co zobaczył, a wolną ręką dał mi znak, żebym podał mu kij. Odparłem, że wszystkie zgubiłem.

– Ik... eechh! – mruknął, słusznie oburzony.

Wyciągnął maczetę i ostrożnie zaczął posuwać się naprzód. Ciekaw byłem, co takiego wypatrzył, i po chwili zobaczyłem, że na piaszczystym brzegu przed nami leży coś długiego, ciemnego, coś wielkości i kształtu niedużego krokodyla. Eliasz podszedł bliżej i nagle rzucił się do przodu, próbując przygwoździć to coś do piasku ostrzem maczety, ale tajemnicze stworzenie przemknęło mu między nogami, chlupnęło do wody i z wielką szybkością popłynęło w kierunku Andrai. Ten skoczył na nie, kiedy go mijalo, ale ono jeszcze zwiększyło szybkość i jak miniaturowa torpeda pruło wprost na mnie. Teraz byłem już pewien, że to krokodyl, tak więc gdy się ze mną zrównał, skoczyłem mu na grzbiet. Poczulem, jak jego ciało konwulsyjnie wije się pode mną, ale kiedy próbowałem je chwycić, wyślizgnęło mi się z rąk. Teraz na drodze jego ucieczki stał tylko Amos. Wszyscy trzej zaczęliśmy głośno krzyczeć, radząc mu, co ma robić. A on stał z otwartymi ustami, patrząc, jak zwierzę się zbliża. Było już koło niego, zostawiało za sobą na wodzie wyraźny ślad, a potem minęło go i szybko dało nura w rumowisko wielkich głązów. Amos zaś wciąż stał zagapiony.

– Arrr! – ryknął Eliasz. – Ty głupi, głupi. Dlaczegoś go nie złapał?

– Ja go widziałem – odezwał się nagle Amos. – On pod tym kamieniem.

Podbiegliśmy do niego, wzbijając bryzgi wody. Amos pokazał nam, pod którym kamieniem schroniło się zwierzę. Eliasz i Andraia schylili się jednocześnie, żeby zbadać dziurę pod kamieniem, i oczywiście zderzyli się głowami. Po krótkiej wymianie wzajemnych oskarżeń Andraia schylił się i wsunął rękę do dziury, żeby sprawdzić, jak jest głęboka. Owo stworzenie

najwyraźniej tylko na to czekało. Andraia z okrzykiem bólu natychmiast wyciągnął rękę; palce ociekały mu krwią.

– To zwierze może ugryźć człowieka – stwierdził Elias z miną odkrywcy.

Ponieważ Andraia miał najdłuższe z nas wszystkich ręce, namówiliśmy go, żeby jeszcze raz wsunął rękę do dziury i siłą wyciągnął zbiega, ale najpierw między nim a Eliaszem odbyła się długa, ostra kłótnia w języku banyangi, padały oskarżenia o tchórzostwo i pełne urazy zaprzeczenia. Wreszcie Andraia położył się na brzuchu w płytkiej wodzie i raz jeszcze zanurzył rękę w otworze, cały czas chwając się, jak on to zręcznie robi. Zapanowała cisza, przerywana tylko stęknieniami, kiedy próbował dosięgnąć zwierzęcia. Nagle wydał triumfalny okrzyk. Wstał powoli, ociekając wodą i trzymając zdobycz za ogon.

Aż do tej chwili byłem przekonany, że próbujemy złapać jeszcze jednego małego krokodyla, toteż widok zwierzęcia, które zwisało z jego ręki, zupełnie mnie zaskoczył. W świetle latarki kołysała się gładka i rozwścieczona, sycząca jak wąż przez gęste wąsy, całkiem dorosła ryjówka wodna, zwierzę, którego nigdy nie spodziewałem się znaleźć. Nie byłem w stanie zrobić nic inteligentnego, stałem tylko z otwartymi ustami i gapiłem się na to legendarne stworzenie. Ryjówka miała jednak widać dość wiszenia głową w dół, bo nagle się odwróciła, wdzięcznie się wygięła i zatopiła zęby w kciuku Andrai. Dzielny myśliwy podskoczył jak oparzony, wrzeszcząc wniebogłosy: „Och!... Och!... Och!...”, i machając ręką, żeby się pozbyć ryjówki. „Och, Elias, zabierz to zwierze... Och!... O Jezu... Ono mnie zabiło... Och!... Och!... Elias... szybko!” Obaj z Eliaszem próbowaliśmy uwolnić go od zębów ryjówki, ale ona sprawiała wrażenie, że bardzo jej się podoba ta pozycja, i zaciskała coraz mocniej szczęki, jakby chciała pokazać, że walka trwa nadal. Po dłuższych zmaganiach, w trakcie których omal nie ogłuchliśmy od wrzasków Andrai, który darł się z bólu i wzywał pomocy Boga Wszchemogącego, udało nam się oderwać syczącą i wijącą się ryjówkę i wrzucić ją do worka. Potem obejrzałem rękę Andrai: pierwszy staw jego kciuka był cały we krwi, a kiedy ją zmyłem, przekonałem się, że jest poważnie uszkodzony. Ryjówka przegryzła mu opuszek palca aż do kości, tak że wisiały strzępki ciała, a rana obficie krwawiła. Zarządziłem więc powrót, częściowo z powodu palca Andrai, który z pewnością musiał go bardzo boleć, ale również dlatego, że chciałem ten nowy niezwykle okaz jak najszybciej umieścić w odpowiedniej klatce. Ruszyliśmy szybkim krokiem w kierunku wsi, ale jęki Amosa i Andrai sprawiała, że nasz marsz bardziej przypominał kondukt pogrzebowy niż triumfalny powrót do domu.

Kiedy zmieniałem całkowicie przemoczone ubranie, Elias poszedł do wsi i obudził Cieślę, żeby zaraz wziął się do pracy i zrobił odpowiednią klatkę dla tego rzadkiego zwierzęcia. Seledynowe już niebo zabarwiło się czerwienią nadchodzącego świtu, kiedy wbijaliśmy ostatni gwóźdź. Bardzo ostrożnie rozwiązaliśmy worek i delikatnie wpuściłem ryjówkę do jej nowego domu. Siedziała chwilę nieruchomo, gładząc wielkie wąsy, a potem przez okrągły otwór szybko

wsunęła się do swojej ciemnej sypialni. Słyszałem, jak mości się w środku wśród suchych bananowych liści, potem westchnęła głęboko i zapadła cisza.

Wodna ryjówka całkiem spokojnie pogodziła się ze swoją niewolą. Dla mnie jednak nie nadszedł jeszcze czas spoczynku: wszyscy moi ludzie udali się nad rzekę, żeby nałapać ryb, żab, wodnych węży i krabów, a dwóch tragarzy posłałem do Mamfe, żeby zdobyli wielką blaszaną beczkę, która miała służyć ryjówce jako basen do pływania. Podczas całej tej krzątaniny, co kilka minut podchodziłem do jej klatki, żeby nasłuchiwać, czy się rusza. Wkrótce miałem kosz pełen krabów, sześć żab, dziesięć ryb i dość anemicznie wyglądającego węża wodnego. Umieściwszy to wszystko, kilkakrotnie uderzyłem w drzwi sypialni ryjówki. Łaskawie przeszła do otwartej części swej klatki, a kiedy słońce wzeszło, po raz pierwszy mogłem ją dokładnie obejrzeć. Miała około dwóch stóp długości, z czego więcej niż połowę stanowił ogon; mocny, muskularny, nie był spłaszczony poprzecznie jak u wydry, ale wzdłuż jak u kijanki. Sierść była króciutka i gładka, tak że cały ogon wyglądał jak zrobiony z lakierowanej czarnej skóry. Grzbiet zwierzęcia był czarny, ale łapy, brzuch, podgardle i pierś całkiem białe. Tułów niewielki, pękaty, a łeb dziwnie spłaszczony. Pysk i części policzków przy nosie były wypukłe i szerokie, porośnięte gęstymi, sztywnymi, białymi włosami. Od góry głowa kształtem przypominała młotek. Łapy ryjówka miała małe, zgrabne, oczy malutkie jak główki szpilki, błyszczące, czarne niby węgiel, głęboko osadzone.

Otworzyłem drzwi klatki i wrzuciłem do środka węża. Kiedy się poruszył, ryjówka prychnęła wściekle i cofnęła się szybko, sycząc w ten sam sposób co poprzednio. Wyjąłem węża i wpuściłem żabę. Znow ta sama reakcja. Następnie włożyłem rybę, ponieważ wedle mojej wiedzy na temat tego zwierzęcia, ryby były jedynym jego pożywieniem, ale i ta propozycja nie spotkała się z uznaniem ryjówki. Najwyraźniej była znudzona moimi poczynaniami i tęsknie spoglądała w stronę swojej sypialni. Wobec tego wrzuciłem dużego kraba. Ryjówka zbliżyła się, wężąc, i nagle, nim krab zdążył nastawić swoje szczypce, przewróciła go na grzbiet i jednym mocnym kłapnięciem przegryzła na pół. Potem usiadła i szybko go pożarła, głośno chrupiąc i ruszając włosami. W pół godziny zjadła cztery kraby, i tak na pewien czas problem jej żywienia został rozwiązany.

Nazajutrz tragarze przynieśli wielką beczkę po ropy. Przecięto ją na pół i usunięto z niej rdzę oraz wszelkie ślady ropy, gotując w niej wodę przez dwadzieścia cztery godziny. Następnie ustawiono klatkę na beczce, a dzięki zasuwany drzwiom mogłem wpuszczać ryjówkę i wypuszczać z jej własnego basenu kąpielowego. Bardzo była zadowolona z tego urządzenia i co noc, głośno sycząc i chrząkając, nurkowała w nim, czekając na kolację z krabów. Bardzo szybko brudziła wodę, toteż trzeba było ją zmieniać trzy razy dziennie, ku wielkiemu utrapieniu boya-nosiwody. Ryjówka, mając teraz odpowiedni dom i dostęp do wody, świetnie się zaadaptowała i potrafiła pochłonąć dziennie dwadzieścia, dwadzieścia pięć krabów, a ich

zdobywanie stało się źródłem sporych dochodów dla małych chłopców, którzy je dostarczali.

Wielka wodna ryjówka to zapewne jeden z najbardziej interesujących okazów fauny Afryki Zachodniej. Wszystko wskazuje na to, że jest jednym z nielicznych żyjących do dziś ciepłokrwistych zwierząt prehistorycznych, oddychającą, gryzącą skamieliną. *Potamogale velox*, jak brzmi jej nazwa naukowa, została odkryta przez Du Chaillu, człowieka, który ściągnął na siebie ogólne oburzenie z powodu okropnych opisów polowań na goryle w osiemnastym wieku. Z uwagi na jego skłonność do koloryzowania na temat zdobytych materiałów i bujną fantazję, wszystkie doświadczenia Du Chaillu oraz jego odkrycia były przyjmowane przez zoologów z wielką podejrzliwością. W przypadku *Potamogale* zapewne zadowolili się powtarzaniem tego, co mu powiedzieli tubylcy, toteż podany przezeń opis nawyków tego zwierzęcia i sposobu odżywiania jest zupełnie błędny. Zwierzę to nie ma żadnych krewniaków nigdzie na świecie, z wyjątkiem małego, podobnego do myszy stworzonka zwanego *Geogale*, które żyje na Madagaskarze. Ponieważ *Potamogale* nie jest znane w formie skamieliny, nie można dokładnie określić, z jakiego okresu pochodzi, wiemy jednak, że ma ono niezwykle stary rodowód. Dawno temu, w okresie historii Ziemi znanym geologom jako kreda, żyło zwierzę, znane pod nazwą *Palaeoryctes*. Jest to najstarsze znane nauce zwierzę owadożerne i musi być przodkiem rodziny, do której należy rodzaj *Potamogale*, gdyż ich zęby są prawie identyczne, z tym że *Potamogale* mają zęby znacznie większe. Wielka wodna ryjówka pochodzi więc z tego okresu w historii świata, kiedy jeszcze nie pojawił się na Ziemi człowiek w swoim obecnym kształcie. Ma ona też jeszcze jedną właściwość, która wyróżnia ją wśród wszystkich zwierząt owadożernych: mianowicie nie ma kości obojczyka!

Kiedy ryjówka zadomowiła się w swojej klatce, zacząłem się zastanawiać nad bardzo ważną sprawą: czym będę ją karmił podczas długiej podróży do kraju? Oczywiście mogłem zabrać ze sobą zapas żywych krabów, ale przecież kiedyś by się wyczerpał, a poza tym nie słyszałem o tym, żeby w Anglii można było dostać żywe kraby. Jedynym wyjściem było przyzwyczaić ją do pożywienia zastępczego, lecz ten pomysł niezbyt mi się podobał. I wtedy przypomniałem sobie, że tubylcy w Kamerunie łapią żywe krewetki, następnie suszą je na słońcu i sprzedają na targu jako świetny dodatek do mięsa duszonego z orzeszkami ziemnymi i do różnych innych dań. Pomyślałem, że to będzie namiastka krabów, i posłałem natychmiast jednego z ludzi na pobliski targ, żeby mi zdobył kilka funtów tego przysmaku. Zmieszałem małe, suche jak biskwity krewetki z surowym jajkiem i drobno posiekany mięsem, potem zabiłem dwa duże kraby, wypatroszyłem je i wypchałem tym obrzydliwym nadzieniem. Następnie podszedłem do klatki ryjówki i rzuciłem jej małego żywego kraba. Uporała się z nim szybko i zaczęła się rozglądać za następną porcją. Kiedy wsunąłem nafaszerowanego kraba, rzuciła się na niego i zaczęła chciwie chrupać. Po pierwszych kilku kęsach przestała i niuchając podejrzliwie (ja w tym momencie zamarłem), przyglądała mu się dłuższą chwilę. W końcu jednak ku mej radości

zabrała się do jedzenia.

Stopniowo przyzwyczaiłem ją do tego nowego pokarmu, aż wreszcie zaczęła jeść z miski i mając cztery, pięć krabów na deser, świetnie się rozwijała. Już sobie wyobrażałem, jak po przyjeździe do Bakebe pokażę ją Johnowi, dumny, że potrafię hodować wielką wodną ryjówkę w niewoli, kiedy obiekt mojej miłości nagle zakończył życie. Jeszcze wieczorem była najedzona i w świetnym humorze, a następnego ranka leżała martwa. Ze smutkiem włożyłem ją do formaliny, świadom, że jest to zapewne jedyny sposób, żeby choć jeden okaz tych zdumiewających zwierząt ocalić dla potomności.

Istnieje pewna dziwna prawidłowość, znana poszukiwaczom rzadkich zwierząt: otóż, ktoś z wielkim wysiłkiem zdobywa pierwszy, niezwykle rzadki okaz, a zaraz potem ktoś inny znajduje go bez trudu. Wcale się więc nie dziwiłem, kiedy pewnego dnia do naszego obozu przyszedł młody chłopak z wiklinową pułapką na ryby, w której siedziała młoda, sympatyczna, wielka ryjówka wodna. Była to samica, licząca najwyżej pięć miesięcy, gdyż wraz z ogonem miała około dwunastu cali długości (dorosła ryjówka, którą ja złapałem, mierzyła dwie stopy). Byłem niezwykle ucieszony tym nabytkiem, sądząc, że ten młody okaz przyzwyczai się do niewoli i zastępczego pożywienia łatwiej niż dorosły osobnik. Okazało się, że miałem rację, gdyż po dwudziestu czterech godzinach samica jadła to, co jej podałem, chrząkała z zadowolenia w swoim basenie, a nawet pozwalala się drapać za uszami, na co nie mógłbym sobie pozwolić wobec poprzedniej ryjówki. Przez miesiąc żyła radośnie w swej klatce, jadła z apetytem i szybko rosła. Byłem pewien, że będzie pierwszą wodną ryjówką w Anglii. Ale los postanowił mnie oduczyć nadmiernego optymizmu i dowieść, że kolekcjonowanie zwierząt nie jest takie łatwe, jak się czasem wydaje. Pewnego ranka znalazłem ryjówkę martwą. Młoda samiczka zakończyła życie w sposób tak samo tajemniczy jak poprzedni dorosły okaz: wieczorem, kiedy ją karmiłem, była bardzo ożywiona i zjadła wszystko z apetytem, a rano już nie żyła.

Wielka wodna ryjówka była naprawdę największym osiągnięciem naszych nocnych polowań. Natomiast jeśli idzie o angwantibo (które wtedy uważałem za stworzenie prawie mityczne!), ponieśliśmy całkowitą klęskę. Przez wiele następnych tygodni myśliwi przeszukiwali dokładnie wszystkie zbiorniki wodne i szlaki na wiele mil wokoło, znęceni wysoką zapłatą, jaką im obiecałem, ale bez skutku. Po dwóch tygodniach intensywnych nocnych polowań zaniechałem tych wypraw i zająłem się wyłącznie moją, coraz bardziej się powiększającą, kolekcją.

VI

Zwierzęta oraz ich dostawcy

Obóz położony był na prostokątnej polanie wyciętej w gęstym poszyciu na skraju lasu. Pięćdziesiąt stóp dalej niewielka rzeczka wyłobila sobie dolinę w czerwonej glinie. Na skraju tej doliny mieścił się obóz. Stał w nim mój namiot, dla lepszej osłony pokryty liśćmi palmowymi, i tuż obok pomieszczenie dla zwierząt: duży budynek zrobiony z mat z liści palmowych na szkieletcie z młodych drzewek, związanych lianami. Naprzeciw znajdował się podobny szałas, znacznie mniejszy, który służył za kuchnię, a za dużymi krzewami chata, w której nocowali zatrudnieni przeze mnie ludzie.

Wiele czasu i wysiłku kosztowało mnie urządzenie obozu tak, jak zaplanowałem. W pewnym momencie trzy oddzielne grupy ludzi budowały jednocześnie trzy domy i zamęt był nie do opisania. Brodziło się po kolana wśród splątanych pnączy, palmowych mat, pudeł z jedzeniem w puszkach, drucianych pułapek, sieci, klatek oraz innego ekwipunku. Wszędzie roiło się od Afrykanów, zapalczywie wymachujących maczetami, z zupełnym lekceważeniem ludzkiego życia. W tym chaosie snuły się ustawicznie kobiety, stare, pomarszczone, z gładko ogolonymi głowami, palące pękate, czarne fajki, i młode, pulchne, o lśniącej skórze i przenikliwych głosach. Jedne przynosiły jedzenie swoim mężom, inne tykwy pełne żab, żuków, krabów i ryb – słowem wszystkiego, co złapały nad rzeką – w nadziei, że to kupię.

– Masa, masa! – wołały, wymachując tykwami pełnymi chrzęszczących, puszczających bańki krabów. – Masa kupi to! Masa chce te zwierzęta?

Z początku, nie mając klatek gotowych na przyjęcie zwierząt, musiałem im odmawiać, ryzykując, że rozczarowane odejdą. Ale na szczęście tak się nie stało; wiele kobiet wracało trzy, cztery razy dziennie, żeby się przekonać, czy nie zmieniłem zdania.

Postanowiłem, że nim przyjmę jakiegokolwiek zwierzęta, najpierw muszę mieć jako tako zorganizowany obóz. Dopiero potem przystąpiłem do budowania klatek. Zatrudniłem cieślę, który przykucnąwszy w samym środku obozu przed stosem zniszczonych skrzynek, pracował szybko i sprawnie, nie zważając na otaczający go zamęt i hałas. Wkrótce miałem spory zapas klatek i byłem przygotowany na każdą niespodziankę. Po okolicy rozeszła się szeptana wieść, że masa będzie kupować zwierzęta, i mały strumyczek dostawców przekształcił się w prawdziwą powódź, co groziło, że zostanę nią zalany nie tylko ja, ale i cieśla. Nieraz pracowaliśmy przy lampach sztormowych do drugiej, trzeciej nad ranem, spiesząc się, żeby skończyć jakąś klatkę; koło nas na ziemi leżał rząd worków, a w każdym wiło się i szamotało jakieś stworzenie.

Dostawcy zwierząt dzielili się na trzy kategorie: dzieci, kobiety i myśliwych. Od dzieci kupowałem pająki palmowe, wielkie brunatne ryjkowce palmowe, różne odmiany kameleonów oraz piękne, srebrne i brązowe leśne jaszczurki – śligi. Kobiety przynosiły mi kraby, zarówno

ładowe, jak i rzeczne, żaby i ropuchy, węże wodne, czasem żółwie, niekiedy ledwie opierzone ptaki i wielkie wąsate sumy żyjące w mulistych rzekach. Ale to myśliwi dostarczali mi naprawdę ciekawych okazów: mangust, jeżatek ze szczotkowatymi ogonami, wiewiórek oraz innych rzadkich mieszkańców dżungli. Dzieci chciały, żebym płacił wielkimi, błyszczącymi zachodnioafrykańskimi pensami z dziurką w środku. Kobiety wołały dostawać połowę zapłaty w soli, połowę w szylingach, za to myśliwi chcieli tylko bilon. Nieśmiało odmawiali przyjęcia banknotów i woleli nieść kilogram pensów, niż wziąć jeden banknot. Przychodzili do obozu wszyscy, począwszy od małych dzieci aż do starców, kulejących, wspartych na kijach, a każdy przynosił jakieś zwierzę w tykwie, w worku przywiązany do kija albo w zręcznie uplecionym wiklinowym koszu. Niektórzy zawijali swą zdobycz w przepaskę biodrową, zupełnie się nie przejmując własną nagością. Każde starannie zamknięte pudło lub koszyk stawały się klatką, każdy blaszany pojemnik po nafcie, starannie umyty i czysty, pełen był żab o głupich ślepiach albo splątanych węży. Wszędzie wisiały bambusowe klatki pełne ptactwa, małpy i mangusty przywiązane były do każdego pala i pnia. Mój zwierzyniec coraz bardziej się powiększał.

Pewnego dnia, wczesnie rano, kiedy właśnie się goliłem przed namiotem, pojawił się wysoki, ponury mężczyzna z workiem z liści palmowych na plecach. Stał przede mną i położył go u moich stóp, po czym cofnął się w milczeniu, patrząc na mnie groźnie. Zawołałem mego boya, Piusa, który w kuchni doglądał przygotowań do śniadania.

– Pius, co ten człowiek przyniósł?

– Jakie zwierze ty przyniósł? – spytał Pius przybysza.

– Wodne zwierze.

– On powiada, że to wodne zwierze – wyjaśnił Pius.

– Jakie wodne zwierzę? Sprawdź, a ja skończę się golić.

Pius podszedł do worka i ostrożnie rozciął sznurek, po czym zajrzał do środka.

– To krokodyl, sah. Bardzo duży, ale ja myślę nieżywy.

– Czy się rusza?

– Nie, sah, on wcale się nie rusza – stwierdził i wyciągnął krokodyla długości czterech i pół stóp, który leżał na ziemi bezwładny, jak to krokodyl, z zamkniętymi oczami.

– On nie żyje, sah – powiedział Pius i zwrócił się do mężczyzny. – Dlaczego ty go przyniosłeś martwy, ik? Dlaczego go zraniłeś? Ty myślisz, masa głupi, żeby płacić za martwe zwierze?

– On nie martwy – odparł myśliwy.

– Nie martwy, ik? – spytał ze złością Pius – A to co jest? – To mówiąc, trzepnął krokodyla workiem. Gad otworzył ślepie i nagle ożył. Przebiegł między nogami Piusa, który przerażony aż podskoczył z wrzaskiem, przemknął koło myśliwego, próbującego go schwytać, i pognął w kierunku kuchni. Pius, myśliwy i ja rzuciliśmy się za nim. Krokodyl, widząc, że pogoń się

zbliża, doszedł do wniosku, że ominięcie kuchni byłoby tylko stratą czasu, i przedarł się przez ścianę z liści palmowych. Kucharz i jego pomocnicy oniemieli ze zdumienia. Kiedy wpadliśmy do kuchni, krokodyl był połową cielska w przeciwległej ścianie, zostawiwszy za sobą istne pobojowisko. Pomocnik kucharza rzucił na ziemię patelnię z jej zawartością. Siedzący na pustej bańce po nafcie kucharz stracił równowagę i wpadł do koszyka z jajami, w którym były też bardzo dojrzałe i miękkie papaje, a kiedy próbował wstać i uciec z kuchni, potknął się o wielki garnek z zimnym curry i przewrócił go. Krokodyl właśnie zmierzał prosto do dżungli, oblepiony resztkami curry i kawałkami zwęglonego drewna. W biegu zdjąłem szlafrok i zarzuciłem mu na łeb, mocno zaciskając, żeby nie mógł gryźć. Zrobiłem to w ostatniej chwili; jeszcze kilka jardów, a zniknąłby w gęstwinie niskich zarośli na skraju obozu. Siedząc w kurzu na ziemi i przyciskając go do piersi, targowałem się z myśliwym. Wreszcie ustaliliśmy cenę i krokodyl został umieszczony w małym basenie, który zbudowałem dla tych gadów. Ale nie chciał oddać mi szlafroka, którego sporą część trzymał w pysku. Na razie dałem więc za wygraną, pocieszając się nadzieją, że krokodyl w końcu go wypluje. Niestety kąpiel w basenie nie wyszła temu strojowi na dobre. W kilka tygodni później, kiedy następny krokodyl chciał uciec, powtórzyłem ten sam manewr, wywołując panikę w kuchni i niszcząc przygotowany dla mnie lunch. Po tych przygodach wszystkie krokodyle uwalniałem przy basenie, w asyście co najmniej trzech ludzi, gotowych udaremnić każdą próbę ucieczki.

Wkrótce potem pojawił się jeszcze jeden kłopotliwy nabytek, co prawda innego rodzaju. Pewnego dnia do późnego wieczora pracowałem przy budowie ptaszarni i do łóżka położyłem się dopiero o dwunastej w nocy. W jakąś godzinę później obudziła mnie wielka wrzawa dobiegająca ze wsi – głośnie wrzaski, klaskanie w ręce i okrzyki: „Ik... eechh!” Przypuszczając, że jest to wstęp do tańców, obróciłem się na drugi bok i próbowałem znów zasnąć. Ale hałas nie ustawał, ba, nawet się nasilał. Wśród drzew zaczęły migać światła i zobaczyłem, że od strony wsi zbliża się gromada tubylców. Wstałem więc z łóżka i ubrałem się ciekaw, co, u diabła, mogło skłonić tylu ludzi, żeby zakłócili mi spokój o tak późnej godzinie. Kiedy tłum wlał się na teren obozu, miałem wrażenie, że zjawiała się cała wieś. W samym środku ruchliwej gestykulującej gromady szło czterech ludzi, niosących na ramionach olbrzymi wiklinowy kosz w kształcie gigantycznego banana. Opuścili go u moich stóp i nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapadła cisza, a wtedy naprzód wystąpił bardzo brzydki wysoki mężczyzna w zniszczonej tunice koloru khaki, w wielkim brudnym hełmie tropikalnym i nisko mi się uklonił.

– Masa – zaczął mówić uroczyście. – Ja przynoszę ci piękne zwierze. Ja przynoszę masa najlepsze zwierze w tym kraju. Ja dobry myśliwy, ja się nie boję. Idę do buszu i widzę to zwierze. Ono silne, masa, ale jego siła mniejsza niż moja... Ja bardzo silny mężczyzna, ja mam mnóstwo siła, ja...

Zabrakło mu słów i urwał zmieszany. Nie podobał mi się jego pseudocywilizowany strój ani również chełpliwa przemowa. Poza tym byłem zmęczony, chciałem zobaczyć, co przyniosł, dobić targu i jak najprędzej pójść spać.

– Słuchaj, przyjacielu – powiedziałem. – Widzę, że jesteś dobrym; myśliwym i masz wielką siłę. Ale ja chcę wiedzieć, jakie zwierzę przyniosłeś.

– Tak, sah – odparł stropiony i przyciągnął wielki kosz w stronę światła lampy, żebym mógł zobaczyć jego zawartość. – To wielki wąż, sah – poinformował mnie. – To boa.

Wnętrze kosza całkowicie wypełniał największy pyton, jakiego widziałem: pyton skalny. Był tak wielki, że nie zmieścił się w środku i część jego ogona, długości chyba trzech stóp, przywiązana była ciasno do boku kosza. Wąż spoglądał na mnie wściekłymi oczami przez pręty klatki, głośno sycząc. Z zachwytem patrzyłem na wielkiego gada zwiniętego w koszyku, na jego kolorową skórę, błyszczącą w świetle lampy.

– Słuchaj, przyjacielu – powiedziałem do właściciela pytona. – Nie mam możliwości obejrzenia tego wspaniałego zwierzęcia teraz w nocy. Zostaw go tutaj i przyjdź do mnie rano. Wtedy obejrzymy węża i ustalimy cenę. Dobrze?

– Tak, sah – odparł myśliwy. Zanieśliśmy ciężki kosz do szopy dla zwierząt i postawiliśmy go na ziemi. Wylałem na węża dwa kubły wody, gdyż z pewnością był bardzo spragniony. Potem przeciąłem sznury, którymi przywiązano do kosza jego ogon. Były tak mocno zaciśnięte, że w kilku miejscach przecięły wspaniałą skórę. Przez pewien czas masowałem ją, żeby przywrócić krwiobieg.

Wreszcie wyprosiłem z obozowiska mieszkańców wsi i znów położyłem się spać.

Rano obejrzałem pytona i doszedłem do wniosku, że nie jest chyba uszkodzony, choć bardzo ściśnięty koszem, który zapewne został obudowany wokół gada już po jego schwytaniu. Po długotrwałych targach, które odbyły się podczas śniadania, wreszcie go kupiłem, ale wtedy powstał problem klatki. Wyszukałem największą skrzynię, jaką miałem i poleciłem cieśli, żeby ją przerobił na klatkę dla węża. W porze lunchu była gotowa, wyłożona suchymi bananowymi liśćmi, które miały służyć pytonowi za miękkie posłanie. Wtedy wyłonił się problem, jak wyjąć go z kosza i umieścić w skrzyni. Zwykle, jeśli się ma kilku odpowiedzialnych ludzi do pomocy, przeniesienie pytona dowolnej wielkości jest sprawą całkiem prostą. Jeden człowiek chwytą głowę, drugi ogon, pozostali zaś trzymają resztę ciała. Trzeba go trzymać tak, żeby był wyprostowany i nie mógł się zwinąć, gdyż wtedy jest właściwie bezradny, ale mnie brakowało niestety tych kilku odpowiedzialnych ludzi. Afrykanie uważają pytona za węża jadowego, który truje nie tylko zębami, ale i ostrym końcem ogona. Na nic się nie zdały moje perswazje, że ja będę trzymał głowę a oni resztę jego całkiem nieszkodliwego ciała. Na co odpowiadali mi, że pyton na pewno zabije ich ogonem. Nie mogłem dopuścić do tego, by moi pomocnicy po wyjęciu pytona z kosza uciekli, zostawiając mnie sam na sam z tym olbrzymem. Spór się

przeciągał.

– Słuchajcie – powiedziałem wreszcie, rozżłoszczony – jeśli ten wąż nie znajdzie się w skrzyni za pół godziny, nikomu nie zapłacę ani pensa.

To mówiąc, rozciąłem bok kosza, chwyciłem pytona mocno za szyję i zacząłem go powoli wyciągać. Po chwili czarne ręce z wahaniem zaczęły podtrzymywać węża. Trzymając jego głowę w jednej ręce, czekałem, aż pojawi się ogon, i wtedy chwyciłem go drugą ręką. W ten sposób pyton utworzył koło: ja trzymałem jego łeb i ogon, a krąg przerażonych Afrykanów lekko podtrzymywał wijące się cielsko. Wsunąłem ogon do skrzyni i powoli, stopa po stopie, umieściliśmy w niej całego pytona. Na koniec szybko wepchnąłem tam jego głowę, zatrzasnąłem drzwiczki i z ulgą usiadłem na skrzyni. Moi ludzie byli zachwyceni własną odwagą i stali wokoło, pokazując sobie nawzajem, jak go trzymali, co przy tym czuli, jak bardzo był ciężki, i tak dalej. Posłałem jednego do wsi, żeby kupił kurczaka, gdyż gad na pewno był głodny; gdy tylko przyniesiono kurczaka, włożyłem go do skrzyni z pytonem. W nocy wąż zjadł kurczaka i pomyślałem, że wszystko będzie dobrze. Cóż, kiedy nastąpiła jedna z tych komplikacji, jakie sprawiają, że kolekcjonowanie żywych zwierząt jest tak trudne: w ogon pytona, który był zbyt mocno związany, wdała się gangrena. Nawet w chłodnym klimacie zbyt ciasne więzy groźne są dla każdego zwierzęcia, ale w tropikach gangrena rozwija się niezwykle szybko. Pyton żył jeszcze dziesięć dni, jadł dobrze, ale stan jego ogona stale się pogarszał mimo leków. Z wielkimi oporami położyłem wreszcie kres jego cierpieniom. Wyciągnięty na całą długość, mierzył osiemnaście i pół stopy długości. Podczas sekcji okazało się, że była to samica; wewnątrz miała na poły uformowane jajka. Nigdy więcej nie widziałem żywego pytona tej wielkości.

Na ogół wydaje się wszystkim, że gromadząc żywe okazy różnych zwierząt, wystarczy je zdobyć, zamknąć w klatce, i na tym koniec. W praktyce jednak oznacza to dopiero początek pracy. Znalezienie i schwywanie jakiegoś okazu często bywa trudne, ale to wszystko nic w porównaniu z tym, co trzeba zrobić później: znaleźć odpowiednie zastępcze pożywienie, przyzwyczaić zwierzę do tego pożywienia, obserwować, czy niewola nie spowodowała jakiejś choroby, czy na kończynach nie utworzyły się rany wywołane chodzeniem po deskach. A poza tym codzienna rutyna: czyszczenie i karmienie, pilnowanie, żeby słońca nie było za mało ani za dużo; i tak dalej. Niektóre zwierzęta po schwyтaniu po prostu nie chcą jeść, godzinami więc trzeba wymyślać dla nich jakieś przysmaki i zachęcać je do jedzenia. Czasem w takich przypadkach ma się szczęście i nieoczekiwanie można odkryć coś, co taki zwierzak lubi. Ale niekiedy więzień w ogóle nie chce jeść i wtedy pozostaje tylko jedno: wypuścić go z powrotem na wolność. W niektórych przypadkach, na szczęście bardzo rzadkich, nie udawało mi się utrafić w gust zwierzęcia ani go wypuścić; działo się tak, gdy okazy były bardzo młode. Najgorszy przypadek miałem z małymi antylopami, dujkerami.

Ten gatunek antylopy spotkać można tylko w Afryce. Ich wielkość waha się od rozmiarów

foksteriera do bernardyna, a maść mają od szaroniebieskiej do lisiej rudości. Liczne okazy tej ostatniej odmiany można było spotkać właśnie w pobliżu Eszobi. Mój pobyt tam przypadł na okres narodzin małych i myśliwi po zastrzeleniu samic stale natrafiali w dżungli na osieroczone małe dujkery. Takie właśnie biedactwo schwytano i przyniesiono do mnie. Tu trzeba wyjaśnić, że ochrona zwierzyny w Kamerunie nie obejmuje okresu lęgowego żadnego gatunku zwierząt, więc każdy myśliwy ma prawo zabić samicę z jej przychowkiem. Jest to dla niego bardzo korzystne, gdyż nie tylko zdobywa matkę, ale i jej małe, nie tracąc na nie prochu. Sądząc po liczbie przynoszonych małych dujkerów, co roku ofiarą rzezi pada bardzo wiele tych zwierząt, i choć na razie występują one dość licznie, warto się zastanowić, jak długo tak będzie.

Kiedy przyniesiono mi pierwszego dujkera natychmiast zrobiłem odpowiednią klatkę, bardzo rad, że mój zwierzyniec wzbogacił się o tak piękny okaz. Wkrótce jednak przekonałem się, że dujkery są znacznie trudniejsze do hodowania niż inni przedstawiciele zwierzyny płowej czy antylopy, z którymi dotychczas miałem do czynienia. Pierwszego dnia malutka antylopa nic nie chciała jeść i była bardzo zdenerwowana. Nazajutrz przekonała się, że nie zrobię jej krzywdy, i chodziła za mną jak pies, spoglądając na mnie ufnie wielkimi, błyszczącymi, czarnymi oczami. Ale nadal nie chciała tknąć butelki. Próbowałem najróżniejszych sztuczek, żeby tylko zaczęła ssać. Kupiłem skórę dorosłego dujkera i owinałem nią krzesło, a kiedy mała zaczęła ją wachać, wystawiłem spod skóry smoczek. Possała chwilę i odeszła. Próbowałem gorącego mleka, ciepłego mleka, zimnego mleka, słodkiego mleka, kwaśnego mleka, gorzkiego mleka – wszystko na nic. Założyłem jej na szyję sznurek i zaprowadziłem zwierzątko na spacer do pobliskiego lasu, gdyż było w wieku, że mogło się już paść, i miałem nadzieję, że natrafi na jakieś liście czy rośliny, które będą mu smakować. Długo chodziliśmy, ale ona tylko wygrzebała dołek w pokrytej liśćmi ziemi i polizała ją. Widząc, że małe słabnie z dnia na dzień, postanowiłem nakarmić je za wszelką cenę: trzymałem antylopę głową w dół i zmuszałem do picia, ale tak ją to przeraziło, że jeszcze bardziej osłabła, i przyniosło to więcej szkody niż pożytku. Zrozpaczony posłałem kucharza do najbliższego miasta, żeby kupił mleczną kozę. W tych lesistych okolicach rzadko można spotkać kozy i dlatego kucharz wrócił dopiero po trzech dniach. Wtedy malutka antylopa już nie żyła. Kucharz przyprowadził najbrzydszą i najgłupszą kozę, jaką miałem nieszczęście spotkać, a przy tym okazała się ona całkowicie bezużyteczna. W ciągu trzech miesięcy pobytu w obozie z wielkimi oporami dała trzy kubki mleka. Ilekroć zobaczyła małego dujkera, spuszczała łeb i próbowała na niego szarżować. Trzech ludzi musiało ją trzymać, kiedy takie maleństwo ją ssało. Wreszcie odesłałem ją do kuchni, gdzie przez kilka dni stanowiła główny dodatek do curry.

Ciągle przynoszono nam małe dujkery, a one ciągle nie chciały jeść, marniały w oczach i umierały. W pewnym okresie aż sześć tych pięknych małych stworzeń błąkało się po obozowisku, od czasu do czasu jak jagnięta wydając długie rozpaczliwe wołanie: „beee”. Za

każdym razem, kiedy przyprowadzano mi na sznurku małą antylopę, przysięgałem sobie, że jej nie kupię, ale kiedy tylko dotknęła mnie swoim wilgotnym noskiem i spojrzała ciemnymi oczami, poddawałem się. A może – myślałem wtedy – z tą będzie inaczej, może będzie ssać i... kupowałem ją, żeby się przekonać, że jest tak samo jak z innymi. Sześć małych dujkerów wędrowało po obozie, becząc z głodu, ale za każdym razem odmawiały wszystkiego, co im dawano do jedzenia. Było to tak przygnębiające, że wreszcie przestałem je kupować. Wiedziałem, że jeśli ich nie kupię, trafią do garnka myśliwego, ale doszedłem do wniosku, że taka szybka śmierć jest lepsza niż powolne konanie u mnie. Nigdy nie zapomnę długiej przygnębiającej walki, jaką toczyłem za każdym razem, wielogodzinnych wędrówek po dżungli, kiedy prowadziłem je na sznurku, namawiając, żeby jadły różne liście i trawy, długich zmagañ, kiedy oboje – antylopa i ja – ociekaliśmy mlekiem, którego tylko niewielką ilość połykała. Wstawałem z łóżka o trzeciej nad ranem, żeby niemal przez sen cały ten mokry zabieg powtórzyć, a one wrywały się i wierzgały, drąc mi piżamę swoimi ostrymi kopytkami. A potem słabły im nogi, sierść stawała się matowa, wielkie oczy coraz bardziej się zapadały i mętniały. To właśnie doświadczenie, bardziej niż wszystkie inne, nauczyło mnie, że utrzymanie przy życiu zwierząt przeznaczonych dla ogrodów zoologicznych nie jest tak łatwe, jak się wydaje.

W tym właśnie okresie, kiedy wycierpiałem tyle z powodu młodych dujkerów, poznałem pewną kameruńską instytucję, która nosi nazwę Straż Nocna. Wtedy zetknąłem się po raz pierwszy z tym bractwem, które podczas całego mego pobytu w Kamerunie mocno mi dokuczyło. Dwa były powody, żeby zatrudnić Nocnego Strażnika: po pierwsze, ktoś musiał postawić na ogniu garnek z wodą i zagrzać ją, żebym mógł w nocy nakarmić dujkery, a następnie mnie obudzić. Po drugie, co było o wiele ważniejsze, ktoś musiał patrolować co dwie godziny granice obozowiska, wypatrując wielkich kolumn mrówek wędrownych. Nikt, kto nie widział kolumny tych mrówek w marszu, nie potrafi sobie wyobrazić, jak wiele jest tych owadów, jak są szybkie i okrutne. Kolumna mierzy ze dwa cale szerokości i może mieć dwie, trzy mile długości. Po brzegach idą żołnierze, mający pół cala długości, o wielkich głowach i dużych zagiętych szczękach. W środku maszerują robotnice, o wiele mniejsze niż żołnierze, ale też ostro gryzące. Kolumny te idą przez dżunglę, pożerają wszystko na drodze, a kiedy natrafiają na miejsce, gdzie jest dużo pożywienia, rozpraszają się i w przeciągu kilku minut ziemia pokryta jest czarnym ruchomym dywanem. Wystarczyłoby, żeby jedna z tych kolumn dostała się do naszych klatek, a w kilka minut później wylęby się tam zjadane żywcem zwierzęta.

Mój Nocny Strażnik, wysoki szczupły mężczyzna, nosił niewielką opaskę biodrową i uzbrojony był w niezwykle długą włócznię. Przychodził o zachodzie słońca, odchodził o świcie. Był przekonany, że płacę mu za to, żeby się dobrze wyspał przez całą noc przy ogniu w kuchni. Szybko wybiłem mu to z głowy: już pierwszej nocy, kiedy zastałem go mocno śpiącego, wystrzeliłem mu ze strzelby koło ucha. Skutek był znakomity: nigdy więcej nie zasnął,

póki się nie upewnił, że jestem zbyt zmęczony, by się obudzić i przyłapać go na niesubordynacji. Z początku nie przejmował się zbytnio swoimi obowiązkami. W ciągu dnia pracował przy rozlewaniu wina i przy okazji rzecz jasna próbował go, żeby się upewnić, czy jest dobrej jakości. Dlatego też wieczorem przychodził bardzo znużony i zasypiał przy kuchennym ognisku. Wtedy skutkowało tylko strzelanie nad uchem. Ale mimo wszystko nie zdołałem mu uświadomić, jak wielkim niebezpieczeństwem są mrówki. Obchód swój robił bez zapału i tylko potężny frontalny atak mrówek mógłby zwrócić jego uwagę. Ale pewnej nocy sam znalazł się w niebezpieczeństwie, i to wyleczyło go raz na zawsze z lekceważenia obowiązków.

Co dwa tygodnie we wsi odbywały się tańce na głównej ulicy. Było to wielkie wydarzenie towarzyskie i każdy, ubrany w swoje najlepsze perkale, mógł tam przyjść i całą noc spędzić na szuraniu nogami i kołysaniu się w drżącym świetle małej latarni sztormowej, w takt piskliwego zawodzenia fletu i głuchego dudnienia bębnow. Kiedy pewnego razu zostałem zaproszony na tańce, przyszedłem na plac w szlafroku i piżamie, przynosząc ze sobą składany stolik i fotel oraz największą, jaką miałem, latarnię sztormową. Pojawienie się jej zostało powitane przez tańczących okrzykami radości, gdyż w jej mocnym świetle mogli widzieć, gdzie tańczą, i wykonywać nawet najbardziej skomplikowane ewolucje. Z wielkim zapałem starali się mnie zabawić, toteż kiedy po dwóch godzinach postanowiłem wracać do obozu, zostawiłem latarnię w rozkołysanym, zahipnotyzowanym kręgu, przykazując, żeby mija odniesiono rano. Ten gest dobrej woli zrobił bardzo dobre wrażenie i potem, jeśli nawet praca uniemożliwiała mi przyjscie na tańce, posyłałem do wsi latarnię, zawsze przyjmowaną okrzykami radości, klaskaniem w ręce i hałaśliwym: „Dziękujemy, masa... Dziękujemy, masa...”, które słyhać było nawet w obozie.

Pewnego wieczoru zawiadomiono mnie, że mieszkańcy wioski urządzają specjalne tańce na moją cześć i pytają, czy zechciałbym wziąć w nich udział wraz z moją lampą. Odparłem, że czuję się zaszczycony, i gdybym nawet nie mógł przyjść, reprezentować mnie będzie moja latarnia. Tak się złożyło, że skończyłem swoją pracę wcześniej niż zwykle i postanowiłem pójść do wsi. Przed wyjściem poleciłem Nocnemu Strażnikowi, by gdyby cokolwiek się wydarzyło podczas mojej nieobecności, natychmiast mnie wezwał. Udałem się na zabawę w uroczystej asyście – przede mną niesiono latarnię, za mną zaś stolik i fotel. Wkrótce jednak doszedłem do wniosku, że jeśli chcę rano wcześniej wstać, muszę zaraz położyć się do łóżka. Zostawiłem więc wielką latarnię tańczącym i w tym samym szyku co przedtem – mała latarnia na przodzie, stolik i fotel z tyłu – ruszyliśmy do obozu. Znalazłszy się na jego skraju, spostrzegliśmy ze zdumieniem, że Nocny Strażnik wykonuje w świetle swojej latarni jakieś dziwne skoki. Tańczył w kółko, co chwila uderzając się po twarzy, przeklinając głośno w języku banyangi i omiatając przy tym nerwowo ziemię pękiem gałęzi.

– Strażniku Nocny, co się dzieje? – zawołałem.

– Mrówki, sah, bardzo dużo mrówek!

Wbiegłem na teren obozowiska. Strażnika i ziemię dookoła pokrywała gruba, ruchliwa warstwa mrówek. Z buszu szerokim strumieniem płynęły posiłki. Mrówki wędrownie rozlały się szeroko i forpoczty znalazły się o kilka stóp od ściany szałasów dla zwierząt. Nie było chwili do stracenia, jeśli nie chciałem dopuścić owadów do klatek.

– Pius! – wrzasnąłem. – August, George, Daniel, chodźcie szybko!

Przybiegli wszyscy. Mnie również oblażyły mrówki i musiałem zdjąć całe ubranie, żeby się ich pozbyć. Nagi, jak mnie Pan Bóg stworzył, zacząłem organizować do walki swój równie goły personel.

– George, przynieś gałęzie i liście... szybko. Dużo. Pius, biegnij po bańki z naftą. Nocny Strażnik i Daniel niech rozpalą w kuchni mocny ogień i przyniosą go tutaj... Szybko... szybko...

Rzucili się do wykonania moich poleceń, a ja zerwałem garść gałązek i zaatakowałem szpicę kolumny, znajdującą się najbliżej szałasów dla zwierząt; jedną ręką z całych sił odmiatałem ją na boki, drugą zbierałem gryzące mnie mrówki. Kiedy George przyniósł całe naręcze suchych gałęzi i liści, położyliśmy je przed główną kolumną, która napływała z dżungli. Nasączyliśmy stos naftą i podpaliliśmy. Chwyciwszy bańkę z naftą, obiegłem szałas ze zwierzętami i oblałem go ze wszystkich stron. Daniel biegł za mną, rzucając gałęzie i podpalając je. Kiedy otoczyliśmy zwierzęta kręgiem ognia, poczułem się nieco lepiej, jednak trzeba było bardzo uważnie pilnować, żeby jakaś iskra nie padła na dach z palmowych liści i nie zapalił się cały szałas. Zdażyliśmy w ostatniej chwili: jeszcze kilka minut, a przednia straż mrówek przeniknęłaby ścianę i znalazła się wewnątrz wśród rzędów spiętrzonych tam klatek. Zostawiając Piusa i George'a, żeby utrzymywali obronny pierścień ognia, pobiegłem do mego namiotu. Określenie „pełen mrówek” nie oddaje całej grozy sytuacji: mrówki były wszędzie, zielone płótno namiotu pokrywała czarna ruchliwa warstwa. Trzy drewniane ramy, do których były przypięte suszące się skóry, wprost ociekały mrówkami, a skóry były całkowicie zniszczone. Moje łóżko też padło pastwą wielu tysięcy żołnierzy, jak również futerały z bronią palną, kufry z ubraniami, pułapki i sieci, skrzynie z lekarstwami. Oczyszczenie samego namiotu trwało trzy godziny; świeciło, kiedy wreszcie opanowaliśmy inwazję. Nadzy i brudni, zaczęliśmy zbierać z siebie nawzajem mrówki.

Kiedy się już umyłem, ubrałem i mniej więcej przyszedłem do siebie, odbyłem długą, ostrą rozmowę z Nocnym Strażnikiem. Potem kazałem go związać i pozostawiłem pod strażą dwóch osiłków, którzy, jak mu powiedziałem, zabiorą go do zarządcy okręgu i oskarżą o próbę zabicia mnie i moich zwierząt, o to, że zasnął na posterunku i nie podniósł alarmu, i tak dalej, i tak dalej. Oświadczyłem też z wielką satysfakcją, że zarządca okręgu bardzo surowo potraktuje te przestępstwa i skaze go co najmniej na dwa lata więzienia. Żółty na twarzy ze strachu, zaczął błagać, żebym go wypuścił. Po długim ociąganiu obiecałem, że dam mu jeszcze jedną szansę. Ale – ostrzegłem – jeśli mrówki wędrownie znajdą się znów choćby o sto jardów od obozu, a on

nie podniesie alarmu, zostanie bardzo surowo ukarany... Wspomniałem nawet o dożywotnim więzieniu. Groźba ta poskutkowała i od tej pory pilnie wypatrywał mrówek, i każdą ich kolumnę zapowiadał w porę.

Jeszcze jedno musiałem wbić w głowę Nocnemu Strażnikowi, mianowicie, że jest osobiście odpowiedzialny za ucieczkę w nocy każdego zwierzęcia. Dwukrotnie zwierzęta wydostały się przez obluźowane pręty albo nie przybity drut, podczas gdy Nocny Strażnik chrapał w najlepsze przy swoim blaszanym kaganku z naftą, opierając opadającą głowę na wielkiej włóczni. Skarciłem go tylko, ponieważ były to zwierzęta często spotykane i z łatwością mogłem je ponownie zdobyć. Postanowiłem jednak, że przy najbliższej okazji dam mu odpowiednią nauczkę. Pewnego dnia, już po zmroku, jakiś myśliwy przyniósł mi młodego łuskowca. Kupiłem go wraz z prowizoryczną klatką, na której ułożyłem różne rzeczy, żeby mu uniemożliwić ucieczkę. Dobrze wiedziałem, że te stworzenia mają bardzo silne przednie pazury, i uprzedziłem Nocnego Strażnika, żeby pilnował, by łuskowiec nie uciekł. Co wieczór przed pójściem spać robiłem obchód klatek, żeby się upewnić, czy wszystkie są dobrze zamknięte. Zajrzawszy do skrzynki z łuskowcem, przekonałem się, że jest pusta. Jak się z niej wydostał, nie wiadomo, gdyż rzeczy leżące na górze były nietknięte. Przywykłem już jednak do tych czarodziejskich ucieczek i nie traciłem czasu na domysły. Wezwałem Strażnika i wskazałem pustą skrzynkę, mówiąc:

– Strażniku, to cenne zwierzę uciekło.

– Ja go nie widziałem – wybąkał, patrząc tępym wzrokiem na skrzynkę.

– Wiem, że go nie widziałeś, bo źle pracujesz. To zwierzę nie rusza się szybko. Jest tu gdzieś blisko. Weź lampę i szukaj go. A jeśli nie znajdziesz, potrączę ci pięć szylingów z zapłaty, zrozumiałeś?

– Rozumiem, sah – odparł ponuro Strażnik. Wziął swoją latarnię i włócznię i pomaszerował w kierunku zarośli. Przez godzinę słyszałem, jak głośno mówi, żeby dodać sobie odwagi:

– Ty niedobre zwierze... ik... eechh! W którą stronę ty uciekło? ik... eechh! Za duży dla mnie kłopot... Gdzie ty uciekło, niedobre zwierze... Ja ciebie nie widzę, ty dla mnie za duży kłopot...

Wreszcie, kiedy już zacząłem drzemać, usłyszałem jego triumfalny okrzyk:

– Znalazłem, sah, ja go znalazłem w buszu!

– W porządku, przynieś go szybko.

Po chwili zjawił się, wyraźnie uradowany, trzymając łuskowca za ogon. Zaniósłem zwierzątko do skrzynki, ale w świetle lampy zauważyłem, że jest jakiś większy. Zdjąłem rzeczy z pokrywy skrzynki, zanurzyłem rękę, żeby poruszyć zeschnięte liście bananowe na dnie, i nagle natrafiłem na coś okrągłego, twardego i ciepłego. Zakopany wśród liści siedział właściwy łuskowiec, a Strażnik schwytał innego! Włożyłem nowy nabytek do skrzynki i wróciłem do łóżka. No i miałem teraz problem: wedle zasad, które sam ustaliłem, powinienem był zapłacić Nocnemu Strażnikowi za nowe zwierzę, które złapał. Przyznając jednak, że się pomyliłem i że

łuskowiec wcale nie uciekł mu sprzed nosa, naraziłbym na szwank swój autorytet. Postanowiłem więc nic nie mówić i uspokoiłem sumienie, płacąc Strażnikowi więcej niż należało za kilka żab, które przyniósł parę dni później. Miał on duże szczęście: po kilku tygodniach wydarzyła się podobna historia z pająkiem olbrzymem, który naprawdę uciekł, i Nocny Strażnik na dodatek znalazł innego, mniej więcej tej samej wielkości co tamten, ale zupełnie innego gatunku i o wiele rzadszego. Niosąc zbiega na końcu kija, omal nie nadepnął na tego niezwyklego pajęczaka w samym środku obozu. Palmowe pająki olbrzymy należą do niewielu okazów, których nigdy nie zdołałem naprawdę polubić. Tułów mają wielkości jajka, ale kiedy wyciągną długie odnóza, zajmują powierzchnię wielkości spodka. Są ciemnoczekoladowe, lśniące i pokryte gęstym futrem. Małe błyszczące oczka spoglądają złośliwie. Większość, przestraszona lub drażniona patykiem, ucieka, ale niektóre, atakując, skaczą na dwie stopy, a w górę na sześć cali albo i więcej. Wysuwają groźnie wielkie zaokrąglone szczypcy i pierwszą parą odnóży chwytają człowieka we włochaty uścisk. Wiedziałem, że ich ukąszenie jest jadowite, ale nie sądzę, by mogło zabić kogoś, kto jest odporny na zakażenie krwi.

Pewnego popołudnia pojawił się człowiek z dwoma małymi koszyczkami z wikliny; w jednym była piękna jadowita żmija gabońska, a w drugim jeden z tych przerażających palmowych pajaków. Kiedy je kupiłem, człowiek ten poprosił mnie, żebym opatrzył mu rękę, zawiniętą w brudny kawałek materiału. Miał głęboką ranę kciuka, który był bardzo spuchnięty i siny. Spytałem, co mu się stało.

– Zwierze mnie ugryzło – powiedział lakonicznie, wskazując na koszyczki.

– Dobry Boże! – zawołałem przerażony. – Które zwierzę: wąż czy to drugie?

– Och nie, saħ, nie wąż... to drugie... Palec bardzo mnie boli, masa. Czy masa da mi jakieś lekarstwo na to?

Dałem mu dwie aspiryny i dużą szklanę gęstego soku z cytryny. Był bardzo wdzięczny i wrócił następnego dnia, prosząc mnie jeszcze raz o to lekarstwo, które tak dobrze mu zrobiło na ukąszenie. Dałem mu znów dwie aspiryny, ale nie chciał ich wziąć. Nie, on nie chce lekarstwa, tylko prosi o ten żółty płyn, który naprawdę mu pomógł.

Jeszcze inny aspekt mentalności Kameruńczyków poznałem pewnego dnia, kiedy przyszedł mały chłopiec z żółwiem. Obejrzałem okaz dokładnie i stwierdziłem, że w skorupie ma wywierconą dużą dziurę, co dyskredytowało go jako okaz zoologiczny. Oddałem więc żółwia chłopcu, powiedziałem, że go nie chcę, i wyjaśniłem dlaczego. Po półgodzinie pojawiło się następne dziecko i przyniosło tego samego żółwia. Sądząc, że pierwsze dziecko było zbyt małe, żeby zrozumieć, o co mi chodzi, wyjaśniłem całą sprawę raz jeszcze. Wkrótce pojawiło się następne, większe dziecko, niosąc tego samego gada. Przez cały dzień różni ludzie, począwszy od małych pędraków, a skończywszy na starcach, przychodzili do mnie, oferując mi kupno tego cholernego żółwia.

– Dlaczego – spytałem ostatniego człowieka, który mi go przyniósł – tylu różnych ludzi przynosi mi ciągle to samo zwierzę? Przecież tym wszystkim, co do mnie przychodzili, mówiłem, że nie kupię tego żółwia... Spójrz, na grzbiecie ma dziurę! Nie widzisz jej? Dlaczego tyle razy mi go przynosicie?

– Ik, czasem masa nie kupi go ode mnie, ale kupi od innego człowieka – wyjaśnił aktualny właściciel żółwia.

– Słuchaj, przyjacielu, powiedz swojej rodzinie, że nie chcę tego zwierzęcia, zrozumiałeś? A jeśli ktoś mi je znów przyniesie, tak mu przyłożę, że będzie mieć taką samą dziurę jak ten żółw, zrozumiałeś?

– Tak, sah – odparł z uśmiechem. – Masa go nie chce.

I więcej już tego żółwia nie widziałem.

Niektórzy dostawcy zwierząt sądzili, że niezależnie od tego, jak bardzo uszkodzony okaz przynieśli, uda im się skłonić mnie do kupna, po prostu wmawiając, że nic mu nie jest i z pewnością żyć będzie przez wiek, wiele lat. Odnosiło się to zwłaszcza do ptaków. Mali chłopcy chwytali ptaki na lep z białej, podobnej do gumy substancji, którą uzyskiwali, nacinając pewne leśne pnącza. Uważali, że chcę mieć każdego ptaka – uszkodzonego czy zdrowego. Jeśli tylko ptak oddychał, nieważne było, ilu piór mu brakuje albo czy ma złamaną nogę, albo nawet obie. Długo musiałem im tłumaczyć, że chodzi mi o coś całkiem innego. Przekonała ich dopiero historia pewnych gatunków chruścieli.

Pewnego ranka po obejrzeniu wiklinowych koszy, pełnych pokaleczonych ptaków, zrobiłem chłopcom wykład na temat ostrożnego ich traktowania. Właśnie kiedy z gniewem i niepokojem uświadamiałem mym dziesięcioletnim dostawcom, w jak złym stanie przynieśli mi ptaki, zjawiała się mała, może sześciolatnia dziewczynka, z niewielkim koszyczkiem, zręcznie uplecionym z suchych traw i liści. Stała przede mną w milczeniu i podała mi koszyczek.

– Co tam jest? – spytałem.

– Ptak, masa – pisnęła.

Zajrzałem do koszyczka, przekonany, że znów zobaczę okaleczoną zdobycz. W środku siedziały trzy piękne, małe ptaki o długich nóżkach, które w rękach chłopców z pewnością zostałyby połamane. Ani jednego pióra nie wyrwano ze skrzydeł (była to ulubiona metoda tych chłopców, żeby uniemożliwić ptakom latanie). Słowem, ptaki były w doskonałym stanie. Nadarzyła mi się świetna okazja, którą należało wykorzystać. Wziąłem do ręki jednego chruściela i pokazałem gapiącym się chłopcom.

– Patrzcie – powiedziałem – ta dziewczynka lepiej łapie ptaki niż wy, chłopcy. Spójrzcie na tego ptaka: nie ma rany, nie ma sznurka na nogach. Kupię takiego ptaka i on nie umrze. Jeśli ta dziewczynka łapie dobrze ptaki, dlaczego wy tego nie umiecie? A teraz patrzcie, ile zapłacę za te ptaki. – Zwróciłem się do dziewczynki, pytając, ile chce.

– Dwa dwa szylingi, masa – odparła; chodziło jej o to, że chce po dwa szylingi za każdego ptaka.

– Słyszycie? – spytałem chłopców. – Ona chce po dwa szylingi za każdego ptaka. To dużo, ale przyniosła dobre ptaki, złapała je ostrożnie, nie zraniła ich, nie wiązała im nóg sznurkiem. Ponieważ ona je łapie lepiej niż wy, zapłacę jej pięć szylingów za każdego ptaka.

– Ik... eechh! – jęknęli chłopcy z zazdrością i zdumieniem.

Dziewczynka, która nie rozumiała, co mówię, była bardzo zdziwiona, że płacę jej przeszło dwa razy więcej, niż chciała dostać. Przycisnęła pieniądze do piersi i uciekła z obozu, ile sił w tłustych nóżkach, w obawie, że mógłbym zmienić zdanie. Chłopcy też odeszli, żywo rozmawiając i gestykulując.

Od tego dnia przynosili ptaki na ogół w znakomitym stanie. Chłopcy szybko przybierali na wadze dzięki temu, co u mnie zarabiali, a w moich klatkach było coraz więcej pięknych okazów.

Chłopcy stosowali dwie metody łapania ptaków, obie były skuteczne, choć lepsza była ta, którą nazywano „na smar”. W dżungli rosło pewne pnącze, z którego po ścięciu wyciekał obficie biały, gęsty sok. Chłopcy zbierali go z naciętej rośliny, potem stawiali w jakimś naczyniu na ogniu, dodając przedtem sok z nie znanego mi czerwonego owocu o smaku cytryny. Gotowali tę miksturę przez dwie godziny i potem odstawiali na całą noc. Rano była to gęsta, elastyczna masa, bardzo przy tym lepka. Następnie łowcy ptaków pokrywali tą masą długie włókna z liści palmowych i szli nad małe jeziora w dżungli, przy których gromadziły się ptaki, i tu wtykali wachlarzowato w piasek pęki włókien. Dla jakiejś dziwnej przyczyny ptaki przylatujące tu, żeby się napić wody, wolały siadać na tych włóknach niż na piasku. Ptak lądował na lepkiej miotelce i od razu się przyklejał: rozpaczliwie trzepotał skrzydłami, usiłując się uwolnić, a wtedy przyklejały się również pióra i ptak stawał się zupełnie bezradny. Po kilku godzinach klej wysychał i uwolnione ptaki zdrapywały go dziobami.

Drugą metodą było zastawianie pułapek. Sprężystą gałąź zginano w łuk i związywano. U podstawy gałęzi mocowano małą grzędę, na niej umieszczano przynętę, a nad grzędą zawieszano cienką pętlę, przywiązaną do zgiętej gałęzi. Kiedy ptak siadał, żeby zjeść przynętę, grzęda opuszczała się w dół pod jego ciężarem i gałąź się prostowała, zaciągając pętlę na nogach ofiary. Była to bardzo skuteczna metoda, ale kłopot polegał na tym, że kiedy gałąź prostowała się zbyt gwałtownie, zaciskająca się pętla mogła złamać ptakowi nogi. A nawet jeśli nie, ptak, długo wisząc głową w dół i trzepocąc skrzydłami, również mógł sobie zrobić krzywdę. Z tych dwóch metod wolałem lep i po pewnym czasie przestałem kupować ptaki schwyte innymi metodami. Za pomocą tego lepu można było złapać chyba wszystko: szkarłatne i czarne malimbiaki o stalowoniebieskich dziobach; drozdy leśne z białymi brwiami i skrzydłami w lazurowniebieskie plamki jak u sójki; leśne rudziki, wielkością i barwą przypominające angielskie, z tym, że grzbieity miały ciemnobrązowe, a piersi czerwono-pomarańczowe i małe

białe plamki na policzkach, tuż przy nasadzie dzioba. Chłopcy chwytali też gołębie karliki w niebieskie kropki, jasnoszare i brunatne, gołębie o cętkowanych skrzydłach, ze lśniącymi zielonymi piórami, błyszczące zimorodki malutkie i wielką różnorodność tkaczy.

VII

Mandryle, tańce i bębny

Dostarczanie owadożernym ptakom odpowiedniej ilości żywego pokarmu stanowiło wielki problem, który rozwiązałem w sposób następujący: zatrudniłem dwadzieścioro dzieci, zaopatrzyłem je w butelki i poleciłem łapać koniki polne. Płaciłem im za wyniki, a nie za czas, jaki temu poświęcały. Zwykle otrzymywały pensa za trzydzieści sztuk. Inna grupa dzieci szła do lasu i w zacienionych miejscach zbierała osobliwe gniazda termitów w kształcie gigantycznych grzybów. Gniazda te, zrobione z twardej brązowej gliny, rozcinano na płócienną płachcie i wtedy z przypominających plaster pszczelej korytarzy wylaniały się tysiące małych termitów oraz ich miękkie, białe nimfy, za którymi ptaki przepadały. Gniazda można było przechowywać przez dwadzieścia cztery godziny, dopóki pod osłoną nocy nie opuściły ich unikające światła termity, toteż zawsze w kącie szopy dla zwierząt leżał stos świeżych gniazd, a przez cały dzień gromadki dzieci o grubych brzuszka napływały do obozu, niosąc na głowach podobne do grzybów termitiery. Te wędrujące gęsiego przez dżunglę dzieci z grzybami na wełnistych główkach, śmiejące się i rozgadane, robiły wrażenie pracowitych krasnoludków.

Łowcy termitów często podczas pobytu w dżungli znajdowali różne stworzenia, które przynosili mi triumfalnie w siatkach. Przeważnie natrafiali na kameleony, które uważali za bardzo jadowite, i dlatego nieśli je na końcu długiego kija, głośno krzycząc, jeśli gad zrobił jakiś ruch w ich kierunku. Najczęściej znajdowali kameleona grzebieniastego, stworzenie długości ośmiu cali, na ogół jasnozielone. Kameleony tego gatunku są bardzo wojownicze i schwytane zmieniają barwę z jaskrawozielonej na ciemnoszarą z brunatnymi plamami. Otwierają szeroko pysk i kołyszają się z boku na bok, głośno sycząc, po czym gwałtownie się odwracają i gryzą boleśnie, choć nie przecinają skóry. Gdy mali myśliwi nieśli je do obozu, miniaturowe prehistoryczne potworki wily się rozpaczliwie i wywracając oczami w szaleńczym wysiłku, by wszystko od razu objąć wzrokiem, kurczowo trzymały się końca kija swymi papuzimi łapkami.

To łowcy termitów przynieśli pierwszego kameleona Owena, stworzenie tak fantastyczne, że z początku nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Był mniejszy niż kameleon grzebieniasty i delikatniejszej budowy. Nie miał też tak wielkiego hełmu na głowie, jasnoniebieskich paciorków na skórze, którymi szczyć się mógł tamten, jego ubarwienie było spokojniejsze, bardziej stonowane. Ale pysk miał niezwykły: z nosa wyrastały mu dwa ostro zakończone i lekko zagięte rogi, każdy długości pół cala. Wyglądały zupełnie jak kły miniaturowego słonia. U nasady nosa był jeszcze jeden róg, dłuższy niż tamte dwa i zupełnie prosty; taki właśnie róg miał przypuszczalnie legendarny jednorożec. Zza osłony rogów widać było duże obracające się rybie oczy o niezwykle inteligentnym wyrazie. Stworzenie to było koloru perłowszarego,

z dużą liczbą jasnobrązowych plamek. Kiedy kameleon był zły albo zdenerwowany, przybierał kolor ciemnokasztanowy, prawie czarny, z jaskrawoczerwonymi plamami, przypominającymi duże odciski palców. Przypuszczając, że tych rogów na nosie kameleon używa do obrony i może podczas walk w okresie godowym, w wolnych chwilach robiłem z tym okazem różne doświadczenia. Najpierw wziąłem go w rękę; choć próbował mnie ugryźć, nie użył rogów, żeby mnie uderzyć, jak się tego spodziewałem. Aby go bardziej rozdrażnić, postawiłem go na ziemi i zacząłem szturchać gałązką. Choć zmienił barwę, syczał i nawet kłapnięciem złamał gałązkę, nie próbował użyć rogów. Wkrótce potem wzbogacił moją kolekcję drugi kameleon Owena i wtedy postanowiłem się przekonać, czy rogi służą im do walki z przedstawicielami tego samego gatunku. Oba kameleony umieściłem naprzeciw siebie na długiej gałęzi w odległości jakichś trzech stóp. Najpierw po prostu siedziały na tej gałęzi, czekając, aż po tym wstrząsie powróci im zwykle zabarwienie. Odzyskawszy mniej więcej normalny kolor, zaczęły ku sobie pełznąć. W napięciu czekałem, by zaczęły walczyć. Kiedy znalazły się nos w nos, a na wąskiej gałęzi nie było miejsca, żeby mogły się minąć, jeden po prostu przeszedł po grzbiecie drugiego w sposób całkiem obojętny, jak to mają w zwyczaju gady. Nieco rozczarowany ustawiłem je tak samo jak przedtem i znów popęzły ku sobie, całkiem się ignorując. Nadal nie wiedziałem, do czego służą im rogi. Przez cały czas, kiedy je obserwowałem, ani razu ich nie użyły – ani do obrony, ani do ataku.

Zawsze byłem zdania, że kameleony bardzo łatwo przystosowują się do niewoli, ale wkrótce się przekonałem, że równie trudno je hodować jak małpy czy dujkery. Wydawało mi się, że w klatce mają za mało słońca i powietrza. Pewnego razu umieściłem trzy kameleony w nasłonecznionym miejscu i wszystkie szybko zakończyły życie z powodu udaru. Wreszcie po wielu eksperymentach znalazłem sposób zapewnienia im dobrych warunków. Na czterech drzewkach w kącie obozowiska zrobiłem dach z liści palmowych i umieściłem pod nim kameleony przywiązane sznurkami z trawy. Znajdowały się w odległości trzech stóp od siebie, tak że nie mogły ani pełzać po sobie, ani splątać sznurków, a przed każdym z nich umieściłem kawałek gnijącego mięsa, które ściągało roje much, tak by zawsze miały na co polować. Przyczajone, z wytrzeszczonymi oczami błyskawicznie wysuwały długie języki i chwytaly zdobycz. Trzy razy dziennie spryskiwano je wodą, co raczej nie sprawiało im przyjemności, ale bez tego chorowały i ginęły.

W Kamerunie żyje jeszcze jedna odmiana kameleona; moje pierwsze spotkanie z tym rzadkim gadem było co najmniej niezwykle. Pewnego popołudnia postanowiłem zaatakować kilka dużych gniazd termitów, usytuowanych w pobliżu obozu, na polach i w niskich zaroślach otaczających wieś. Zabrałem ze sobą do pomocy około dwudziestu ludzi, gdyż rozległy teren wokół gniazd trzeba było otoczyć sieciami, a poza tym wiele osób musiało ich pilnować i zabierać wszystko, co zostało złapane. Zatrzymaliśmy się przy pierwszym kopcu, wielkiej

fortecy z czerwonej gliny o wysokości jakichś dwunastu stóp i obwodzie podstawy około trzydziestu, i najpierw usunęliśmy całą roślinność dokoła. Na brzegach tego oczyszczonego miejsca naciągnęliśmy sieci, przy których rozstawiłem mych bardzo przejętych pomocników. Potem zablokowaliśmy większość dziur w gnieździe, wrzuciliśmy do jednego otworu płonący pęk suchej trawy i cofnęliśmy się pełni oczekiwania. Powoli dym rozsnuł się po tunelach i ukazał w ujściu innych otworów. Dorzuciliśmy jeszcze jedną wiązkę trawy i dym buchnął wielkimi kłębami. Czekaliśmy w absolutnej ciszy, obserwując termitierę. Minął kwadrans; nie zauważyliśmy żadnych oznak życia. Doszedłem już do wniosku, że kopiec jest pusty, kiedy nagle po jego drugiej stronie powstało wielkie zamieszanie. Pobiegłem tam czym prędzej. Elias i Cieśla, śmiejąc się do rozpuku, wskazywali na kopiec; u wylotu największego otworu zobaczyłem małego kameleona, chwiejnie wychodzącego na świeże powietrze.

– Masa, ale duże zwierze dziś złapaliśmy – chichotał Elias, radośnie klepiąc się po udach.

Wziąłem kameleona w rękę. Mierzył nie więcej niż trzy cale i miał krótki ogonek długości półtora cala, skręcony jak sprężyna zegarka. Na końcu jego zadartego nosa sterczał mały róg, który nadawał pyszczkowi wyraz bardzo pogardliwy, przypominający minę wielbłąda. Skórę miał jasnobrunatną, pokrytą słabo widocznymi plamkami i rdzawoczerwonymi pasmami. Był to mój pierwszy kameleon karłowaty, więc zafascynowany obserwowałem jego niespieszne ruchy i pogardliwy wyraz pyszczka. Dlaczego ten drzewny gad został znaleziony w tunelach kopca termitów, nie miałem pojęcia, ale tak było. Później, kiedy lepiej go poznałem, odkryłem różne dziwne rzeczy. Nigdy na przykład nie widziałem, żeby jadł, a jednak musiał to robić, gdyż, choć przebywał u mnie dość długo, wciąż był pulchny i cieszył się dobrym zdrowiem. Nie udało mi się nigdy skłonić go do zmiany barw, ani drażnić go, ani umieszczając na podłożu o różnych kolorach. Raz tylko zmienił barwę wieczorem; zamknął oczy i stał się popielatoszary, przypominając jeszcze bardziej niż przedtem mały zeschnięty liść. W sumie udało mi się zdobyć cztery zabawne, małe stworzonka, ale nigdy nie miałem szczęścia zobaczyć któregoś na wolności, z wyjątkiem tego kopca termitów, co się chyba nie liczy! Za każdym razem, kiedy mi je przynoszono, pytałem, gdzie został złapany, i za każdym razem łowcy mówili mi, że na ziemi, na ścieżce używanej przez tubylców. Inne kameleony znajdowano na drzewach, a te karłowate na ziemi. Najbardziej podchwytliwe wypytywanie nic nie dawało. Chcąc sprawdzić, czy te małe gady prowadzą naprawdę nadrzewny tryb życia, zrobiłem pewne doświadczenie. Umieściłem moje cztery kameleony w klatce, w której oprócz gałęzi była na dnie warstwa ziemi, pokryta zeschniętymi liśćmi i kawałkami gałązek. Do tej pory musiały przebywać wśród gałęzi, ponieważ dno klatki było nagie. Gdy tylko znalazło się tam naturalne podłoże, kameleony zeszły z gałęzi i przebywały wyłącznie na ziemi, z zadowoleniem chowając się wśród liści.

Jedynym obyczajem, jaki łączył je z większymi kuzynami, był taniec. Jest to niezwykle ciekawa rozrywka, której kameleony czasem się oddają i którą trzeba zobaczyć, żeby w pełni ją

ocenić. Umieszczone na ziemi albo gałęzi stoją całkiem nieruchomo przez dobrą minutę albo i dłużej, i tylko oczy im się poruszają. Potem bardzo wolno wystawiają przed siebie przednią nogę i przeciwległą tylną. Z zawieszonymi w powietrzu dwiema kończynami kołyszą się rytmicznie w przód i w tył przez kilka sekund. Następnie robią krok i znów nieruchomieją, po czym powtarzają to samo pas z drugą parą nóg. A przy tym cały czas obracają dookoła oczami, patrząc w górę i w dół, w tył i w przód.

Ani Afrykanie, ani moje małpy nie lubili kameleonów. Afrykanie w ogóle nie chcieli mieć z nimi do czynienia, żywymi lub martwymi, i widząc, jak się nimi zajmuję, jak mnie czasem kłają, zaczęli jęczeć i pstrykać palcami ze zdenerwowania. Uważali, że każdy kameleon jest śmiertelnie jadowity, i w żaden sposób nie można było ich przekonać, że to nieprawda. Małpy wyraźnie dawały do zrozumienia, że nie lubią tych gadów i boją się ich, choć nie tak bardzo jak węży. Kameleony fascynowały je i jednocześnie budziły odrazę. Małp przywiązanych do pali obok pomieszczenia dla kameleonów nigdy nie nużyło obserwowanie powolnych wędrówek tych gadów po gałęziach. Ilekroć kameleon wysunął język w kierunku muchy, wszystkie małpy cofały się gwałtownie jak ugryzione i głośno krzyczały ze zdumienia.

W owym czasie moja małpiarnia składała się z koczokodana czerwonouchego, czterech koczokodanów białonosych i sześciu mandryli. Któregoś dnia zrobiłem pewien eksperyment. Właśnie jeden z kameleonów zakończył życie; zaniósłem go do małp, usiadłem pomiędzy nimi i pokazałem im gada. Utworzyły wokół mnie pełen szacunku krąg i z zaciekawieniem oglądały kameleona. Po chwili najstarszy mandryl zebrał się na odwagę, szybko dotknął martwego gada, natychmiast cofnął rękę i wytarł starannie o ziemię. W żaden sposób nie udało mi się skłonić koczokodanów, żeby się zbliżyły. Mandryle w końcu nabrały odwagi i zaczęły się bawić martwym kameleonem, wymachując nim na wszystkie strony. Musiałem położyć kres tej zabawie, ponieważ koczokodany bardzo protestowały i były chyba naprawdę przerażone. Potem zrobiłem jeszcze inne doświadczenie: wziąłem dużego żywego kameleona i wpuściłem między małpy. Choć schodziły mu z drogi, gadały i robiły do niego różne miny, nie sprawiały wrażenia specjalnie przerażonych. Następnie zdobyłem dużego węża wodnego i znów wpuściłem między małpy. Tym razem naprawdę się bały: wszystkie uciekły na swoje słupki i przywarty do nich, krzycząc przeraźliwie, dopóki nie zabrałem węża. Największymi urwisami wśród małp były mandryle. Wszystko, co im dawano, najpierw sprawdzały, czy nadaje się do jedzenia. Jeśli nie, bawiły się tym chwilę, ale wkrótce traciły zainteresowanie. Do czegoś jadalnego (a tylko niewiele rzeczy nie zaliczało się do tej kategorii) podchodziły w dwojaki sposób. Taki smakołyk jak konik polny zjadały natychmiast, żeby nikt inny ich nie uprzedził. Jeśli jednak rzecz była mało atrakcyjna, bawiły się nią długo, tylko od czasu do czasu odgryzając kawałek.

Mandryle, choć brzydkie w porównaniu z innymi małpami, mają swoisty wdzięk; chodzą rozkołysanym krokiem jak psy; gdy patrzą na człowieka, śmiesznie marszczą nos, ukazując przy

tym wszystkie zęby w okropnym grymasie, który ma być czarującym uśmiechem; podchodzą tyłem, ukazując jasnoróżowy zadek, co jest objawem serdeczności. Wszystko to sprawiło, że bardzo polubiłem mandryle, a serce mi topniało ze wzruszenia, kiedy podbiegały do moich nóg, wydając przy tym podobne do czkawki okrzyki zachwytu, i patrzyły mi w twarz z wyrazem oddania. Sześć mandryli, które kupiłem, przez długi czas przewodziło innym, bardziej nieśmiałym małpom. Szczupłe, nerwowe koczkodany zawsze wypuszczały soczystego konika polnego, jeśli, gniewnie kaszłąc, zaatakował je któryś mandryl. Ale pewnego dnia nowy przybysz położył kres ich władzy. Do obozowiska wkroczył człowiek prowadzący przed sobą na długim sznurku dorosłego pawiana. Małpa, choć młoda, była trzy razy większa niż najpotężniejszy z moich mandryli i natychmiast objęła władzę nad wszystkimi innymi. Nowy pawian miał żółtawe poszarpane futro, wielkie zęby i długi, obwisły jak u lwa ogon. Chyba właśnie ten ostatni atrybut przyprawił mandryle o kompleks niższości – obserwowały ogon przez dłuższy czas z wielkim zainteresowaniem, a potem odwracały się, żeby obejrzeć własne pupy z krótkimi zakręconymi ogonkami. Nazwałem pawiana George, gdyż przypominał mi pewnego człowieka z wioski, który nosił to imię. George, łagodny i uprzejmy wobec innych małp, nie dopuszczał jednak do żadnej poufałości. Czasem pozwalał koczkodanom wybierać sól ze swojej sierści, a sam leżał wyciągnięty jak długi na ziemi, z wyrazem błogości na twarzy. Ledwie się pojawił, mandryle wspólnie próbowały go zabić, żeby dowieść swej wyższości, ale George świetnie sobie z nimi poradził i odpłacił pięknym za nadobne. Po tej bijatyce mandryle nabrały dla niego respektu i zawsze rozglądały się wokół, żeby zobaczyć, gdzie jest George, nim zaczęły dokuczać któremuś z koczkodanów, gdyż George z zasady kończył wszelkie kłótnie w ten sposób, że przybiegał i z całej siły gryzł obu walczących.

Ponieważ George był oswojony, cały mój personel bardzo go lubił, a on spędzał dużo czasu w kuchni. Szybko musiałem to jednak ukrócić, gdyż jego obecność tam była wymówką dla wszystkich niepowodzeń: jeśli obiad się spóźnił, to właśnie George przewrócił patelnię, jeśli coś zginęło, zawsze co najmniej trzech świadków przysięgało, że zabrał to George. Wreszcie George został przywiązany wraz z innymi małpami i objął nad nimi przewodnictwo, co jednak wcale nie uderzyło mu do głowy. Pod tym względem był wprost niezwykły, gdyż prawie każda małpa, jeśli widzi, że inne ją szanują i boją się, staje się odrażającym tyranem. Zrobił też coś, co zdumiało nie tylko inne małpy, ale również i moją służbę. Przekonany, że okaże taki sam respekt dla kameleonów jak inne małpy, przywiązałem go na dość długiej linie. Natychmiast sięgnął czarną ręką, chwycił siedzącego na gałęzi kameleona i zjadł w wielkim apetytem. Oczywiście natychmiast skróciłem linę.

Najbardziej uroczą małpą była samica koczkodana czerwoucheho. Wielkości małego kota, miała zielonożółte futro, żółte łaty na policzkach, firankę rdzawych włosów zasłaniających uszy, a na nosie dużą rudawą kępkę sierści w kształcie serca. Kończyny miała smukłe, palce zaś

cienkie i kościste jak u starca. Codziennie małpy dostawały po garści koników polnych; ona, widząc, że się zbliżam, stawiała na tylnych nogach, wydając przenikliwe ptasie okrzyki, i błagalnie wyciągała swoje długie ręce z drżącymi palcami. Część koników polnych brała do ust, resztę trzymała w obu rękach, a po schrupaniu ich uważnie oglądała z obu stron dłonie, żeby sprawdzić, czy żaden nie został. Potem uważnie przeszukiwała ziemię wokół siebie, a w jej jasnobrązowych oczach malowało się wielkie skupienie. Była to najładniejsza małpa, jaką kiedykolwiek spotkałem, i nawet jej okrzyki były delikatne jak ćwierkanie ptaka, a przeciągłe wołanie „hiiiipp”, kiedy starała się zwrócić czyjaś uwagę, było o wiele miłsze od szczekliwych pomruków i głośnych wrzasków pawianów czy metalicznych skrzypień koczkodanów białonosych. George też podzielał moją sympatię do koczkodanicy, a ona najwyraźniej lubiła przebywać w pobliżu jego masywnego cielska. Wyglądając zza jego kudłatych pleców, ośmielała się nawet przedrzeźniać inne pawiany.

W południe żar słoneczny paraliżował dżunglę i obóz, milkły też wszystkie ptaki. Jedynym dźwiękiem był słaby odległy szept cykad, dobiegający z chłodnych głębin dżungli. Ptaki drzemały w swoich klatkach z zamkniętymi oczami, śpiące szczury leżały na grzbietach, a ich małe łapki drgały od czasu do czasu. Małpy, wyciągnięte na całą długość w swojej szopie pod dachem z palmowych liści na rozgrzanej ziemi, śniły piękne sny, o czym świadczył wniebowzięty wyraz ich małych twarzątek. Tylko samica koczkodana czerwonego rzadko odbywała sjęstę; zwykle siedziała przykucnięta koło rozwalonego, ciężko dyszącego George'a i pracowicie czyściła mu sierść, wydając przy tym ciche okrzyki, tak pochłonięta swoją pracą jak stara kobieta przy kołowrotku. Długimi palcami rozdzielała sierść, wpatrując się pilnie w różową skórę pod spodem. Muszę tu podkreślić, że małpy nigdy nie szukają sobie nawzajem pcheł, a jeśli nawet natrafiają na jakąś, natychmiast ją zjadają. Nie, prawdziwym powodem, dla którego się nawzajem iskają, jest sól. Kiedy pot wyparuje ze skóry, tworzą się małe grudki soli, za którymi małpy przepadają. Ta, która czyści sierść, w nagrodę otrzymuje ów przysmak, iskana zaś rozkoszuje się dokładnym przeczesywaniem futra. Czasem sytuacja bywała odwrotna: to samica koczkodana leżała na ziemi z zamkniętymi oczami, jak w ekstazie, a George przeszukiwał jej miękką sierść swymi czarnymi niezdarnymi paluchami. Nieraz tak był zaabsorbowany tą czynnością, że zapominał, iż nie ma do czynienia z małpą własnej postury i obchodził się z nią dość brutalnie. Protestowała wówczas, wydając swoje ciche ptasie ćwierkanie, a on mruczał przepraszająco.

Wieczorem małpy odwiązywano od pali; dostawały mleko z tranem i następnie przywiązywano je w małej chacie, specjalnie dla nich zbudowanej obok mego namiotu. Chciałem je mieć w nocy jak najbliżej, gdyż nigdy nie było wiadomo, kiedy miejscowy lampart postanowi zjeść którąś na kolację, toteż wolałem nie ryzykować, trzymając je w środku obozowiska. Tak więc każdego wieczoru ociekające mlekiem i głośno protestujące, że nie chcą

iść spać, małpy przenoszono do chaty. George był zawsze ostatni i kiedy inne małpy były już przywiązane, obchodził wszystkie miski z nadzieją, że w którejś znajdzie trochę mleka. Wreszcie i jego, mimo stanowczych protestów, zabierano do chaty. Pewnego wieczoru George się zbuntował. Kiedy wszystkie małpy poszły spać, zjadłem kolację i poszedłem do wsi na tańce. George przez szczelinę w ścianie chaty musiał zauważyć, że przechodzę, i uznał, że jeśli ja mogę spędzić wieczór poza obozem, on nie będzie gorszy. Bardzo ostrożnie zdjął swoją linkę i bez trudu wyszedł przez palmową ścianę. Potem przemknął przez obozowisko i właśnie wyszedł na ścieżkę, kiedy spostrzegł go Nocny Strażnik, który wrzasnął przeraźliwie, chwycił banana i pobiegł za George'em, żeby go przynęcić i skłonić w ten sposób do powrotu. George zatrzymał się i obserwował, jak Strażnik się zbliża. Pozwolił mu podejść do wlokącej się za nim linki, skoczył, ugryzł biedaka w łydkę i ruszył biegiem w stronę wsi, zostawiając Strażnika, który skacząc na jednej nodze, głośno jęczał. George dotarł do wsi i zdumiał się bardzo widokiem tylu ludzi zgromadzonych dookoła mojej wielkiej latarni. Właśnie zagrała „orkiestra” i tłum zaczął swój ulubiony, szurano-kiwany taniec, tak modny w owym czasie w Eszobi. Zdumiony George przyglądał się temu przez chwilę i doszedł do wniosku, że ta wspaniała zabawa została zorganizowana specjalnie na jego cześć. Wydał głośny okrzyk, włączył się w krąg, zaczepiając sznurem o nogi tancerzy, i zaczął skakać i krzyczeć, od czasu do czasu podbiegając do któregoś z tańczących. Wreszcie przewrócił wielką latarnię, która natychmiast zgasła. Przerażony ciemnością i wrzawą, jaką wywołało jego nagłe przybycie, podbiegł do najbliższego Afrykanina i przywarł do jego nóg, krzycząc ze wszystkich sił. Po chwili lampa została zapalona, a skarcony George usiadł mi na kolanach i zachowywał się bardzo przykładowie, popijając z mojej szklanki, kiedy tego nie widziałem, i z wielką uwagą obserwując tańce. Tancerze, choć spoglądali na niego z ukosa, znów utworzyli krąg. Wtedy poprosiłem o mały bęben, postawiłem George'a na ziemi i wręczyłem mu instrument. Ponieważ przedtem z uwagą obserwował orkiestrę, wiedział dobrze, co ma robić. Przysiadł, ukazując swoje wielkie kły w pełnym zachwyty uśmiechu, i z całych sił zaczął walić w bęben. Niestety miał słabe poczucie rytmu i jego szaleńcze bębnienie znów wywołało zamęt, tak że musiałem zabrać mu bęben i wysłać do łóżka, mimo że głośno protestował przez całą drogę.

George jeszcze raz wziął udział w tańcach, i to na specjalne żądanie. Mój pobyt w Eszobi dobiegał końca. Na dwa dni przed wyruszeniem do Bakebe, do Johna, przyszedł wódz, zawiadamiając mnie, że wieś organizuje pożegnalne tańce na moją cześć. Powiedział, że byłby bardzo rad, gdybym wziął w nich udział i przyprowadził ze sobą małpę, która grała na bębnie, ponieważ na zabawę przybędzie jego przyjaciel z sąsiedniej wsi i bardzo chciałby zobaczyć jej występ. Obiecałem, że obaj z George'em na pewno przyjdziemy. Dwie wyczyszczone największe latarnie zaniesiono do wsi na pół godziny przed moim przybyciem. Kiedy ubrany w szlafrok i piżamę przyszedłem tam wraz z George'em, prowadzonym na smyczy, zostaliśmy

powitani głośnymi oklaskami i okrzykami: „Witajcie!” Byłem zdumiony wielkim odświętnie ubranym tłumem, począwszy od chłopca wystrojonego w „garnitur” ze starych worków na mąkę, której nazwa firmowa wypisana dużymi, drukowanymi literami wypadała akurat na jego pupie, a skończywszy na radzie wioskowej i wodzu, ubranych w barwne uroczyste szaty. Ledwie poznałem Eliasza, który jako mistrz ceremonii ubrany był wspaniale: miał jasnozieloną koszulę i brązowe spodnie w wąziutkie prążki, a na wielkich stopach tenisówki. Na szyi zawiesił sobie długą dewizkę z dużym gwizdkiem, z którego co chwila korzystał, żeby przywrócić porządek. Tym razem orkiestra była większa niż poprzednio: trzy bębny, dwa flety i trójkąt.

Kiedy ustawiono mój stolik i fotel, a ja uściśnięciem dłoni wszystkim członkom rady i wodzowi, wygłaszając kilka uprzejmych słów, Eliasz wkroczył na środek ulicy, stanął przy latarniach i głośno zagwizdał, żeby uciszyć zebranych, po czym odezwał się w te słowa:

– Wy wszyscy ludzie wiecie, że to ostatnie tańce, na które przybył masa. Dlatego macie wszyscy dobrze tańczyć, żeby pokazać masa, jak my w Eszobi umie tańczyć, rozumiano?

Na co zebrani odpowiedzieli okrzykiem radości i utworzyli krąg. Eliasz, stojący w jego środku, dał znak orkiestrze i rozpoczęły się płasy. Eliasz tańczył wewnątrz kręgu, kręcąc tyłkiem i wykrzykując polecenia dla tańczących:

– Naprzód... spotkanie i walc... obrót w prawo... wszyscy tańczą i do tyłu... Naprzód... zwrot na prawo... spotkanie i walc... sami tańczcie... i do tyłu... Naprzód! – I tak dalej.

Tancerze podskakiwali i szurali nogami wedle jego poleceń, i wszystko w nich tańczyło: ręce, nogi, ciała, oczy, a ich wielkie groteskowe cienie ślizgały się w świetle latarni i spletały na czerwonej ziemi. Bębny łomotały i potykały się w wymyślnym rytmie, a nad wszystkim górował przeraźliwy pisk fletów. Taniec nabierał rozmachu, stawał się coraz szybszy, twarze tańczących lśniły w świetle latarni, oczy błyszczały, ciała się gięły, a stopy wybijały rytm, aż ziemia się trzęsła. Widzowie klaskali w ręce i od czasu do czasu wydawali okrzyki uznania: „Ik... eechh”, kiedy młodzi chłopcy wykonywali jakieś niezwykle skomplikowane ewolucje. Wreszcie wyczerpana do cna orkiestra przestała grać i taniec się skończył. Wszyscy usiedli na ziemi, rozległ się gwar rozmów.

Potem, po kilku jeszcze tańcach, podszedł do mnie Eliasz w towarzystwie antypatycznego chłopaka imieniem Samuel, wychowanka szkoły misyjnej, która nauczyła go napuszonej angielszczyzny, czego nie znosiłem. Był jednak we wsi jedynym człowiekiem, który dobrze mówił po angielsku, jak wyjaśnił Eliasz, i miał tłumaczyć przemówienie wodza.

Wódz stanął po drugiej stronie ulicy, obciągnął swoją piękną jasnoróżową szatę i zaczął mówić głośno i szybko w języku banyangi. Samuel zajął miejsce obok niego i uważnie słuchał. Po każdym zdaniu przebiegał przez ulicę, tłumaczył mi je na angielski i natychmiast wracał, żeby wysłuchać następnego zdania. Z początku wódz czekał na powrót chłopaka, ale wkrótce dał się ponieść własnej elokwencji i biedny tłumacz musiał biegać tam i z powrotem coraz szybciej.

Noc była ciepła, a Samuel nie przywykł do takiego wysiłku. Przemówienie, wedle tłumaczenia, brzmiało mniej więcej tak:

„Mieszkańcy Eszobi! Wiecie wszyscy, dlaczego dziś wieczorem zebraliśmy się tutaj... Po to, by pożegnać naszego dobrego pana, który tak długo był z nami. Nigdy w dziejach Eszobi nie mieliśmy takiego pana... pieniądze płynęły od niego tak jak woda w rzece. (Ponieważ właśnie była pora sucha i rzeki stały się malutkimi strumykami, trudno to było uważać za komplement). Ci, którzy mieli dość siły, żeby iść do buszu, i potrafili łapać zwierzęta, byli sownie wynagrodzeni. Ci słabsi, kobiety i dzieci, dostawali pieniądze i sól za dostarczanie koników polnych i białych mrówek. My, starszyzna wsi, bylibyśmy radzi, gdyby ten dobry pan zamieszkał u nas, dalibyśmy ziemię i zbudowali piękny dom. Ale on musi wracać do swego kraju ze zwierzętami, które dostarczyliśmy mu my, ludzie z Eszobi. Mamy jednak nadzieję, że ludziom w swoim kraju opowie, jak my tutaj w Eszobi staraliśmy się mu pomóc, i podczas następnej wyprawy wróci do nas i zostanie dłużej niż teraz”.

Przemówienie zakończyły długie przyjazne okrzyki, w których tłumaczeniu Samuelowi pomagał przyjaciel. Wstałem, podziękowałem i obiecałem, że jeśli tylko będę mógł, wrócę, gdyż bardzo polubiłem Eszobi i wszystkich jego mieszkańców, co zresztą było prawdą. Przemawiałem w moim najlepszym *pidgin-English* i przeprosiłem, że nie potrafię mówić ich własnym językiem. Rozległy się głośne okrzyki uznania, wsparte przez George'a, który głośnym rykiem wyrażał swój aplauz. Potem orkiestra znów zaczęła grać, George dostał bęben i walił w niego z wielkim zapałem ku uciesze i zdumieniu przybyłych z okolicy tubylców. Było już późno, kiedy na smyczy odprowadzałem ziewającego George'a do obozu, tańce zaś trwały aż do chwili, gdy płomienny świt rozjaśnił niebo.

Przed odjazdem pracowaliśmy całą noc, pakowaliśmy zwierzęta, wiązaliśmy klatki, tak by łatwo je było nieść na głowie. O piątej rano pojawiła się cała wieś: połowa ludzi miała nieść moją dużą menażerię, druga połowa przyszła mnie pożegnać. Kucharz został wysłany przodem, żeby przygotować śniadanie w Mamfe, skąd miała nas zabrać ciężarówka. Powoli obozowisko opustoszało. Sprawdziliśmy starannie ładunki, a najcenniejsze okazy powierzono najbardziej odpowiedzialnym tragarzom. Wysłane przodem kobiety niosły palmowe maty, ekwipunek służący do chwytania zwierząt, wyposażenie kuchni oraz różne przedmioty mniejszej wartości. Za kobietami ruszyli tragarze niosący zwierzęta. Stosy pustych puszek i butelek dałem tragarzom oraz ludziom, którzy przyszli się pożegnać, ponieważ dla nich były to rzeczy cenne. Wreszcie w zwartym tłumie mieszkańców wsi, którzy się zebrali, żeby na pożegnanie uściskać mi rękę, ruszyłem w stronę małego strumyka na skraju wsi, gdzie zaczynała się prowadząca do lasu ścieżka. Ostatnie uściski dłoni, błysk białych zębów, pożegnalne okrzyki i przeszedłem przez strumyk w ślad za tragarzami, których głosy odbijały się echem wśród drzew.

Kiedy długi szereg tragarzy wyszedł z dżungli na trawiastą równinę, zaczęło świtać. Niebo

miało barwę błękitnolazurową, a wstające słońce złociło szczyty drzew. Nad równiną przed długim rzędem tragarzy przeleciały trzy dzioborożce, trąbiąc głośno i wzruszająco, jak to mają w zwyczaju. Eliasz odwrócił się do mnie; twarz miał bardzo spoconą, gdyż dźwigał na głowie wielką klatkę z nietoperzami owocożernymi.

– Te ptaki bardzo smutne, że masa opuszcza Eszobi – powiedział.

Ja także byłem bardzo smutny.

Część druga

BAKEBE I JESZCZE DALEJ

VIII

Wężę i nektarniki

Okazało się, że w Bakebe Johnowi pozwolono zamieszkać w tubylczej chacie, w której kiedyś mieścił się magazyn Wydziału Robót Publicznych. Była to budowla złożona z trzech ścian, lekka, przewiewna, położona na szczycie wzgórza wznoszącego się nad wsią. Dzięki temu mieliśmy wspaniały widok na bezkresne leśne morze aż do granic francuskiego Kamerunu i jeszcze dalej. Na obraz ten złożyły się wszelkie odcienie zieleni, gdzieniegdzie przetkanej płonącej jak wielkie ognisko ceibą, obciążoną szkarłatnymi kwiatami i nektarnikami. Rosły tam również drzewa o pierzastych, delikatnych, jasnozielonych liściach, drzewa podobne do dębów, przysadziste, z liśćmi oliwkowego koloru, i arystokratyczne, rozłożyste drzewa, których srebrzyste pnie strzelały w górę na kilkaset stóp, a smukłe gałęzie pokryte były masą drżących żółtawozielonych liści i ciemnozielonych splecionych pęków orchidei oraz drzewnych paproci, przylegających do kory. Z dżungli w różnych miejscach wyłaniały się przedziwne wzgórza, to ukształtowane jak doskonałe, równoramienne trójkąty, to jak prostokątne cegły albo garbate niby grzbiet starego krokodyla, a szczyt każdego pokryty był bujną szatą roślinności. Wczesnym rankiem z naszego wzgórza dżungla była niewidoczna w białym całunnie mgły, ale kiedy słońce wstało i mgła się rozproszyła, ulatując wielkimi pasmami w górę aż po błękit nieba, wydawało się, że cały las płonie. Potem mgła pozostawała tylko na tych wzgórzach o dziwacznych kształtach, tak że wyglądały jak mleczone wyspy wśród morza.

Bakebe, jak się wkrótce przekonałem, było rajem dla gadów. Pół mili dalej płynęła szeroka i głęboka rzeka i bardzo często mali chłopcy przynosili mi w uplecionych z trawy pętlach młode krokodyle krótkopyskie. Zaraz po przyjeździe do Bakebe zrobiłem basen dla krokodyli, ale szybko musiałem go powiększyć. Co tydzień kazałem liczyć mieszkańców basenu, bo gdybym tego nie robił, zapewne wielokrotnie kupowałbym te same gady. Rachowanie było rzeczą dosyć trudną i kończyło się tym, że opiekunowie krokodyli mieli zabandażowane palce. To zdumiewające, jak mocno może ugryźć nawet sześciopalcowy krokodyl. Trudno się dziwić, że moi ludzie podchodzili do tego obowiązku bez entuzjazmu, uważali to zajęcie za bardzo niebezpieczne i unikali go jak ognia.

Pewnego dnia opiekunowie krokodyli bardziej opieszale niż zwykle wykonywali swe obowiązki i za karę, choć nie było to konieczne, kazałem im policzyć krokodyle. Wkrótce usłyszałem głośnie zawroźdzenie, potem coś upadło i chlupnęło. Wybiegłem na dwór – wokół basenu panował nieopisany chaos: Daniel, włącząc na ogrodzenie, zsunął się i oparł o nie, wskutek czego cała jedna strona runęła. Daniel stoczył się do wody, co dopełniło dzieła zniszczenia, budząc popłoch wśród czterdziestki małych krokodylątek, które przerażone uciekły z wody na brzeg przez zwałone ogrodzenie. Kiedy znalazłem się na miejscu katastrofy, na ziemi

pełno było krokodyli. Pędziły z wielką szybkością na wszystkie strony, a pyski miały groźnie rozwarte. Afrykanie, którzy byli boso, również uciekali co sił w nogach. Zacząłem głośno wzywać posiłki. Na odsiecz przybiegła załoga kuchni, jak również obsługa ptaszarni. W takich kryzysowych momentach każdy, niezależnie od swego stanowiska czy obowiązków, musiał pomagać. Z tradycyjną angielską flegmą nadszedł też John, swoim zwykłym niespiesznym krokiem. Akurat wtedy większość gadów schowała się w otaczających zaroślach. John rozejrzał się wokoło i zobaczył zaledwie kilka krokodyli, nic więc dziwnego, że chciał się dowiedzieć, o co tyle krzyku i zamieszania.

– Myślałem, że wszystkie krokodyle uciekły – rzekł spokojnie. – I dlatego przyszedłem.

Jakby w odpowiedzi z wysokiej trawy wyłoniło się pięć krokodyli i zgromadziło przy jego nogach. John przyglądał im się chwilę w zamyśleniu, potem pochylił się, ostrożnie podniósł jednego za ogon i pomachał nim w moim kierunku.

– Stary, mam już jednego! – zawołał.

– John! – krzyknąłem. – Nie trzymaj go w ten sposób, bo się odwróci i...

Mały gad, jakby działając według instrukcji, wygiął się i zatopił zęby w palcu Johna, który, trzeba mu przyznać, nie wydał żadnego głosu. Nie bez pewnych trudności strącił krokodyla na ziemię, po czym wycofał się z pola walki.

– Podobno mam się zajmować ptakami – powiedział, ssąc zraniony palec, i wrócił do chaty, gdzie wielkim bandażem owiązał sobie dłoń, podczas gdy my wszyscy mordowaliśmy się przez całą godzinę, żeby złapać pozostałe krokodyle i naprawić ogrodzenie.

Ten incydent zapoczątkował całą serię irytujących epizodów w życiu Johna, w których udział brały krokodyle. Twierdził on, że wszystko to przeze mnie i że przed moim przybyciem z Eszobi prowadził miłą, wolną od krokodyli egzystencję.

Ledwie się tylko pojawiłem na scenie, osaczył go – jeśli tak to można ująć – świat gadów. John nie bał się węży, ale traktował je ostrożnie i z szacunkiem. Podziwiał je z daleka i nie zamierzał się z nimi spoufalać. I kiedy nagle zaczęły go osaczać gady, a zwłaszcza węże, zaczął mieć tego serdecznie dość.

Niedługo po ucieczce krokodyli, kiedy palec Johna się już zagoił, miało miejsce następne zdarzenie.

Pewnego dnia, właśnie kiedy wychodziłem z chaty, żeby sprawdzić pułapki, jakie zastawiłem, przyszedł jakiś człowiek z wiklinowym koszem pełnym węży wodnych. Byłem już wtedy pewien, że węże te nie są jadowite, a jeśli nawet mają jad, to łagodny. Kupiłem węże, a ponieważ się spieszyłem, włożyłem je do pustej blaszanki po nafcie, a na pokrywcę umieściłem deskę, zamierzając się nimi zająć po powrocie. Wróciwszy wieczorem, stwierdziłem, że stolarz wziął tę deskę, żeby z niej zrobić klatkę, a wszystkie węże zniknęły. Ponieważ zdarzyło się to na otwartej przestrzeni, byłem przekonany, że gady uciekły do dżungli. Pół

godziny później, kiedy John, porządkując ptaszamię, podniósł ciężką klatkę, z przerażeniem znalazł pod nią pięć zwiniętych, tłustych wodnych węży. Zaskoczony upuścił sobie klatkę na stopę. Nastąpiło szaleńcze polowanie: John podnosił kolejno wszystkie klatki z ptakami, ponieważ gady błyskawicznie prześlizgiwały się od jednej do drugiej. Wściekły John wygłosił potępiające przemówienie na temat królestwa węży (ja też byłem w nie wliczony), którego z radością wysłuchałem.

W kilka dni później przybiegł do mnie ze wsi zdyszany chłopiec, zawiadamiając, że na drzewie bananowym jest wąż, i żebym przyszedł i go złapał, tak się złożyło, że wszyscy nasi ludzie byli zajęci, wobec tego tylko do Johna mogłem się zwrócić o pomoc. Bardzo niechętnie przestał karmić swoje ptaki i zszedł ze mną do wsi. Wokół bananowca, za jedną z chat, zgromadził się tłum, jakieś pięćdziesiąt osób, które głośno krzycząc, pokazywały mi, gdzie jest wąż. Schowany był częściowo w bardzo dużej kiści bananów na szczycie drzewa, częściowo zaś owinięty wokół niej i obserwował nas błyszczącym okiem. John spytał, czy ten wąż jest jadowity, na co odparłem, że o ile mogę się zorientować, jest to pewna odmiana żmii drzewnej, zapewne dość jadowitej, i że ciekaw jestem, co by było, gdyby kogoś ukąsiła. Słyszając to, John wycofał się na tyle, na ile pozwalał mu tłum, i spytał, w jaki sposób zamierzam schwytać gada. Uważałem, że najlepiej będzie ściąć kiść bananów wraz z wężem. Siatką o najdrobniejszych oczkach otoczyliśmy starannie teren, gdzie miały spaść owoce. Johna uzbrojonego w kij postawiłem na zewnątrz siatki, żeby w razie potrzeby odpędził węża. Od jednego z gapiów pożyczyłem maczetę i spytałem ludzi, czy właściciel drzewa nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli zetnę niedojrzałe owoce. Kilka głosów zapewniło mnie, że na pewno by się zgodził i dopiero później, kiedy właściciel się pojawił, przekonałem się, że bynajmniej nie był zachwycony; kosztowało mnie to sporo szylingów. Tymczasem podszedłem do drzewa, wymachując fachowo maczetą. Tłum znacznie się teraz powiększył, i otaczali nas półkołem ludzie ciekawi, jaką metodę zastosuje biały człowiek, żeby złapać węża. Kiedy się okazało, że nie mogę dosięgnąć łodygi, na której zwisały banany, wszyscy byli bardzo rozbawieni.

– Muszę ściąć całe drzewo – powiedziałem do Johna.

– Dobrze – odparł – chciałbym jednak, żebyśmy się pozbyli tego zbiegowiska. Gdyby ten cholerny wąż uciekł, mógłby kogoś ugryźć.

– Nie martw się – pocieszyłem go – jeśli ucieknie, oni uciekną jeszcze szybciej.

Zacząłem rąbać pień drzewa. Jest on u bananowca bardzo zdradziecki, wygląda solidnie, ale naprawdę jest włóknisty, miękki i soczysty, i daje się łatwo ściąć. O tym wtedy nie wiedziałem. Ku memu wielkiemu zdumieniu już za drugim uderzeniem ostrze maczety przecięło pień i drzewo z wielkim trzaskiem padło na ziemię akurat tam, gdzie stał John. Ze zręcznością, o jaką bym go nigdy nie posądzał, odskoczył w bok, tak że drzewo go nie trafiło. Wskutek upadku kiść bananów oderwała się i potoczyła mu pod nogi, a wąż z niej wypadł. Tłum, jak przewidywałem,

uciekł i John znalazł się sam na sam z rozwścieczonym gadem, od którego nic go nie dzieliło prócz wątlej sieci. Najwyraźniej źle oceniłem wielkość węża, gdyż przedostał się przez sieć z największą łatwością, nim John mógł zrobić cokolwiek, by mu w tym przeszkodzić, następnie prześliznął się między nogami Johna i zniknął w zaroślach. Nie miało sensu szukać go w tej gęstwinie, zacząłem więc wyciągać sieć spod obalonego bananowca. John obserwował mnie niechętnie.

– Doszedłem do wniosku – odezwał się wreszcie – że na pewno nie jestem stworzony na zaklinacza węży. I dlatego w przyszłości sam je sobie będziesz łapał.

– One cię chyba lubią – odparłem. – Fascynujesz je. Gdybyś nosił na nogach odpowiednie sieci, wszystkie węże, z którymi się ostatnio zetknąłeś, zostałyby schwytane. Powinieneś być dumny, bardzo rzadko można spotkać kogoś, kto by miał taką magnetyczną siłę przyciągania węży.

– Bardzo ci dziękuję – powiedział z gniewem John. – Twój pomysł, choć bez wątplenia znakomity, utrudniałby mi chodzenie. Zupełnie mi wystarczy, że ptaki są mną zafascynowane, i nie zamierzam rozszerzać mego repertuaru na gady. – I szybko ruszył pod górę, zostawiając mnie sam na sam z właścicielem drzewa, który się właśnie objawił.

Ostatnia przygoda z węzami wydarzyła się trzy dni później. Jeden z myśliwych przyniósł w koszyku piękną, tłustą żmiję gabońską. Węże te pokryte są niezwykle skomplikowanym i barwnym wzorem, toteż natychmiast zaniósłem żmiję do Johna, żeby się nią pochwalić. Zrzuciła niedawno skórę i różowe, czerwone, brunatne, srebrne i czekoladowe plamy na jej ciele były cudownie czyste. John zachwycił się moim nowym nabytkiem, ale błagał, żebym ją starannie zamknął.

– Jest bardzo jadowita, co, stary? – zapytał.

– Tak, bardzo jadowita.

– Na miłość boską, trzymaj ją w klatce... pamiętaj o węzach wodnych. Nie chcemy przecież, żeby to się powtórzyło.

– Nie martw się, każę dla niej zbudować specjalną klatkę.

I rzeczywiście kazałem zbudować specjalną klatkę, gdzie opasła i bardzo jadowita żmija została umieszczona z wielkim szacunkiem. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie potężna burza z piorunami. Nadciągnęła właśnie wtedy, kiedy się kąpałem, i przypomniawszy sobie, że klatki z gadami stoją spiętrzone na otwartej przestrzeni, krzyknąłem do ludzi, żeby je wnieśli pod dach. Pod wpływem wilgoci drewno się paczy; zdumiewające, przez jak wąską szczelinę potrafi przedostać się wąż, kiedy mu na tym zależy. Klatki szybko ustawiono jedną na drugiej w pobliżu pomieszczenia dla małp. I to był błąd.

John siedział właśnie przy stole w piżamie i bardzo zaabsorbowany przycinał blaszane puszki po owocach, żeby zrobić z nich poidła dla ptaków. Ja kończyłem toaletę. Nagle

zobaczyłem, że coś się rusza w cieniu, przy jego krześle. Włożyłem szlafrok i podszedłem bliżej, żeby zobaczyć, co to jest. Na podłodze, o jakieś sześć cali od nóg Johna, który miał na nogach ranne pantofle, leżała żmija gabońska. Wiedziałem, że w takich momentach należy mówić do osoby zagrożonej bardzo spokojnie, żeby uniknąć paniki i nagłego ruchu. Przełknąwszy ślinę, powiedziałem cicho i powoli:

– Nie ruszaj się, stary, pod krzesłem masz żmiję gabońska.

Kiedy teraz to wszystko wspominam, sędzę, że nie powinienem był wtedy wspominać o żmii; moje słowa miały straszliwy skutek. John podskoczył tak wysoko, że wyglądało to, jakby kwitował. Blaszana puszka, młotek i szczypce do cięcia metalu poleciały w różne strony chaty, stół z kolacją się przewrócił, a okropnie przerażona żmija gabońska wypadła spod krzesła i uciekła za klatki z małpami. Po kilku pełnych napięcia chwilach omotałem ją siatką na motyle i przenieśliśmy do klatki. Wkrótce się wyjaśniło, dlaczego uciekła: węże umieszczono zbyt blisko małp i jedna z samic mandryla dla zabawy otworzyła wszystkie klatki, których zdołała dosięgnąć. Pierwsza oczywiście była klatka ze żmiją gabońska. John niewiele mówił, ale był bardzo zdenerwowany i rozżalony. Całkowicie przyznałem mu rację: gdyby żmija go ukąsiła, nie przeżyłby tego, gdyż, o ile mi wiadomo, w całym Kamerunie nie było serum przeciw jadowi węży, najbliższy lekarz znajdował się o dwadzieścia pięć mil od nas, a myśmy nie mieli żadnego środka transportu.

– Dlaczego ciągle tu sterczysz? – zapytał John z pretensją. – Minęło już trzy tygodnie od twego przyjazdu z Eszobi, najwyższy czas, żebyś znów się zanurzył w nieprzebytej dżungli, poszukując nowych okazów zwierząt.

– Wiesz – odparłem – nawet myślałem, żeby znów wyruszyć. Ty zostałbyś na miejscu i pilnował wszystkiego.

– Gdzie się wybierasz?

– Na zbocza N'da Ali – odparłem.

– Świetny pomysł. Może się nawet zabijesz, spadając ze skały, jeśli ci szczęście dopisze – stwierdził wesoło John.

N'da Ali było największym masywem skalnym w okolicy. Wznosiło się nad nami, górując nad krajobrazem, wioską i naszym całym wzgórzem. Gdziekolwiek się człowiek obrócił, ciągle był świadom istnienia tego otulonego mgłą i chmurami, przytłaczającego kolosa, do którego dostępu strzegły wielkie ściany chropowatego granitu, tak strome, że nie mogła się tam zakorzenić żadna roślina. Codziennie patrzyłem na ten szczyt z tęsknotą i codziennie obserwowałem różne nastroje N'da Ali. Wczesnym rankiem było wielkim, przyobleczonej w białą mgłę potworem; w południe lśniło zielenią i złotem lasów, a jego turnie różowiały w słońcu; wieczorem było purpurowe i bezkształtne; gdy zaszło słońce, oblekało się w czerń. Czasami góra, spowita w białe chmury, zniknęła na dwa, trzy dni. Codziennie patrzyłem na jej

wielkie strome ściany, które broniły wstępu do gęstych lasów na pociętych wąwozami zboczach, i z każdym dniem coraz bardziej umacniałem się w przekonaniu, że pójde tam i zobacze, co ta góra może mi dać. Ponieważ John tak bardzo chciał się mnie pozbyć, nie tracąc czasu, zasięgnąłem języka. Dowiedziałem się, że N'da Ali należy do mieszkańców sąsiedniej wsi o nazwie Fineszang i że oczywiście na górze ciąży dżu-dżu. Żadna szanująca się góra, taka jak N'da Ali, nie mogła nie mieć dżu-dżu. Dowiedziałem się też, że mieszkańcom Fineszang wolno na mocy umowy z dżu-dżu (jeśli tak to można ująć) polować i łowić ryby na niższych zboczach góry, ale tylko jeden mężczyzna ma prawo wchodzić na szczyt. Następnie okazało się, że na szczyt prowadzi jedna droga i tylko ten właśnie człowiek ją znał. Posłałem więc mu wiadomość, że byłbym rad, gdyby na jeden dzień zabrał mnie na N'da Ali, gdyż chciałbym się rozejrzeć za miejscem na rozbić obozu. Spytałem też, czy mógłby towarzyszyć grupie moich myśliwych na szczyt i doglądać całej wyprawy. Czekałem ze źle ukrywaną niecierpliwością na jego odpowiedź, coraz tęskniej spoglądając na zbocze góry. Kolekcja ptaków Johna doprawdy była teraz imponująca i przysparzała mu bardzo wiele pracy. Oprócz przygotowania jedzenia (jajka na twardo, siekane gotowane mięso, rozmoczone suszone owoce itd.) chodził on od klatki do klatki z puszką pełną koników polnych albo gaśienic czy os i pincetką z nabożeństwem karmił każdego ptaka oddzielnie. Dzięki temu był pewien, że ptak ma odpowiednie pożywienie i jest zdrowy. Z zachwytem patrzyłem na jego troskliwość i pracowite metody, dzięki którym ptaki świetnie się rozwijały i radośnie śpiewały w swoich drewnianych klatkach. Źródłem jego największego zmartwienia były umierające i okaleczone okazy, które mu przynoszono. Często przychodził do mnie, trzymając w ręku jakiegoś pięknego barwnego ptaka.

– Popatrz na niego, stary – mówił. – Taki piękny, a nic z niego nie będzie, bo ci cholerni ludzie nie zadają sobie najmniejszego trudu, żeby się z nimi właściwie obchodzić. Ten na złamane skrzydło. Nic, tylko usiąść i płakać.

Potem szedł do człowieka, który go złapał, i odbywała się następująca rozmowa:

– Ten ptak nie jest dobry – mówił John. – Jest ranny i zaraz umrze.

– Nie, sah – słyszał w odpowiedzi. – On nie ranny, sah.

– Ma złamane skrzydło, związałeś go za mocno.

– Nie, sah, on nie umrze. To dobry ptak, sah.

– I co mam zrobić z tymi głupcami? – mówił wtedy John, zwracając się do mnie. – Zawsze mnie zapewniają, że ptak nie umrze, nawet jeśli wszystkie kości ma połamane.

– Dobrze to znam, próbują cię przekonać.

– To okropne. Dostałby pięć szylingów, gdyby ten ptak był w dobrym stanie. Ciagle im to tłumaczę, ale nie rozumieją. Są beznadziejni.

Pewnego dnia przyszedł myśliwy i przyniósł czubatą perlicę, ptaka wielkości kurczaka, o błękitnoszarym upierzeniu z białymi cętkami i z czarnym czubem na łebku. Ptak był w bardzo

złym stanie i John stwierdził, że długo nie pożyje.

– Nie kupię go, on umrze – powiedział.

Myśliwy natychmiast zaproponował:

– Nie, sah, on nie umrze. To mocny ptak, ja pokażę, masa – i postawił ptaka na ziemi. I kiedy po raz drugi zapewniał, że ptak nie umrze, perlica przewróciła się, kilka razy drgnęła i zdechła. Zgnębiony myśliwy zszedł ze wzgórza, ścigany śmiechem i szyderczymi okrzykami naszych ludzi.

Nieco wcześniej Johnowi przyniesiono inną perlicę z tego gatunku wraz z ośmioma jajkami, które znaleziono w gnieździe. Z pewnym trudem znaleźliśmy we wsi kurę wysiadującą jajka. W odpowiednim czasie wszystkie pisklęta się wykluły, były urocze, jasnobrunatne i kręciły się po zagrodzie, dogłądane jak zwykle kurczęta przez swoją przybraną matkę. Niestety, kura była duża, muskularna i miała wielkie nogi, którymi ustawicznie deptała maleństwa. Była bardzo z nich dumna, ale chodziła po nich, wcale się tym nie przejmując. Zmartwiony John postanowił zdobyć inną macochę, nie tak mocnej budowy, która poruszałaby się delikatniej, ale nic z tego nie wyszło.

Wielka niezgrabna kura powoli, ale skutecznie zadeptała wszystkie małe perlice. John kupił następne perlicze jajka i nawet znalazł mniejszą kokoszkę, ale albo myśliwy zbyt długo je przetrzymywał, albo nieostrożnie się z nimi obchodził, dość że nic się z nich nie wykluło. John był bardzo przygnębiony tym powtórным niepowodzeniem, gdyż choć miał sześć samic perlicy, chciał też mieć co najmniej jednego samca, by zawieźć do Anglii stadko z możliwościami rozwoju; w kraju, w dobrych warunkach, w ptaszarni, mając delikatne bantamy do wysiadki i wychowywania piskląt, mógłby rozwinąć hodowlę.

Przeżyliśmy też straszny okres, kiedy epidemia grzybicy jak płomień ogarnęła wszystkie ptasie klatki, zabijając wiele najcenniejszych okazów Johna. Ta śmiertelna choroba powoduje narośle w rodzaju grzyba, które rozwijają się w płucach ptactwa i rozszerzają z niezwykłą szybkością, atakując inne organy i zabijając ptaki. Z początku nie ma żadnych objawów, występują one dopiero w późniejszej fazie: ptak oddycha ciężko, jakby był zaziębiony. Ale wtedy jest już za późno, żeby skutecznie przeciwdziałać chorobie. Kiedy ta straszna choroba spadła na ptaszarnię Johna, walczył z nią, stosując wszelkie możliwe środki, ale bezskutecznie, strat było coraz więcej. Ginęły okazy, których zdobycie kosztowało wiele miesięcy wysiłków i których nie można było ponownie uzyskać. Powiedział mi, że zapewne tylko jedna rzecz może pomóc w walce z chorobą, mianowicie jodek potasu. Jak można go zdobyć w środku kameruńskiej dżungli, oto było pytanie. Owszem, był mały szpital w Mamfe i tam się też udałem w poszukiwaniu lekarstwa, ale okazało się, że go nie mają. Wszystko wskazywało na to, że ptaków Johna nie da się uratować. Tymczasem, robiąc zakupy w magazynach United Africa Company, natrafiłem w jakimś ciemnym kącie na rzędy zakurzonych butelek i stwierdziłem

zdzumiony, że jest to jodek potasu. Natychmiast poszedłem do kierownika.

– Czy te butelki w magazynie to naprawdę jodek potasu? – zapytałem.

– Tak. Mam z nimi wielki kłopot. Przysłali mi je z Kalabaru ostatnią łodzią. Nie mam pojęcia, w jakim celu, ponieważ nie mogę ich sprzedać – odparł.

– Właśnie pan je sprzedał – oświadczyłem radośnie.

– Co, na miłość boską, będzie pan robić z tuzinem tych butelek? – spytał wyraźnie zdumiony kierownik sklepu.

Wyjaśniłem mu całą sprawę.

– Ale czy naprawdę potrzebny panu cały tuzin? To bardzo duża ilość.

– Musimy coś zrobić, i to szybko, bo w przeciwnym razie nie zostanie nam ani jeden ptak – odparłem. – Boję się kupić zbyt mało, bo kiedy przyjdę do pana po więcej, może się okazać, że pan je sprzedał albo coś w tym rodzaju. Nie, wezmę wszystkie. Ile płacę?

Kierownik wymienił sumę, za którą moim zdaniem można by kupić sztuczne płuco, ale musiałem mieć to lekarstwo. Starannie zapakowane butelki zostały umieszczone na ciężarówce, a ja w świetnym humorze wróciłem do Johna.

– Mam trochę jodku potasu, stary – powiedziałem na samym wstępie. – Teraz już twoje ptaki nie będą ginąć.

– Wspaniale – ucieszył się John. Kiedy mu pokazałem pudło z lekarstwem, otworzył usta ze zdumienia. – I to wszystko jest jodek potasu?

– Tak. Uważałem, że lepiej będzie zrobić pewien zapas. Nie wiedziałem, ile tego będziesz potrzebować. Czy to wystarczy?

– Czy wystarczy? – jęknął John. – Wystarczy tego dla pięćdziesięciu ptaszarni na jakieś dwieście lat.

I miał rację. Jeszcze przez długie miesiące w naszym bagażu poczesne miejsce zajmowały butelki z jodkiem potasu, którego nie mogliśmy się pozbyć. Żyliśmy w ciągłej obawie, że popłami nasze czyste koszule albo zmiesza się podstępnie z dwuwęglanem sodu. Jednak grzybicę zwalczyłem, a to było najważniejsze.

W tym czasie prawie zapomniałem o myśliwym, do którego posłałem mego człowieka w sprawie N'da Ali, i byłem zdumiony, kiedy pewnego ranka przybył posłaniec z Fineszang. Myśliwy, jak się dowiedziałem, z chęcią zaprowadzi mnie na jednodniowy rekonesans góry w każdym czasie, jaki mi będzie odpowiadać. Określiłem dokładnie dzień i wysłałem zawiadomienie, że tego a tego dnia rano będę w Fineszang. Posłałem przy tym paczkę papierosów i butelkę piwa na wypadek, gdyby dżu-dżu myślało, że je lekceważę.

– A więc – powiedział John, kiedy usłyszał tę wiadomość – wybierasz się we wtorek. Czy naprawdę sądzisz, że w jeden dzień uda ci się dotrzeć na szczyt i wrócić?

Obaj spojrzeliśmy na prawie nagi skalny masyw N'da Ali, skąpany w różowości

wieczornego słońca.

– Tak sędę – odparłem. – W każdym razie usilnie będę się starać.

IX

Arctocebus, ahój!

Dzień mojej wspinaczki górskiej zaczął się jasnym przeczystym świtem. N' da Ali było niewidoczne za białą ścianą mgły, cała dżungla dymiła i parowała, tylko małe wzgórza ukazywały się nagle jak zniekształcone we mgle statki. W słabym porannym słońcu złotozielony las widoczny był tylko częściowo.

Nieopatrznie obiecałem, że w Fineszang stawię się o jedenastej, i dopiero w przeddzień wieczorem przyszło mi do głowy, że mogę się tam dostać tylko pieszo, a do Fineszang było dziesięć mil zakurzoną drogą w pełnym słońcu. Było to mało zachęcające. W czasie nerwowej narady z naszymi ludźmi okazało się, że we wsi mieszka okręgowy goniec, posiadacz nowego błyszczącego roweru. Goniec bardzo chętnie zgodził się pożyczyć mi swego stalowego rumaka, który w porannym słońcu został przyprawiony uroczyście do naszej chaty, a ja zacząłem robić przygotowania do wyjazdu. Postanowiłem zabrać ze sobą Daniela, ponieważ był najmniejszy i najlżejszy z naszych ludzi i mogłem go wieźć na ramie. Oprócz tego pasażera miałem duży worek ze sprzętem do łowienia zwierząt i drugi z kanapkami i piwem, co miało podtrzymywać moje siły podczas tej wyprawy. Kiedy to wszystko mocowałem na rowerze, pojawił się John.

– Dlaczego zabierasz tyle piwa? – spytał.

– No cóż, przede wszystkim będzie mi się chciało pić w trakcie wspinaczki, a poza tym przekonałem się, że piwo bardzo łagodzi działanie dżu-dżu.

Przyszedł także Daniel i spojrzał na mnie z lekkim przerażeniem. Najwyraźniej nie miał zaufania do moich kolarskich uzdolnień.

– Gdzie mam usiąść, sah? – spytał.

– Tutaj, na ramie – odparłem.

Pochyliłem się i posadziłem go. Rozpaczliwie przywarł do kierownicy i skręcił ją tak gwałtownie, że obaj upadliśmy z całym bagażem wśród brzęku butelek z piwem.

– To nie wygląda na początek naukowej wyprawy – stwierdził z powagą John – ale raczej na porwanie.

Podniosłem rower, przymocowałem bagaż, znów posadziłem Daniela na ramie i, tym razem bez żadnych komplikacji, ruszyliśmy w drogę.

– Do widzenia, stary! – zawołał John.

– Do widzenia! – odkrzyknąłem, ostrożnie omijając wertepy.

– Do zobaczenia wieczorem! – zawołał John z całkowitym brakiem przekonania w głosie.

Szybko zjechaliśmy ze wzgórza i jak pijani wypadliśmy na gościniec. Tutaj jechałoby się łatwiej, gdyby nie Daniel, który kurczowo trzymał się kierownicy, przez co nie mogłem swobodnie kierować rowerem. Jazda na rowerze kameruńską drogą to niezapomniane przeżycie.

Co chwila wzbijają się wielkie tumany czerwonego kurzu, otaczając cyklistę i jego wehikuł, głębokie dziury o poszarpanych krawędziach nagle ukazują się przed przednim kołem, tak że człowiek miota się z jednej strony drogi na drugą, przy tym mniej więcej co sto jardów wpada się na teren dosłownie usiany kamieniami i jadąc po nich, ma się uczucie, że złamanie miednicy byłoby najmniejszym obrażeniem, jakiego można doznać. Co pół mili musieliśmy przejeżdżać przez most, który składał się z dwóch grubych bali przerzuconych między brzegami i położonych w poprzek albo czasem wzdłuż desek. Byłem na tyle głupi, że na początku podróży spróbowałem tę konstrukcję pokonać na rowerze. Przednie koło wpadło w szparę pomiędzy dwiema deskami i utknęło tam, a Daniel, piwo i ja upadliśmy na ziemię. Słońce właśnie ukazało się zza mgły i upał na drodze był okropny. Kiedy dotarliśmy do słupka znaczącego połowę drogi, byłem zlany potem, a usta i oczy oblepiał mi kurz. Akurat wtedy zjechaliśmy ze wzgórza, u którego stóp był znowu most, przerzucony przez płytki szeroki strumień z piaszczystymi brzegami i kępą wysokich drzew, dających głęboki cień. Uległem pokusie.

– Daniel, zatrzymamy się tu na chwilę – powiedziałem ochryplym głosem. – Przy tej wodzie może być jakieś małe zwierze – dodałem.

Świetnie wiedziałem, że w takim miejscu nie będzie żadnego interesującego zwierzęcia, ale chciałem się zanurzyć w przejrzystej wodzie i zmyć z siebie trochę kurzu. Zostawiliśmy rower na brzegu i zeszliśmy w dół do strumienia; rozebraliśmy się i zanurzyliśmy, patrząc, jak czerwony kurz spływający z naszych ciał tworzy krwiste kręgi w przejrzystej wodzie. Po półgodzinie cudownego wypoczynku na mieliźnie nagle zobaczyłem coś dziwnego, co natychmiast wyrwało mnie z miłego rozleniwienia. Tuż obok mnie długa brunatna wstęga wodorostu oderwała się nagle od kamienia i odpłynęła. Przez chwilę patrzyłem na to zdumiony, po czym zerwałem się na nogi i rzuciłem w pogoń. Wodorost płynął szybko pod prąd i schował się w piasku pod małym kamieniem. Razem z Danielem podnieśliśmy kamień i złapaliśmy to coś. W stulonych dłoniach trzymałem niezwykły okaz ryby. Była wąska, brunatna, miała wydłużony pyszczek i okrągłe oczy, bystrzejsze niż u przeciętnej ryby. Rozpoznałem ją od razu, gdyż wiele godzin spędziłem na łowieniu jej krewniaków wśród ławic wodorostów na Morzu Śródziemnym. Była to iglicznia. Nigdy nie spodziewałbym się znaleźć słodkowodnej igliczni, udającej wodorost w afrykańskiej rzece. Zrobiłem dla niej mały basenik i tam ją umieściłem. Natychmiast przywarła do niewielkiego kamienia i stała się kawałkiem wodorostu, kołysząc się i zwijając pod wpływem prądu. Patrzyłem na nią ze smutkiem: marzyłem o tym, żeby poznać jej obyczaje, dowiedzieć się, gdzie składa ikrę i wychowuje swój narybek, i tysiąca innych rzeczy, ale uświadomiłem sobie z goryczą, i to nie po raz pierwszy, że jeśli zarabia się na życie łowieniem zwierząt, nie można marnować czasu na dokładne badanie obyczajów jakiejś nieznanej ryby. Z wielkim ociąganiem i pretensjami do losu wypuściłem iglicznię, patrząc, jak odpływa na głęboką wodę. W każdym razie schwytanie jej wyrwało mnie z jakiegoś sennego

transu.

Wkrótce potem wróciliśmy znów na drogę i wsiedliśmy na rower, który wtedy zaczął budzić moją zdecydowaną niechęć. Pedalowałem, czując, jak kurz na nowo oblepia mi ciało i ubranie.

Pół godziny później, kiedy zjeżdżaliśmy po długim łagodnym zboczu, zobaczyłem w dali jakąś maszerującą naprzeciw nam postać. Kiedy podjechaliśmy bliżej, spostrzegłem, że człowiek ten niesie mały koszyk z liści palmowych, widomy znak, że ma na sprzedaż jakieś zwierzę.

– Daniel, czy ten człowiek niesie jakieś zwierzę? – spytałem mego towarzysza, naciskając hamulec.

– Ja myślę tak, sah.

Kiedy człowiek był już blisko nas, zdjął czapkę i uśmiechnął się, a wtedy go poznałem. Był to jeden z myśliwych z Eszobi.

– Witaj! – zawołałem. – Skąd przychodzisz?

– Dzień dobry, sah – odparł, wyciągając w moją stronę swój zielony koszyk. – Ja przynoszę masa zwierze.

– Mam nadzieję, że to dobre zwierzę – powiedziałem, biorąc koszyk – bo inaczej nie szedłbyś tak daleko na próżno.

Daniel i myśliwy uścisnęli sobie ręce i przez chwilę rozmawiali w języku banyangi, a ja odsunąłem pokrywę koszyka i zajrzałem do środka.

Nie wiem, czego się spodziewałem: wielkoszczura albo może wiewiórki, lecz z pewnością niczego ciekawego. Ale oto z dna koszyka patrzyło na mnie swoimi wielkimi złotymi oczami angwantibo.

W życiu zdarzają się wspaniałe momenty, którymi trzeba się cieszyć z całej duszy, choć niestety są one rzadkie. Ja najwyraźniej cieszyłem się teraz z całej duszy, gdyż Daniel i myśliwy myśleli, że zwariowałem. Na środku drogi odańczyłem taniec zwycięstwa i tak się darłem z radości, że wszystkie dzioborożce w okolicy uciekły do dżungli z głośnym wrzaskiem. Poklepałem myśliwego po plecach, poklepałem Daniela i gdybym tylko mógł, sam siebie poklepałbym po plecach. Po wielu miesiącach bezowocnych poszukiwań i klęsk, oto trzymałem w swoich rękach prawdziwe, żywe angwantibo, a radość z tego powodu uderzyła mi do głowy jak wino.

– Którego dnia złapałeś to zwierzę? – spytałem, kiedy udało mi się trochę opanować.

– Wczoraj, sah, w nocy.

Znaczyło to, że to cenne stworzenie było bez wody i pożywienia dwadzieścia cztery godziny. Musiałem więc wracać do Bakebe, dać mu jeść i pić.

– Daniel, ja wracam szybko na rowerze do Bakebe, to zwierzę musi dostać jeść. A ty pójdziesz z tym myśliwym, słyszysz mnie?

– Tak, sah.

Obladowałem go sprzętem do łowienia zwierząt oraz piwem, a sam zawiesiłem sobie koszyk z angwantibo na szyi i ruszyłem z powrotem do Bakebe. Pędziłem jak szalony, nie zwracając uwagi na kurz, dziury i mosty. Moim jedynym pragnieniem było umieścić bezcenne małe zwierzątko w odpowiedniej klatce, dać mu owoce i mleko. Wreszcie dotarłem do Bakebe i zostawiwszy rower we wsi, zasapany szybko wszedłem na wzgórze, gdzie stała nasza chata. W połowie drogi przyszła mi do głowy straszna myśl. A może się pomyliłem, może to nie jest angwantibo, tylko młody potto, zwierzę bardzo podobne z wyglądu? Z bijącym sercem otworzyłem koszyk i jeszcze raz obejrzałem zdobycz. Szybko sprawdziłem jego znaki szczególne: kształt oraz liczbę palców na rękach, wielkość oczu, brak ogona. Nie, to naprawdę było angwantibo. Odetchnąwszy z ulgą, ruszyłem pod górę.

Kiedy byłem blisko chaty, zobaczyłem, że John krząta się przy klatkach i karmi ptaki. Pękając z dumy i podniecenia, wykrzyczałem moją sensacyjną wiadomość i zacząłem biec, wymachując kapeluszem.

– John, mam... mam angwantibo... żywe... ANGWANTIBO! Słyszysz mnie?

Na tę wiadomość wszyscy nasi ludzie, zarówno ci od zwierząt, jak i ci z kuchni, wybiegli mi naprzeciw, żeby zobaczyć „zwierzę”, o którym tyle od dawna opowiadałem i za które oferowałem bardzo wysoką cenę. Śmiali się i gadali na widok mego wielkiego podniecenia. John za to okazał całkowity brak zainteresowania tym wstrząsającym wydarzeniem; spojrział na mnie przez ramię i powiedział: „Świetny nabytek, stary”, i dalej karmił ptaki. Gdyby moja radość nie była tak wielka, z przyjemnością bym go kopnął.

Tak wielkiego zamętu nie sprawiło jeszcze dotychczas żadne zwierzę: rodzina wielkoszczurów, która spała spokojnie w swojej klatce, została bezceremonialnie obudzona, klatka wymieciona i wyczyszczona jako tymczasowe miejsce pobytu nowego przybysza. Stolarz dostał dużą skrzynię, z której miał zrobić w rekordowym tempie największą i najlepszą klatkę, w przeciwnym razie groziły mu straszne konsekwencje. Ludzie rozbiegli się w poszukiwaniu jajek, papai, bananów i martwych ptaków. Wreszcie kiedy klatka została wyposażona w piękne gałęzie, a na czystej podłodze posypanej trocinami ustawiono tackę z jedzeniem, nadszedł wielki moment. Otoczony tłumem naszych ludzi, którzy prawie bali się oddychać, żeby nie spłoszyć tego bezcennego stworzenia, co wywołałoby mój wielki gniew, ostrożnie wyjąłem angwantibo z koszyka i przeniosłem do jego tymczasowego domu. Przez chwilę stało na podłodze nieruchomo, rozglądając się wokół, następnie podeszło do jednej z tacek, chwyciło w pyszczek kawałek banana, wspięło się szybko po gałęziach i przykucnąwszy na jednej z nich, zaczęło łapczywie jeść owoc. Jakaż miła niespodzianka! Po smutnych doświadczeniach z różnymi nerwowymi zwierzętami nie oczekiwałem, że od razu zacznie jeść. Patrzyłem, jak siedząc wśród gałęzi, przeżuwa swego banana, i byłem tak dumny, jakbym to ja sam go schwytał.

– John! – zawołałem głośnym szeptem. – Przyjdź i sam zobacz.

– Och, to doprawdy bardzo ładne zwierzątko – odparł.

W ustach Johna była to najwyższa pochwała dla czegoś, co nie miało piór. Rzeczywiście było to bardzo ładne zwierzątko. Ze swoją gęstą złocistobrunatną sierścią, zaokrąglonym grzbietem i złocistymi oczami przypominało niedźwiadka. Tłuste, puszyste, wielkości czterotygodniowego kociaka, miało długie i smukłe łapy, jego dłonie i stopy przypominały ludzkie, z tym wyjątkiem, że pierwszy i drugi palec dłoni były właściwie w zaniku. Umożliwiało mu to o wiele lepszy chwyt, gdyż bez pierwszych dwóch palców małymi dłońmi mogło objąć całkiem grubą gałąź, a kiedy ją chwyciło, trzymało się jej jak przyklejone.

Stałem i z zachwytem kontemplowałem je przez pół godziny, a ono w tym czasie zjadło półtora banana, wdrapało się na odpowiednio pochyłą gałąź, chwyciło się jej mocno dłońmi i stopami, schowało głowę między przednimi łapami, czoło oparło o gałąź i zasnęło. Starannie okryłem klatkę kawałkiem materiału, żeby nie przeszkadzało mu słońce, i odszedłem na palcach.

Mniej więcej co pół godziny podchodziłem do klatki i zaglądałem, żeby sprawdzić, czy nie spadło albo nie zostało porwane przez jakieś potężne dżu-dżu. Przez pierwsze dni, każdego ranka, nim wypilem swoją poranną filiżankę herbaty, wyskakiwałem z łóżka, żeby pobiec do jego klatki, co jak dotąd było czymś niesłychanym. Nawet Johnowi udzieliła się moja nerwowość. Jak dziecko z dziupli wyglądał spod swojej moskitiery i obserwował mnie z niepokojem, kiedy zdejmowałem przykrycie z klatki i zaglądałem do środka.

– Wszystko w porządku? – pytał. – Jadł coś?

– Tak, pół banana i całego ptaka.

Całe to zamieszanie wokół angwantibo, czyli *Arctocebus calabarensis*, było w pewnej mierze uzasadnione. Po pierwsze, jest to zwierzę niezwykle rzadkie, spotykane tylko w dżunglach brytyjskiego i francuskiego Kamerunu, a nawet i tutaj nie występuje często. Po drugie, londyńskie zoo dawno chciało je mieć i specjalnie nas prosili, żebyśmy spróbowali zdobyć ten okaz.

Choć angwantibo jest znane naukowcom od 1859 roku, Brytyjskie Muzeum nadal ma tylko kilkanaście jego okazów i wszyscy przyrodnicy, którzy poszukiwali tego zwierzęcia w jego naturalnym środowisku, byli zgodni, że jest ono niezwykle trudne do zdobycia. Angwantibo pochodzi z rodziny lemurów, grupy zwierząt blisko spokrewnionych z małpami. Dotychczas tylko raz to małe stworzonko przeżyło jakiś czas w niewoli i teraz to my pierwsi zamierzaliśmy je żywe sprowadzić do Anglii. Gdyby nam się to udało, po raz pierwszy zoologowie i anatomowie mogliby obserwować obyczaje i zachowanie żywego angwantibo. Dlatego robiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, żeby go nie stracić, gdyż sądziliśmy, że innego nie uda nam się zdobyć.

Muszę oddać małemu zwierzątku sprawiedliwość i przyznać, że nie sprawiało w ogóle trudności. Od razu było wiadomo, że lubi banany i tłustą pierś ptasią. Danie to zawsze popijało

mlekiem. Przed pójściem spać lubiło też małą przekąskę z kilku koników polnych. Cały dzień spało, mocno przyczipione do gałęzi, z głową schowaną między przednimi łapami. Wieczorem, tuż przed zachodem słońca, budziło się, robiło toaletę, kilka razy ziewało, pokazując jasnoróżowy język, i dla zaostrenia apetytu zaczynało przechadzkę po klatce. Schodziło na jej brzeg, przechodziło na drugą stronę, wspinało się na gałęzie i wędrowało po nich aż do miejsca, z którego zaczęło swój spacer, po czym od nowa powtarzało całe przedstawienie. Ten mały obchód trwał około godziny, aż do czasu karmienia. Gdy tylko wstawiono mu tackę, od razu zaczynało jeść, nie przejawiając żadnych oznak lęku. Czasem schodziło na dół i stało na podłodze z opuszczoną nisko głową i wygiętym grzbietem, przypominając bardziej niż zwykle miniaturowego niedźwiedzia. Czasem, gdy tacka została postawiona pod wygodną dla niego gałęzią, zwisało na stopach, różowymi rękami chwyciło kawałki banana, wpychało je do pyszczka, cmokając i zlizując sok z nosa. Przez cały czas, kiedy je miałem, nigdy nie słyszałem, żeby wydawało inny dźwięk prócz czegoś w rodzaju kociego mrużenia i cichego syku, kiedy próbowałem je dotknąć. Zdjęcie go z gałęzi wymagało znacznego wysiłku, gdyż swymi dziwnymi łapami i stopami trzymało gałąź z niezwykłą siłą. Chwytałem je za tułów i ciągnąłem, a ono się opierało, wciskało głowę między przednie łapy i gryzło ostrymi jak igły zębami.

Po tygodniu, kiedy już się upewniłem, że Arcto, jak je nazwaliśmy, całkowicie się zaadaptowało, postanowiłem jednak przeprowadzić rekonesans na N'da Ali. Znów pojechaliśmy z Danielem zakurzoną wyboistą drogą, ale tym razem nie zawróciliśmy, i spoceni, brudni dotarliśmy na miejsce około jedenastej przed południem. Myśliwy już czekał. Nigdy w życiu nie spotkałem równie odrażającego człowieka. Pomijając już twarz, która wiele pozostawiała do życzenia, nogi miał nie tylko monstrualnie opuchnięte z powodu słoniowaczyny, ale też pokryte dziwnymi plamami, które czasem można spotkać u tubylców; w tych miejscach skóra jest pozbawiona normalnego brunatnego pigmentu, obrzydliwie jasnoróżowa, i błyszczący się jak polakierowana. Ruszyliśmy bez zwłoki, zostawiając Daniela we wsi, gdyż uważałem, że taka wspinaczka byłaby zbyt trudna dla młodego i delikatnego chłopca. Gdzieś w połowie drogi przekonałem się, że i moja kondycja fizyczna nie jest najlepsza.

Myśliwy szybko szedł pod górę bardzo stromym zboczem, a ja złany potem wlokłem się za nim, za wszelką cenę starając się ocalić prestiż białego człowieka. Tylko raz myśliwy zwolnił, gdy zielona mamba, zapewne najszybszy i najbardziej jadowity wąż w Zachodniej Afryce, niby zielona błyskawica przemknął przez naszą ścieżkę. Mamba zsunęła się z pnia drzewa, przecięła ścieżkę tuż przed zniekształconymi stopami myśliwego i zniknęła w buszu. Mój przewodnik stanął jak wryty, twarz miał popielatą. Spojrzał ze złością tam, gdzie zniknął gad, i odwrócił się do mnie, mówiąc głośno:

– Ugh! – To była jedyna uwaga, jaką zrobił od chwili, gdy wyruszyliśmy w drogę, toteż

postanowiłem być uprzejmy.

– Ugh! – zgodziłem się.

Kiedy znaleźliśmy się przy kamieniu oznaczającym połowę drogi, myśliwy zszedł ze ścieżki i zaprowadził mnie do dużego płytkiego jeziora u stóp wodospadu. Tu zdjął swój sarong i zaczął się kąpać. Zrobiłem to samo nieco dalej, gdyż nie miałem ochoty oglądać przeróżnych objawów jego licznych chorób.

Po kąpeli napił się wody, bekając co drugi łyk... ciekawe i długo trwające widowisko. Kiedy przysiadłem na kamieniu, żeby napić się piwa, zorientowałem się, że nie mam otwieracza.

Błogosławiąc w duchu tego, kto pakował mój plecak, stłukłem szyjkę i wypilem chciwie piwo, mając nadzieję, że nie było w nim zbyt dużo szkła. Myśliwy zniknął właśnie za jakąś skałą i z należytą skromnością oddawał się czemuś, co, sądząc po odgłosach, było jego dorocznym katharsis. Nie chcąc zakłócać tak osobistej czynności, a przy tym chyba bardzo bolesnej, zacząłem wędrować wśród kamieni u stóp wodospadu, szukając żab.

Wreszcie mój przewodnik się pokazał i znów ruszyliśmy w drogę.

Po pewnym czasie szedłem jak w transie, strumienie potu zalewały mi oczy. Sporego etapu tej wędrowki zupełnie nie pamiętam. Ocknąłem się, kiedy wyszliśmy na trawiastą łąkę, wybieloną słońcem, a stado koczokodanów mona zerwało się z trawy i wskoczyło na drzewa. Słyszeliśmy, jak w ucieczce łamią liście, krzycząc przy tym swoje „oink... oink”. Myśliwy zaprowadził mnie na skraj łąki, gdzie wznosiła się wielka jak dom skała, przytykająca do krawędzi grzbietu, na który właśnie się wspięliśmy. Wdrapałem się na nią i ujrzałem wspaniały widok.

Pod nami na wszystkie strony rozciągała się dżungla, całe mile falistego krajobrazu, czasem wznoszącego się, by utworzyć dziwnie ukształtowane wzgórza, a wszystko pokryte grubym dywanem drzew – zielenią w różnych odcieniach. Daleko w dole, jak niska kredowa wstażka leżała droga; śledząc jej bieg dostrzegłem Bakebe i przycupniętą na szczycie wzgórza wielką chatę, w której mieściła się nasza menażeria. Dżungla przed nami biegła aż do granicy francuskiej i dalej, a po naszej prawej stronie, o jakieś osiemdziesiąt mil, dostrzec mogłem lekko drżący w upale, przypominający słaby odcisk palca na błękicie nieba, szczyt Kamerunu. Był to cudowny, zapierający dech widok i po raz pierwszy uświadomiłem sobie nieprawdopodobny ogrom dżungli. Z płaskowyzu, poniżej którego siedzieliśmy, dżungla ciągnęła się prawie bez przerwy w przez całą Afrykę, aż po sawanny na wschodzie, po Kenię, Tanganikę i Rodezję. Była to myśl zdumiewająca. Siedziałem tutaj, paląc tak upragnionego papierosa, zastanawiając się, ile zwierząt może tu przypadać na milę kwadratową, ale po kilku minutach tych obliczeń, zaczęło mi się mącić w głowie od zawrotnych liczb i dałem spokój.

Myśliwy położył się na ziemi i zasnął. Siedziałem tak i zafascynowany badałem przez lornetkę bezmiar dżungli. Obserwowałem przelot dzioboroźców ponad szczytami drzew, które

stąd wyglądały jak kalafior, po drzeniu liści śledziłem wędrówkę stada małych przeskakujących z drzewa na drzewo.

Poruszająca się drogą plamka, która wyglądała jak jakiś czerwony egzotyczny żuk, była ciężarówką, która pełzła drogą z Mamfe do Kumby, wlokąc za sobą pióropuszczy kurzu. Obserwowałem ją dłuższą chwilę, a po chwili przeniosłem wzrok gdzie indziej, czego później żałowałem, ponieważ pół mili dalej ciężarówka, przejeżdżając przez most, wpadła do znajdującej się poniżej o dwadzieścia stóp rzeki. Dowiedziałem się o tym dopiero po powrocie do Bakebe od Johna, który przez całe popołudnie kierował akcją pierwszej pomocy dla rannych pasażerów.

Ponieważ myśliwy nadal słodko spał, zszedłem ze skały i zacząłem się rozglądać po łące. Po jej drugiej stronie natrafiłem wśród drzew na polankę, gdzie wił się między omszałymi gałęziami mały strumyczek. Uznałem, że to będzie bardzo dobre miejsce na obozowisko. Obejrzałem uważnie teren, zajrzałem pod kilka gałęzi i zaraz potem natrafiłem na jeszcze jedną łąkę, znacznie rozleglejszą niż poprzednia. Miejsce, które dla nas wybrałem, znajdowało się na zalesionym języku, graniczącym po obu stronach z trawiastymi halami. Przeczynałem, że na tych łąkach z pewnością znajdziemy wiele ciekawych okazów fauny.

Kiedy wróciłem, myśliwy już nie spał, oznajmiłem więc, że teraz możemy już wracać, ponieważ zobaczyłem to, co chciałem, a poza tym robi się już późno. Bez słowa ruszył w drogę powrotną. Był najbardziej milczącym Kameruńczykiem, jakiego dotychczas spotkałem. Zejście było znacznie łatwiejsze, szliśmy więc dość szybko. Kiedy dotarliśmy do ostatniego zbocza, nagle zerwał się wiatr i lunął deszcz. Liście i małe gałęzie spadały z drzew wokół nas, a gdzieś za nami w dżungli rozległ się głośny trzask świadczący o tym, że pod naporem tej nagłej wichury złamała się jakaś duża gałąź albo drzewo.

Przemoczeni do suchej nitki dotarliśmy do Fineszang, gdzie oczywiście schroniłem się w śmierdzącej chacie myśliwego. Niebawem pojawił się też Daniel.

Dłuższą chwilę paliliśmy w milczeniu, a ponieważ myśliwy nie poruszył interesującego mnie tematu, spytałem go, kiedy poprowadzi moją wyprawę na górę, żeby tam rozbić obóz, oraz ile chciałby za to dostać.

– Masa zapłaci mi za to dwadzieścia funtów – stwierdził z całym spokojem.

Tak byłem tym zdumiony, że się roześmiałem, co go najwyraźniej zaniepokoiło, gdyż zaczął przemowę na temat dzu-dzu, które mieszka na górze, a które tylko on potrafi ułagodzić, co jest bardzo niebezpieczne. Długo mnie przekonywał, że nie mogę wejść na tę górę bez niego i dlatego muszę się zgodzić na jego cenę. Właśnie przestało padać, wstałem więc i spojrzałem na niego groźnie.

– Słuchaj, przyjacielu, jeśli zaprowadzisz mnie na miejsce, które wybrałem, będę ci płacił dwa szylingi dziennie i dam więcej, kiedy złapię tam dobre zwierzęta. Jeśli się nie zgodzisz,

pójdę sam. Znajdę innego myśliwego, który mi pomoże, zrozumiałeś? Powiedz, czy się zgadzasz.

Myśliwy spojrział na mnie z pogardą i powiedział w swoim języku chyba coś obraźliwego, bo Daniel dość gwałtownie zareagował.

– Daniel, czy on się zgadza?

– Nie, sah, on się nie zgadza.

– Chodź, zostawmy tego głupca – powiedziałem, położyłem trzy szylingi na progu domu i wyszedłem wściekły z chaty, po czym z największą godnością, na jaką było mnie stać, wsiałem na rower i odjechałem.

X

N'da Ali

Wyruszyliśmy w kierunku N'da Ali w okropnej szarówce nad ranem, a kiedy słońce przedarło się przez mgły, dotarliśmy do niższych zboczy góry. Odtąd wspinaczka była trudna, tragarze jęczeli, gwizdali i ciężko dyszeli, pnać się pod górę, wciągając się ze skały na skałę, wyszukując drogę wokół wielkich splątanych korzeni drzew. W tak trudnych warunkach terenowych zawsze czułem wielki szacunek i sympatię do moich tragarzy. Oto ja, bez bagażu, z wyjątkiem lornetki i strzelby, z trudem oddycham, serce mi wali, jakby miało wyskoczyć z piersi, i muszę co pół mili przysiadać, żeby odpocząć, a tymczasem długi szereg tragarzy pełźnie powoli w górę z wielkimi ciężarami, umieszczonymi na wełnistych głowach, z twarzami lśniącymi od potu, mięśniami szyi napiętymi w ogromnym wysiłku, żeby utrzymać w równowadze skrzynki i toboły.

Szedłem na przedzie z Krawcem, wybierając najlepszą dla nich trasę, a Krawiec zaznaczał ją szybkimi nacięciami maczety na zielonej korze drzewek. W miejscach, gdzie były niebezpieczne skały albo w poprzek ścieżki leżało wielkie drzewo oplatanie zwojami lian, Krawiec i ja zatrzymywaliśmy się, czekając, aż tragarze nas dogonią, po czym pomagaliśmy im usunąć przeszkodę. Każdego, który obok mnie przechodził, zagadywałem w *pidgin-English*, ku wielkiemu rozbawieniu pozostałych ludzi.

- Hej, Tsseya, jak tam?
- Dziękuję, masa, dobrze.
- Ty masz bardzo dużo sił, przyjacielu.
- O tak, sah.
- Uważaj, droga trudna.
- Ja uważam, masa.

I tak każdy uśmiechnięty spocony człowiek mógł porozmawiać chwilę o trudach wspinaczki, a kiedy bezpiecznie ominął przeszkodę, gwizdał bardzo głośno przez zęby, aż echo się niesło wśród drzew.

Po godzinie wspinaczki, kiedy stwierdziliśmy, że jesteśmy w połowie drogi do wybranego przeze mnie miejsca na obozowisko, na względnie płaskim miejscu zarządziłem odpoczynek. Tragarze z pomrukiem ulgi zdjęli swoje ciężary i usiedli w kucki, ciężko oddychając, a Krawiec rozdzielił wśród nich papierosy, które dla nich zabrałem. W pół godziny później ludzie zwinęli niewielkie maty z liści albo materiału, położyli je sobie na głowach, znów dźwignęli w górę ciężary i ruszyliśmy w drogę. Miał to być nasz ostatni etap.

Zaczeliliśmy wspinaczkę o siódmej trzydziści, a o jedenastej dotarliśmy na płaski porośnięty dzunglą teren, który tworzył wielki „stopień” wokół jednego zbocza góry. Wkrótce przecięliśmy

małą łąkę i znaleźliśmy się wśród drzew wąskiego pasma dżungli nad strumykiem. Tutaj tragarze zdjęli swoje ładunki i zaczęła się wielka krzątanina: szybko rozbito namiot, zbudowano kuchnię z młodych drzewek i wysokich traw, a tragarze postawili dla siebie małe jak dla krasnoludków chatki wśród wysokich szkarpowych korzeni wielkiego drzewa. Kiedy zapanował względny porządek, Krawiec, ja i młody chłopak, który miał łowić ptaki, poszliśmy na rekonesans do dżungli, gdzie zaznaczyliśmy blisko trzydzieści miejsc odpowiednich do zastawienia pułapek. Potem wysłałem chłopaka, żeby ściął młode pędy i gałęzie do skonstruowania pułapek, sam zaś poszedłem wzdłuż małego szemrzącego strumyka, który torował sobie drogę wśród omszałych głazów o dwadzieścia stóp od mego namiotu, w nadziei, że znajdę miejsce odpowiednie do kąpieli. Wkrótce na obu brzegach strumienia pojawiło się niskie gęste poszycie i zaczął on płynąć po skalnym podłożu, w którym wyźłobił liczne małe jeziorka. Największe miało chyba piętnaście stóp długości i około dwóch stóp głębokości, na jego brzegu był biały piasek i drobne żółte kamyczki. Oto znalazłem cudowną naturalną wannę! Szybko się rozebrałem i z rozkoszą wszedłem do wody. I w tym momencie przeżyłem wielki szok. W nizinnych strumieniach woda, choć zimna, była jednak przyjemna, tu zaś okazała się wprost paralizująco lodowata. Szybko się ochlapałem, wyszedłem na brzeg, szczękając zębami, zebrałem szybko ubranie i ruszyłem przez poszycie na łąkę. Upewniwszy się, że wokoło nie ma nic groźniejszego niż kilka świerszczy, wyciągnąłem się na słońcu i zapadłem w drzemkę.

Kiedy się zbudziłem i usiadłem, zobaczyłem w złocistej kępie trawy pięknego cętkowanego kota. Stał i patrzył na mnie z wyrazem zamyślnego uznania. Przez jedną okropną chwilę myślałem, że to lampart, ale przyjrzawszy mu się, stwierdziłem, że to serwał, zwierzę znacznie mniejsze, z brązową sierścią w małe okrągłe cętki. Zdumiałem się, gdyż każdy myśliwy biały czy czarny oraz wszyscy autorzy książek dotyczących dżungli wiedzą, że tego wielkiego kota spotyka się raz na pięćdziesiąt lat. Miałem więc wielkie szczęście, choć czułem też pewien niepokój.

Stał bardzo spokojnie, obserwując mnie w zamyśleniu, a czubek jego ogona poruszał się powoli wśród traw. Tak poruszają ogonem domowe koty, patrząc na wróble... Obleciał mnie strach. Poza tym byłem nagi i przekonałem się, jak bezradny jest człowiek bez ubrania w obliczu niebezpieczeństwa. Patrzyłem na serwala, marząc o tym, żeby mieć na sobie szorty i żeby móc go w jakiś sposób złapać, nie zostając przy tej okazji wypatroszonym. Serwał zmrużył oczy i miał taką minę, jakby chciał się położyć i razem ze mną uciąć sobie drzemkę. Właśnie w tym momencie od strony obozu dały się słyszeć jakieś głośne krzyki i kot, obejrzawszy się za siebie, zniknął w poszyciu szybkim płynnym ruchem. Prędko włożyłem szorty i buty, ale choć natychmiast dopadłem miejsca, w którym kocisko zniknęło w buszu, nie zobaczyłem ani śladu po nim. W cichym ciepłym powietrzu unosił się jeszcze jego ostry zapach, a na skrawku miękkiej ziemi dostrzegłem odcisk jednej łapy. Przeklinając w duchu tragarzy i serwala,

wróciłem do obozu i tutaj się dowiedziałem, co było przyczyną hałasu. Jedna strona kuchni runęła i wszyscy stali wokół niej, kłócąc się głośno i krzycząc, a zagniewany kucharz, mając we włosach pełno trawy, podskakiwał jak szalony. Wziąłem Krawca na stronę i opowiedziałem mu o wielkim kocie.

– Czy to był tygrys, sir?

W języku *pidgin-English* tygrys oznacza lamparta; był to typowy przykład, jak niewłaściwie tubylcy określają zwierzęta.

– Nie, to nie był tygrys, podobny do niego, ale mniejszy i miał o wiele drobniejsze cętki.

– Ach, tak, ja znam to zwierzę – odparł Krawiec.

– Jak możemy go złapać? Jeśli jest tutaj jeden, to musi być ich więcej, prawda?

– Tak, sir – zgodził się. – Ale do tego potrzeba nam psów. Znam pewnego myśliwego koło Bakebe, który ma dobre psy; czy mam posłać kogoś do niego, żeby tu przyszedł?

– Powiedz mu, żeby jutro się tu stawił, jeśli może.

Krawiec poszedł załatwić tę sprawę, a ja postanowiłem sprawdzić, czy z katastrofy kuchni ocalało coś do zjedzenia na lunch.

Tego popołudnia poszedłem do dżungli sam. By nie zabłądzić szedłem tak, aby mieć cały czas po lewej stronie główny masyw N'da Ali. Nie miałem określonego celu, nie spieszyłem się, często więc stawałem, żeby obejrzeć drzewa i otaczające je zarośla w poszukiwaniu śladów życia. Właśnie obserwowałem olbrzymią samotną mrówkę, która wędrowała po liściu, kiedy usłyszałem szelest na pobliskim drzewie i potem głośne „czak... czak!”. Potem na drzewie zatrzęsa się gałąź, po której przebiegły dwie małe wiewiórki z podniesionymi ogonami. Z radością stwierdziłem, że są to wiewiórki czarnouche, raczej rzadko spotykane w dżungli, których nigdy dotąd nie widziałem. Przez lornetkę zobaczyłem, że to samiec i samica, najwyraźniej w okresie zalotów. Samiczka skoczyła z końca cienkiej gałązki na sąsiednią, znajdującą się w odległości jakichś dziesięciu stóp, samczyk poszedł w jej ślady, wydając przy tym swój przenikliwy okrzyk „czak... czak”. Zbliżyłem się do drzewa i zobaczyłem, że bawią się w chowanego wokół pnia. Były to uroczce stworzenia: miały pomarańczowe łebki z wąską czarną obwódka wokół małych uszu, górną część ich tułowia znaczyły zielonawe smugi, a po bokach niewielkie białe cętki układały się w linię. Brzuszki miały pomarańczowożółte, tak samo jak piersi. Ale nade wszystko zachwyciły mnie ich ogony – z wierzchu w niewyraźne białe i czarne paski, a od spodu jaskrawo pomarańczowoczerwone. Kiedy wiewiórki biegały po gałęzi, ogon był zadarty w górę, ale gdy się zatrzymywały, opadał im na grzbiet, tak że koniec jego zwisał im prawie na nos. Kiedy przez chwilę siedziały spokojnie, ogon poruszał się płynnie, a jego pomarańczowa spodnia strona świeciła i drżała jak płomień świecy na wietrze. Przez pół godziny obserwowałem, jak zwierzątka skaczą i gonią się wokół drzewa, balansując, kłaniając się sobie nawzajem, a ich ogony tylko migały wśród zielonych liści. Doprawdy rzadko byłem świadkiem

tak uroczej zabawy dwojga zwierząt. Powoli przenosiły się z drzewa na drzewo, a ja siedłem za nimi, cały czas trzymając przy oczach lornetkę. Nagle nieostrożnie nadepnałem na patyk, samczyk znów wydał okrzyk, ale nie tak łagodny i tkliwy jak poprzednio, lecz donośny, ostrzegawczy. Natychmiast zniknęły i tylko lekki ruch liści wskazywał miejsce, gdzie przed chwilą były. Szedłem dalej, rozmyślając nad tym, że szczęście bardzo mi dziś dopisało: w ciągu kilku godzin widziałem serwala i dwie wiewiórki – można powiedzieć rekordowy dzień. Zapewne dlatego, że góra ta rzadko jest odwiedzana przez ludzi, zwierzęta nie były tak płochliwe jak na nizinach. Poza tym dżungla była tu bardziej dostępna, przedzielona skałami i łąkami, toteż łatwiej było zobaczyć zwierzęta i zbliżyć się do nich. Kiedy tak nad tym rozmyślałem, usłyszałem nagle mrozący krew w żyłach krzyk, po którym nastąpiły wybuchy straszego wariackiego śmiechu, który, przetoczył się wśród drzew i wreszcie urwał ze strasznym skowytym. Stałem jak sparaliżowany, włosy mi się zjeżyły ze strachu. Niejeden raz słyszałem różne okropne dźwięki, ale czegoś takiego nigdy. Po kilku minutach zebrałem resztki odwagi i skierowałem się w stronę, skąd dobiegały te straszne dźwięki. Nagle znów wybuchły: przerażający rechot pomieszany z okropnymi krzykami, ale teraz znacznie dalej, wiedziałem więc, że nie uda mi się sprawdzić, co to takiego. I wtedy nagle zrozumiałem: to była wieczorna serenada stada szympansów. Często słyszałem śmiech i krzyki szympansów w niewoli, ale nigdy, aż do tej chwili, nie słyszałem, żeby całe stado urządzało koncert w dżungli, gdzie ich krzyki potęguje echo. Jestem pewien, że nawet ktoś, kto zna szympansy, nie wysłuchałby ich wieczornej pieśni na zboczu N'da Ali bez dreszczu lęku.

Po kilku dniach pobytu na N'da Ali poznałem obyczaje tych małp. Wczesny ranek spędzały wysoko, krzycząc i śmiejąc się wśród stromych skał, a w południe schodziły niżej do gęstej dżungli, gdzie znajdowały schronienie przed słońcem; w tym czasie były prawie milczące. Wieczorem przenosiły się na wielki stopień wokół zbocza góry, gdzie obozowaliśmy, i raczyły nas długim wieczornym koncertem, zawsze szarpiącym nerwy. Kiedy zapadał zmrok, cichły, od czasu do czasu tylko skomlać. Przemieszczały się z wielką regularnością tak, że nasłuchując, w jakiej części dżungli przebywają, można było prawie dokładnie określić godzinę.

Po powrocie do obozu dowiedziałem się że łowca ptaków schwytał dwa pierwsze okazy. Jeden był to rudzik leśny, niezbyt ciekawy nabytek, ponieważ John miał ich mnóstwo, drugi – jasnobrunatny mały ptaszek z plamkami na piersi, bardzo podobny do angielskiego drozda. Był tak mało ciekawy, że już zamierzałem go wypuścić, kiedy pomyślałem, że jednak posłę go Johnowi, niech go sobie obejrzy. Zapakowałem więc oba ptaki i posłałem gońca do Bakebe, nakazując mu, żeby wrócił wczesnym rankiem następnego dnia.

Wrócił nazajutrz dokładnie w porze mojej porannej herbaty, przynosząc mi kartkę od Johna. Wynikało z niej, że mały jasnobrunatny ptaszek, jeden z gatunków drozdów, jest wielką rzadkością i będzie ozdobą naszej kolekcji. Mój towarzysz błagał, żebym ich zdobył jak

najwięcej. Kiedy sobie przypomniałem, jak bliski byłem wypuszczenia ptaka, który, jak się okazało, nosił wspaniałą nazwę *Geokichla camerunensis*, zrobiło mi się zimno. Natychmiast wezwałem łowcę ptaków i poinformowałem go, że dostanie ekstra zapłatę za każdego drozda z tego gatunku, jakiego przyniesie.

– Masa myśli o tym ptaku czerwonym na przodzie? – spytał.

– Nie, nie o tym, który miał znaczek na przodzie.

– Ale przecież masa mi powiedział, że go nie chce więcej – powiedział z pretensją łowca ptaków.

– Tak, wiem. Ale teraz chcę... dużo, dużo, słyszysz?

– Słyszę, sah – odparł zdumiony chłopak i odszedł, rozmyślając o dziwnych obyczajach białego człowieka.

Kiedy jadłem śniadanie, pojawił się Krawiec, prowadząc ze sobą krępego młodzieńca o szczupłej inteligentnej twarzy i dziwnych jasnożółtych oczach. Za nim szła sfera czterech łąciatych, chudych, nie czesanych nigdy psów o podejrzliwych ślepiach.

– To ten myśliwy, sir – powiedział Krawiec. – Przyprowadził psy.

Powitałem myśliwego i spytałem go, jak poluje z psami. Bez słowa wyjął z worka na plecach cztery małe drewniane kołatki i zawiesił je na szyjach psów, a kiedy te się poruszyły, kołatki wydały miły dźwięk.

– Taki pies – powiedział myśliwy – idzie w busz, łapie zapach zwierza i biegnie za nim szybko, szybko. W buszują go nie widzę, ale słyszę, ta rzecz robi hałas, i ja idę za nim. My tak łapiemy zwierze.

Brzmiało to dosyć niejasno i sam sposób polowania wydawał mi się bardzo wyczerpujący, ale postanowiłem go od razu wypróbować.

– Dobrze – powiedziałem – idziemy w busz i spróbujemy...

Weszliśmy w dżunglę, Krawiec, Żółtooki, ja i trzech ludzi, którzy nieśli worki i sieci. Psy biegły przed nami wśród drzew, węsząc na wszystkie strony. Szliśmy tak przez całą godzinę i nic się nie działo. Kiedy jeden z psów znalazł jakąś padlinę, wybuchła zażarta walka, ponieważ każdy chciał wytarzać się w tym paskudztwie. W końcu pogodziły się jakoś i dalej szliśmy w oparach mdlącego smrodu. Już zaczynałem się zastanawiać, czy polowanie z psami jest naprawdę czymś tak dobrym, jak twierdził Krawiec, kiedy najmniejsza z całej sfery suczka spuściła nos do ziemi, kilka razy ostro zaszczekałaś ruszyła naprzód w największą gęstwinę poszycia. Reszta z wywalonymi językami poszła za nią i psy wkrótce zniknęły nam z oczu. Z głośnym okrzykiem, który zapewne miał być zachętą dla psów, Żółtooki zanurzył się w gęstwinie lian i kolczastych roślin, za nim ruszył Krawiec i reszta ludzi. Jeśli nie chciałem zostać w tyle, musiałem zrobić to samo. Przeklinając psy, że wpadły na trop w tak gęsto zarośniętej części dżungli, brnąłem przez poszycie, potykając się i chwiejąc, kłuty co chwila

kolcami i gałęziami. Wkrótce dogoniłem tamtych, którzy biegli lekko i szybko, zwinnie omijając drzewa i przeciskając się wśród pnączy. Pędząca przed nami sfora milczała, z rzadka krótko poszczekując, słyszeliśmy jednak, że małe drewniane kołatki klekoczą jak szalone.

Biegliśmy tak chyba parę godzin, aż wreszcie zdyszani i spoceni zatrzymaliśmy się, nasłuchując i z trudem łapiąc powietrze. Psów nie było słyhać, kołatek też. Żółtooki zawołał kilka razy na psy przenikliwym falsetem, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi; najwyraźniej zgubiliśmy naszą sforę. Położyłem się na ziemi rad z tej przerwy, ciężko dysząc i zastanawiając się, kiedy serce wyskoczy mi z piersi. Żółtooki i Krawiec zniknęli w gęstwinie. Nagle poderwało nas na nogi słabe jodłowanie. Kiedy dołączyliśmy do Krawca i Żółtookiego, w oddali słyhać było kołatki. Popędziliśmy w dół po zboczu pokrytym wielkimi głazami i zwalonymi drzewami. Było to bardzo niebezpieczne, gdyż w każdej chwili groził nam upadek.

Nagle znaleźliśmy się na małej polanie i zobaczyłem przed sobą niezwykle widok: psy otaczały skałkę wysokości trzydziestu może stóp, porośniętą mchem i begoniami. Szczekając i wściekle warcząc, podskakiwały, żeby dosięgnąć skalnej półki, na której o jakieś dziesięć stóp nad nimi leżał, sycząc jak parowóz i waląc ogonem, wielki waran nilowy. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale z pewnością nie warana, gdyż zawsze sądziłem, że te wielkie jaszczurki żyją w dużych rzekach. W tym wypadku nie miałem jednak żadnych wątpliwości. Ten okaz wraz z ogonem miał około pięciu stóp długości. Wielkie cielsko wspierało się na krótkich łapach, a długi ogon drgał, gotów do zadania ciosu, gardło pęczniało za każdym syczącym wydechem, a długi, czarny rozdwojony język co chwila wysuwał się z pyska.

Ścigany waran najwidoczniej wdrapał się na skałę, gdzie nie mogły go dopaść psy. Dopiero na tej wąskiej skalnej półce zrozumiał, że nie uda mu się uciec wyżej. Psy szalały z podniecenia; co chwila skakały w górę, żeby się dostać do półki, zaciekle ujadając. Żółtooki odwołał je i przywiązał do małego drzewka, które aż się gięło i trzęsło od ich skowytu i szarpania. Wzięliśmy najmocniejszą siatkę na dwóch długich żerdziach i zarzuciliśmy ją na półkę. Kiedy opadała, waran skoczył w jej kierunku z otwartym pyskiem, wymachując ogonem, i zaplątał się w oczka sieci, po czym wraz z siecią spadł na ziemię z głośnym trzaskiem. Podskoczyliśmy do niego, ale gad nadal był bardzo aktywny; sieć spowijała go dość luźno, miał więc dużo miejsca, żeby kąsać i wymachiwać ogonem. Z wielkim trudem wyjęliśmy go z sieci, owinęliśmy w worki i obwiązaliśmy sznurami, a następnie zawiesili na dwóch żerdziach. Czarna chropowata skóra warana była usiana złotymi cętkami wielkości główki od szpilki, oczy złocistoczarne. Mocnych zakrzywionych pazurów mógłby mu pozazdrościć niejeden wielki drapieżny ptak. Triumfalnie zanieśliśmy zdobycz do obozu i długo w nocy robiłem wraz z Krawcem mocną drewnianą klatkę z żerdzi, żeby w niej odesłać go do Bakebe.

Zachęceni sukcesem następnego dnia wyruszyliśmy na łowy bardzo wcześnie. Psy znalazły trop prawie od razu. Biegliśmy za nimi chyba z milę, kiedy podobnie jak przedtem, nagle zginęły

w głębi dżungli i przestaliśmy je słyszeć. Dłuższy czas chodziliśmy w kółko, próbując je znaleźć. Nagle Żółtooki przystanął i z przekrzywioną głową w napięciu czegoś nasłuchiwał. Ja słyszałem tylko odległy szum wodospadu.

– One idą do wody – wydyszał Żółtooki – dlatego ich nie słyszemy.

Puściliśmy się biegiem. Szum wody nasilał się coraz bardziej i wkrótce, potykając się na kamienistym brzegu, dotarliśmy nad spieniony rwący strumień. Przed nami był wodospad; kaskada lśniącej wody spadała z wysokości jakichś pięćdziesięciu stóp na spiętrzone wielkie głazy, porośnięte zielonym mchem i bujną roślinnością. Wszystko wokół zamglone było pyłem wodnym, nad wodospadem wisiała mała niewyraźna tęcza, rozbłyskując i gasnąc wraz z pulsowaniem wody. Poprzez szum kaskady słyszeliśmy teraz klekot kołatek i nagle z niskiej roślinności między dwoma głazami wyłonił się jeden z psów, zjeżony, skowycząc przeraźliwie. Przeskakując po kamieniach przez spieniony nurt dotarliśmy do podnóża wodospadu i zaczęliśmy się szybko wspinać po śliskich skałach, żeby zbadać, co przyciągnęło psy. W niewielkiej plamie cienia, pomiędzy głazami leżał waran, który jednak w porównaniu z tym złapanym poprzedniego dnia wyglądał jak karzeł. Wygięty w wielki napięty łuk, był zupełnie nieruchomy, tylko żebra unosiły mu się regularnie. Pysk miał otwarty i nawet mimo szumu wody słyhać było jego syczenie. Wybrał świetne miejsce do obrony, gdyż z trzech stron broniły go skały, a pazury, ogon i pysk utrudniały frontalny atak. Wszystkie psy zdawały sobie z tego sprawę, z wyjątkiem młodej i głupiej suczki; ta, ujadając wściekle, wpadła w histeryczną brawurę, którą wzmogła jeszcze nasza obecność. Nim zdołaliśmy ją powstrzymać, skoczyła naprzód i udało jej się wbić zęby w luźną skórę na szyi warana. Gad smagnął ogonem i ostrymi zębami chwycił suczkę za ucho. Unieruchomiona w ten sposób, nie mogła się wyrwać. Powoli, ostrożnie waran podniósł się i obrócił, po czym wbił pazury wszystkich czterech łap w grzbiet nieszczęsnej sukki i przeorał go gwałtownym szarpnięciem. Suka zaskowyczała z bólu i puściła szyję gada, a wtedy on, ku memu zdumieniu, też zwolnił chwyt. Smagnął ją ogonem, aż się potoczyła niby zakrwawiona kula. Potem zaczęła się czołgać po kamieniach, drżąc i skomląc, aż wreszcie usiadła na brzegu strumienia, próbując wylizać sobie okropne rany na grzbiecie. Waran, z wyjątkiem zadrapania na szyi, był nietknięty i sprawiał wrażenie, że gotów jest w każdej chwili stoczyć następną walkę.

Zostawiłem Krawca, żeby pilnował gada, a sam z Żółtookim przywiązałem psy do drzewa i zacząłem przemywać rany sukki. Od połowy grzbietu aż do zadu miała siedem długich ran, jakby ktoś pociął ją ostrym nożem. Właśnie kończyłem ją myć, kiedy Krawiec zawołał, że waran się rusza. Wszyscy wróciliśmy do skały. Gad zrobił kilka kroków do przodu, ale kiedy nas zobaczył, natychmiast znów się cofnął. Kilka razy próbowałem zarzucić na niego sieć, ale nie mieliśmy dość miejsca, żeby się zamachnąć, i siatka ciągle opadała na kamienie. Pozostawało tylko jedno: wdrapać się na skałę nad nim i opuścić mu pętlę na łeb. Poleciłem ludziom, żeby

zarzucili sieć, jak tylko spuszcze pętlę, i zacząłem się wspinać na skałę. Musiałem się poruszać bardzo wolno i ostrożnie, gdyż kamienie były śliskie od wody, a mech usuwał mi się spod stóp. Wreszcie dotarłem do małego występu skalnego nad jaszczurką i przykucnąwszy, zawiązałem na końcu długiego sznura samozaciskającą się pętlę, po czym opuściłem ją nad łbem jaszczurki, znajdującej się o jakieś sześć stóp niżej. W podnieceniu drugi koniec sznura zostawiłem luźny, a przy tym zrobiłem jeszcze jedno głupstwo, mianowicie ukląknę na zwoju sznura... co sprawiło, że mój upadek był podwójnie sromotny.

Kiedy pętla znalazła się nad głową jaszczurki, zarzuciłem ją bardzo starannie i mocno ściągnąłem, czując wielki przyływ dumy, jaki zwykle poprzedza upadek. Gad, czując, że pętla się zaciska, szarpnął się w bok i wyrwał mi z ręki sznur, który podciął mi kolana. Upadłem na twarz i zacząłem się zsuwać po skałach w sposób bardzo śmieszny, a przy tym z coraz większą szybkością. Tuż przed lądowaniem w małym wąwozie, gdzie omal nie złamałem sobie kręgosłupa, odmówiłem krótką modlitwę, żeby gad, przerażony moim zjazdem, zaplątał się w sieć. Nie chciałem doprowadzić do następnego starcia z psami, pamiętając, jak waran rozprawił się z biedną suką. Na szczęście przeraził się i rzucił do przodu, prosto w sieć. Krawiec i Żółtooki skoczyli w stronę jego walącego ogona i tylnych łap i skrępowali go mocno. Kiedy był już mocno owinięty workiem i związany, zbadłem jego szyję, ale okazało się, że zęby psa tylko przecięły skórę.

Dwie olbrzymie jaszczurki stały się ozdobą naszej kolekcji, przede wszystkim z racji swych rozmiarów. W Bakebe mieliśmy kilka młodych waranów tego gatunku, ale były niczym w porównaniu z tymi nowymi okazami. Młode warany są smukłe i zręczne, ich skóra ma specyficzny odcień zielonoczarny, gęsto usiany skupiskami złocistożółtych plam. W miarę dorastania skóra przybiera kolor matowoczarny, a żółte plamy bledną i prawie zupełnie znikają. Z żywieniem ich nie było kłopotu, gdyż jadły wszystkie zabite ptaki i zwierzęta. Przepadały jednakże za jajkami i dzięki temu specjałowi wkrótce prawie się oswoiły: pozwalały mi nawet masować swoje szorstkie grzbiety i odrywać suche łuski skóry w czasie linienia.

Kiedy po kilku godzinach wróciliśmy do obozu, dowiedziałem się, że w pułapki złapało się bardzo wiele przeróżnych ptaków, w tym, ku mojej wielkiej radości, dwa drozdy z rodzaju *Geokichla*. Choć było już późno, uznałem, że trzeba jak najszybciej dostarczyć cenne ptaki Johnowi, zapakowałem więc je do klatek i wysłałem wraz z waranem. Tragarze zaczęli jęczeć i narzekać, że wysyłam ich o tak późnej porze. Powtarzali, że wkrótce zapadnie zmrok, a niższe partie góry znane są z wielkich i groźnych lampartów oraz podstępного i złośliwego dżu-dżu. Dałem im więc dodatkową latarnię, żeby odstraszała te niebezpieczeństwa, i wkrótce wyruszyli.

Ponieważ było jeszcze dość jasno, poszedłem na mały spacer, jakieś pół mili od obozu, i nagle znalazłem się na krawędzi stromej skały, liczącej może sto stóp wysokości. Wierzchołki drzew rosnących w dole sięgały krawędzi głazu, a ich gałęzie spletały się z rosnącym tu

poszyciem. Zostałem jakby nagle przeniesiony na górny poziom dżungli. Ukryłem się pod wielkim krzakiem, wyjąłem lornetkę i zacząłem badać listowie, poszukując oznak życia.

Leżałem tak dość długo, ale nic się nie działo. Gdzieś w dali, u stóp góry, słyszałem trąbienie dzioboroźców, potem słaby szelest, który zdawał się dobiegać zza moich pleców. Już miałem się obrócić, kiedy coś nagle wylądowało z szelestem na krzaku, pod którym leżałem. Znieruchomiałem. Przez kilka sekund panowała cisza i nagle rozległ się nade mną donośny okrzyk: „Oink!... Oink!” Zorientowałem się, że to stado koczokodanów mona. Przez następne pół godziny z zachwytem obserwowałem życie tych małp. O czymś takim można tylko marzyć.

Małpa siedząca na krzaku nade mną zapewne była przywódcą, gdyż był to duży samiec. Przez chwilę obserwował dżunglę poniżej skały, aż wreszcie, nie dostrzegłszy żadnego niebezpieczeństwa, krzyknął do reszty stada: „Wszystko w porządku!”, zeskoczył z krzaka i błyskawicznie zjechał po skale. Wylądował na górnych gałęziach drzewa, dokładnie na wprost miejsca, gdzie leżałem. Na kilka minut zniknął wśród liści, po czym ukazał się na gałęzi. Znalazł wygodne rozwidlenie, usiadł i rozejrzał się wokoło, wydając kilka głośnych pomruków.

Krzak nade mną natychmiast się zakołysał, kiedy usiadła na nim następna małpa. Zeskoczyła i zsunęła się po skale na szczyt drzewa, gdzie czekał stary samiec. Wszystko odbywało się w wielkim porządku: kiedy jedna małpa znalazła się na drzewie poniżej, druga pojawiała się w krzaku nade mną. Naliczyłem trzydzieści dorosłych osobników, wśród nich wiele samic z uczepionymi brzuchów młodymi. Słyszałem, jak malcy krzyczą, może ze strachu, a może z zachwytu, kiedy matki zsuwały się w dół. Gdy całe stado znalazło się na drzewie, małpy rozproszyły się i zaczęły jeść rosnące tu małe czarne owoce. Szły po gałęziach, zrywały owoce i wpychały do pyszczków dzieciom, stale rozglądając się wokół szybko, nerwowo, jak to mają w zwyczaju wszystkie małpy. Kilka większych małpiątek oddzieliło się teraz od matek i szło za nimi po drzewach, wołając żałośnie: „Łiik! Łiik!”, łamiącymi się głosikami. Starsze małpy porozumiewały się głośnym pomrukiem. Nie zaobserwowałem żadnych sporów. Czasem któraś wyrwała wyjątkowo dorodny owoc mniejszej, ale poza gniewnym pomrukiem ze strony poszkodowanej nic nie zakłócało ich spokojnej uczty.

Nagle rozległ się głośny szum i z dżungli poniżej nadleciały, trąbiąc, dwa dzioboroźce. Z minami ogłupiałych pijaków, tak dla nich charakterystycznymi, hałaśliwie obsiadły drzewo, spoglądając z zadowoleniem na małpy spod swoich przypominających wydłużone balony wielkich, obwisłych czubów. Potem, skacząc w tył po gałęziach, w sposób niezwykle delikatny zaczęły zrywać dziobami czarne owoce i przełykać je z odrzuconą do tyłu głową. Po każdym przełknięciu przysiadły i spoglądały przekornie na małpy wielkimi czarnymi oczami w oprawie ciężkich rzęs. Koczokodany całkowicie ignorowały tych obdartych błaznów z profilem a la Cyrano de Bergerac i nadal posilały się spokojnie. Przywykły do dzioboroźców, w Kamerunie bowiem są one dla małp tym, czym sępy dla lwów. Ilekroć się pożywia stado małp, wcześniej

czy później pojawia się kilka dzioborożców, głośno trąbiąc i z szumem machając skrzydłami, co słychać na milę wokoło. Małpy najwyraźniej nie lubią tego towarzystwa, ale muszą je znosić.

Wreszcie dzioborożce odleciały z wielkim trzepotem, a wkrótce również i przywódca koczokodanów doszedł do wniosku, że czas już odejść. Wydał kilka pomruków, matki przytuliły dzieci do brzuchów i zaczęły jedna za drugą zeskakiwać w dół, niknąc w gąszczu listowia. Przez pewien czas słyszałem, jak się posuwają przez dżunglę poniżej, przeskakując z drzewa na drzewo z takim szumem, że brzmiało to jak rozbijanie się ciężkich fal o skalisty brzeg. Kiedy wszystko ucichło, sztywny i zdrętwiały wyszedłem z mojej kryjówki, strząsnąłem z siebie gałązki i mrówki i ruszyłem przez mroczniejącą dżunglę do obozu.

XI

Dżu-dżu, które poskutkowało

Następne dwa dni spędziliśmy polując z psami, i dopisało nam niezwykle szczęście. Pierwszego dnia złapaliśmy młodego warana i dorosłego dujkera, a drugiego mieliśmy rzeczywiście wspaniałą zdobycz. Przez wiele godzin biegaliśmy jak wariaci w górę i w dół po zboczach, w ślad za psami, które pędziły tropami – jak nam się zdawało – prowadzącymi donikąd, i wreszcie zatrzymaliśmy się na odpoczynek wśród wielkich głazów. Zasapani, spoceni, usiedliśmy na kamieniach, a nasza wytrwała sfora, dysząc, leżała bezwładnie u naszych stóp. Kiedyśmy wreszcie zaczęli normalnie oddychać, jeden z psów wstał i skierował się w pobliście zarośla, skąd słyszeliśmy jego węszenie i kołatkę. Nagle głośno zaskowyczał i usłyszeliśmy, że biegnie przez busz; reszta sfory poderwała się natychmiast i z głośnym ujadaniem popędziła za nim. Szybko zebraliśmy nasze rzeczy, odrzucając na pół wypalone papierosy, i podążyliśmy za psami ile sił w nogach. Najpierw szlak prowadził w dół i biegliśmy po stromym zboczu, lawirując wśród wielkich głazów i korzeni. W pewnym momencie natknęliśmy się na zwisające nisko nad ścieżką wątłe drzewko; zamiast się schylić i przejść pod nim, jak to zrobili moi ludzie, ja odsunąłem je ręką. I wtedy ujrzałem przed sobą mrowie czarnych plamek i poczułem okropny ból na szyi i policzku. Na gałązce, którą tak beztrudno potraktowałem, wisiało ukryte pod liśćmi małe, wielkości jabłka, gniazdo leśnych os. Mieszkanki tych gniazd są szybkie i złośliwe, gotowe w każdej chwili do ataku, o czym się natychmiast przekonałem. Pobiegłem dalej, rozcierając policzek i szyję i klnąc przy tym soczyście. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że myśliwi widzieli gniazdo i przezornie je ominęli, sądząc, że ja również to uczynię. Od tej chwili pilnie ich naśladowałem, ale tymczasem pulsujący ból rozsadzał mi głowę.

Jak dotąd była to nasza najdłuższa pogoń. Biegaliśmy chyba przez godzinę i w końcu byłem tak wyczerpany i obolały, że było mi już wszystko jedno, czy coś złapiemy, czy nie. Wreszcie jednak dogoniliśmy sforę; psy zgromadziły się u wylotu leżącego na ziemi wypróchniałego pnia. Na widok zwierzęcia, które przykucnęło w otworze, warcząc cicho na psy, natychmiast się ożywiłem. Było wielkości angielskiego lisa, miało ciężki podobny do niedźwiedziego pysk i ładne okrągłe uszy. Jego długi umięśniony tułów był kremowej maści, tak samo jak głowa i ogon, a smukłe, delikatne nogi czekoladowobrązowe. Miałem przed sobą czarnonogą mangustę, należącą do zapewne najrzadszych mangust w Afryce Zachodniej. Kiedy się pojawiliśmy, rzuciła nam pogardliwe spojrzenie i uciekła w głąb pnia. Ledwie zniknęła, psy odzyskały wigor i rzuciły się do otworu, strasznie ujadając, ale żaden nie zapuścił się do środka.

Dopiero teraz myśliwi zauważyli, że zostałem pokąsany przez osy, gdyż twarz i szyja mi napuchły, a jedno oko zastygło w lubieżnym przymrużeniu. Stali wokół mnie, jęcząc i pstrykając palcami w dowód współczucia, i powtarzając co chwila: „Biedny sah!” Krawiec pobiegł do

pobliskiego strumyka i przyniósł mi wody, która znacznie złagodziła ból. Zabraliśmy się do wykarczania mangusty z jej twierdzy. Na szczęście pod korą drewno było suche, łatwe do porąbania. Umieściliśmy siatki u wylotu pnia, w drugim końcu wycięliśmy niewielką dziurę i rozpaliliśmy tam ogień z gałązek i liści. Krawiec zaczął energicznie machać wielkim pękiem liści, by wpędzić dym do otworu. Stopniowo dodawaliśmy zielonego opału i dym stał się gęstszy i bardziej gryzący. Wreszcie usłyszeliśmy, jak mangusta wewnątrz gniewnie kaszle. Wkrótce nie mogła już wytrzymać i wyskoczyła z kłębow dymu prosto w sieci. Wyplątanie jej zajęło nam sporo czasu, ale wreszcie znalazła się w worku i wyruszyliśmy do obozu, zmęczeni, ale w bardzo dobrym nastroju, a ja, uszczęśliwiony zdobyczą, zapomniałem nawet o osach.

Następnego dnia rano czułem się podle, głowa mnie bolała, twarz miałem tak spuchniętą, że ledwie widziałem, oczy mi łzawiły.

Nastrój jeszcze bardziej mi się pogorszył, kiedy okazało się, że tego dnia nic nie zdziałyśmy, ponieważ N'da Ali otuliła się wszystkimi chmurami, jakie były wokoło, i nawet kuchnia, znajdująca się o kilka kroków od mego namiotu, zniknęła zupełnie w mleczej wilgoci. Kiedy z trudem łykałem śniadanie, z mgły wyłonił się Pius w towarzystwie niskiego, pokraccznego, strasznie brzydkiego człowieka z wielkim koszem na głowie.

– Ten człowiek przyniósł zwierze, sah – powiedział Pius, patrząc ze współczuciem na moją twarz.

Mężczyzna podskakiwał i kłaniał się, ukazując w lisim uśmiechu okropne żółte pieńki. Nie spodobał mi się na pierwszy rzut oka, tym bardziej że kiedy otworzył kosz, przekonałem się, że w środku zamiast jakiegoś rzadkiego okazu znajduje się nędzny sparszywiak szczur z obciętym ogonem. Powiedziawszy, co myślę o tym zwierzęciu, wróciłem do przerwane go śniadania. Pius wraz z przybyszem coś tam szeptał na boku, a nieznajomy od czasu do czasu zerkał na mnie ukradkiem. Wreszcie Pius podszedł do mnie i powiedział:

– Przepraszam, sah, ten człowiek przyszedł z Fineszang i mówi, że ma coś powiedzieć masa.

Mężczyzna wysunął się naprzód, kłaniając się, uśmiechając i zaciskając pomarszczone dłonie.

– Masa, ludzie z Fineszang mocno źli, że masa przyszedł w to miejsce...

– I co z tego?

– Wczoraj rzucili dżu-dżu na masa...

– Co takiego?! – wrzasnął Pius i trzepnął przybysza po głowie tak mocno, że brudny kapelusz spadł mu na oczy. – Jakie dżu-dżu oni rzucili na masa, co?

– Żadne złe dżu-dżu – odparł spiesznie mężczyzna. – Tylko że masa nie złapie żadne zwierze w tym miejscu, nie ma szczęścia, ma deszcz za dużo, masa tu nie zostanie.

– Idź i powiedz ludziom w Fineszang, że się nie boję ich dżu-dżu – powiedziałem wściekły.

– Będę tu tak długo, jak będę chciał, słyszysz? A jeśli zobaczę tu kogoś z Fineszang, wezmę na

niego wielką strzelbę, słyszysz?

– Ja słyszę, sah – odparł mężczyzna, wijąc się – ale czemu masa krzyczy na mnie, ja tylko rozmawiam z masa.

– Mój przyjacielu, ja dobrze znam to gadanie o dżu-dżu, wiem, że dżu-dżu nie działa, a ty jesteś dla mnie nikim.

– Nie, sah, ja rozmawiam z masa.

– Masz wracać szybko do Fineszang albo inaczej z tobą pogadam. Słyszysz?

Mężczyzna zniknął błyskawicznie we mgle, a Pius spoglądał za nim ze strachem.

– Czy mam go zbić, sah? – spytał z nadzieją w głosie.

– Nie, zostaw go.

– Ik! Nie podoba mi się to dżu-dżu, sah.

Po raz pierwszy rzucono na mnie dżu-dżu i byłem ciekaw, co z tego wyniknie. Z całym naciskiem muszę podkreślić, że nie uważam dżu-dżu za nonsens i zabobon, gdyż w całej Afryce dżu-dżu jest potężną realną siłą i wiadomo, że potrafi wywołać trudne do wytłumaczenia zjawiska. Być może jest najbardziej skuteczne, wówczas gdy ofiara z nim współpracuje. Istotne jest to, żeby człowiek wiedział, iż rzucono na niego dżu-dżu, a wtedy, jeśli wierzy w jego magiczne działanie, gotów jest na rzeź. Odbywa się to następująco: do nieszczęsnego człowieka przychodzi „życzliwy” i mówi, że rzucono na niego dżu-dżu; jeżeli delikwent w to uwierzy, przez pewien czas żyje w okropnym napięciu. Potem stopniowo cała intryga zostaje mu ujawniona przez innych „życzliwych” (ci w Afryce są równie groźni jak ich europejscy odpowiednicy), nieszczęsny dowiaduje się, że będzie powoli słabnąć, aż wreszcie umrze. Jeżeli nadal będzie mocno wierzyć w skuteczność rzuconego czaru, rzeczywiście tak się stanie. Człowiek, który do mnie przyszedł, był właśnie jednym z takich „życzliwych” i teraz, kiedy zostałem uprzedzony o dżu-dżu, dalszy ciąg w jakiejś mierze zależał ode mnie. Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że dżu-dżu podziało, i to lepiej, niż można by się spodziewać, choć w jakim stopniu było to wynikiem moich podświadomych poczynań, a w jakim – zwykłym zbiegiem okoliczności, sam nie wiem.

Następnego dnia po południu opuchlizna mi zesłała i wraz z Krawcem oraz czterema innymi ludźmi poszliśmy pod wysokie skały o kilka mil od obozu. W skałach tych znajdowały się liczne jaskinie i zamierzaliśmy schwytać tam trochę nietoperzy, oraz zbadać, czy nie uda się złapać jeszcze innych zwierząt. N’da Ali odzyskała z powrotem dobry humor, dzień był promiennie słoneczny, a nawet wiał lekki wietrzyk, żeby nie było nam zbyt gorąco. Zapomniałem całkowicie o dżu-dżu... albo przynajmniej tak mi się zdawało.

Żeby zejść do jaskiń połączonych ze sobą siecią wąskich korytarzy, trzeba było się opuścić wąską sztolnią długości około czterdziestu stóp. Szybko się przekonaliśmy, że liny, któreśmy ze sobą zabrali, są zbyt krótkie, i musieliśmy uciąć sobie bardzo długie „sznury buszu”, cienkie

mocne pnącza, rosnące wszędzie w dżungli. Zwiąaliśmy kawałki tych pnączy i opuściliśmy się w szczelinę. Na dole rozdzieliliśmy się, każdy miał za zadanie precyzyjnie się przez jakiś tunel i zbadać różne skupiska jaskiń. Było tu mnóstwo nietoperzy, począwszy od malutkich owadożernych, aż po duże, ciężkie owocożerne, ale choć krążyły nad nami, przez dwie godziny żadnego nie udało nam się złapać.

Wędrując przez labirynt spotkałem Krawca, który stał wpatrzony w stos kamieni w kącie jednej z jaskiń. Podnieconym szeptem powiedział mi, że właśnie spostrzegł coś, co się na tych kamieniach rusza w górę, pod sklepieniem. Kiedy zaczęliśmy się zastanawiać, co należy zrobić, przyłączył się do nas jeszcze jeden z naszych ludzi; skierowaliśmy światło latarek na stos kamieni i przyjrzelśmy się uważnie, ale nic nie spostrzegliśmy.

– Jesteś pewien, że tam coś widziałeś? – spytałem Krawca.

– Tak, sah, na pewno. Coś jest na górze.

Nagle z przerażeniem zobaczyliśmy na szczycie głazów jakiś czarny zgarbiony kształt i usłyszeliśmy głośne mruczenie.

– To tygrys, sah – szepnął Krawiec.

Byłem skłonny przyznać mu rację, gdyż sądząc z wielkości tego kształtu, nie mogło to być nic innego. Słyszac to, nasz towarzysz uciekł z jaskini na powietrze, zostawiając mnie i Krawca, żebyśmy sami stawili czoło niebezpieczeństwu.

– To głupi człowiek – stwierdził Krawiec z pogardą, ale zauważyłem, że ręka, w której trzymał latarkę, lekko mu drży. Sam nie wiedziałem, co zrobić, gdyby lampart okazał się złośliwy. Strzelanie do niego byłoby bardzo ryzykowne, gdyż w tego rodzaju jaskini mogłoby spowodować zawalenie się całego stropu. Osobiście wolałbym raczej spotkać się z lampartem niż zostać zabity przez ileś ton skały... lub żywcem pogrzebany.

Tymczasem czarny zgarbiony kształt ukazał się znowu, po czym zniknął za skalnym rumowiskiem, a myśmy słyszeli tylko słaby grzechot osuwających się kamieni. W ciemnościach nie mogliśmy się zorientować, gdzie zwierzę się znów ukaze, i już miałem dać sygnał do strategicznego odwrotu, kiedy nad głazami ukazała się głowa. Patrzyła na nas przez chwilę i wreszcie się odezwała:

– Masa, ja złapałem zwierze.

Był to Abo, najmniejszy, dotychczas całkiem nieprzydatny chłopak. Wspiął się na szczyt tych głazów w pogoni za szczurem. Pełznąć na brzuchu, gonił gryzonia wśród kamieni, a poruszający się wypukły kształt, który widzieliśmy, to był jego tyłek. Z trudem przeciskając się pomiędzy kamieniami, stękał głośno z wysiłku, co wzięliśmy za pomruk drapieznika. Obaj z Krawcem zaczęliśmy się histerycznie śmiać, ja aż osłabłem ze śmiechu, a Krawiec zataczał się po jaskini z twarzą zalaną łzami i z radości uderzał się po udach.

– Ik... eechh! Abo, masa o mało cię nie zabił. Ik... eechh! Abo, ale z ciebie dobry tygrys... –

Krztusił się ze śmiechu.

Abo zszedł na dół i pokazał mi małego szczurka.

– Ja myślę, że go trochę zraniłem, masa – powiedział. Okazało się jednak, że nie docenił swej siły – szczur był martwy.

Kiedy tak staliśmy, rozglądając się, czy nie ma w pobliżu więcej takich szczurów, na zewnątrz rozległo się uderzenie pioruna i przetoczyło się posepnym echem w jaskiniach i korytarzach. Kiedy dotarliśmy do naszej naturalnej sztolni, było ciemno i ponuro; nad nami wokół wielkich skał kłębiły się nabrzmiące deszczem wielkie, czarne chmury. Pomagając sobie nawzajem, wydostaliśmy się na górę najszybciej, jak się tylko dało, i zaczęliśmy pakować ekwipunek do worków. Nagle tuż nad naszymi głowami uderzył piorun, wstrząsając, jak nam się zdawało, posadami N'da Ali, i zaraz potem chmury zniżyły się i lunął lodowaty deszcz. Nigdy w życiu nie widziałem jeszcze tak ulewnego deszczu – w mgnieniu oka cienkie ubrania mieliśmy mokrzuteńkie, a zęby szczękały nam z zimna. Nagle niebo przecięła błyskawica i rozległ się okropny grzmot, a gdzieś w głębi dżungli usłyszałem wrzask szympansa, donośny protest przeciw takiej pogodzie.

Ludzie chwycili pakunki i ruszyliśmy w dół, kierując się w stronę obozu. Nie uszliśmy jednak nawet pięćdziesięciu stóp, kiedy pośliznąłem się na zalanej deszczem skale i potoczyłem się po zboczu. Kiedy wreszcie, potłuczony i podrapany, zatrzymałem się na jakimś drzewie i wstałem, prawa noga ugięła się pode mną i poczułem okropny ból. Przez chwilę myślałem, że jest złamana, ale okazało się, że tylko zwicchnąłem ją w kostce. Ale i tak było to fatalne, gdyż z bólu nie mogłem na niej stanąć. Leżałem tak wśród smaganych deszczem, gnących się drzew, otoczony grupką trzęsących się z zimna ludzi, którzy rozcierali mi nogę. Znajdowaliśmy się o przeszło cztery mile od obozu, a moja kostka puchła w oczach. Było oczywiste, że nie możemy tu zostać dłużej, a jeszcze do tego uświadomiłem sobie, że nisko wiszące nad górą burzowe chmury sprowadzą zmrok szybciej, niż się spodziewaliśmy. Posłałem Krawca, żeby wyciął jakieś młode drzewko i zrobił mi z niego coś w rodzaju kuli. Opierając się na niej, podtrzymywany z drugiej strony przez Krawca, zacząłem kuśtykać, choć było to bardzo bolesne, i tak szliśmy powoli wśród ociekających wodą drzew. Wkrótce dotarliśmy do mniej więcej równego terenu dżungli i wtedy usłyszeliśmy chłupot wartko płynącej wody. Zdumiało mnie to bardzo, gdyż jedyny strumyk, przez jaki przechodziliśmy, idąc pod górę, był płytki i szeroki, sięgający ledwie do kostek, natomiast szum, który do nas dolatywał, świadczył, że jest to wezbrany, rwący potok. Spojrzałem pytająco na Krawca.

– Ta mała woda zrobiła się duża – wyjaśnił.

Po raz pierwszy w życiu widziałem, jak szybko potok, zwłaszcza górski, może „zrobić się duży” podczas silnej ulewy. Strumyk, przez który przeszliśmy rano, płytki jak kąpielisko dla ptaków, był teraz żółta, sięgająca nam prawie do pasa kipiela, w której wokół głazów kłębiły się

gałęzie, korzenie, liście i połamane kwiaty. Najpłytsze miejsce do przeprawy było tam, gdzie kończyła się zalesiona równina i strumień spływał w dół po odartym przez silny prąd z liści kamienistym podłożu. Najpierw poszli nasi ludzie, a kiedy się bezpiecznie przeprawili, ruszyliśmy z Krawcem za nimi. Szliśmy powoli, a ja, nim zrobiłem krok naprzód, badałem dno kijem. Kiedy znaleźliśmy się w połowie drogi, okazało się, że właśnie tutaj prąd jest najsilniejszy, gdyż woda przeciska się między dwoma wielkimi głazami. Ledwie oparłem kij na małym kamieniu, ten się usunął, kij wyleciał mi z ręki, a ja, padając na twarz w wodę, już widziałem w wyobraźni, jak prąd unosi mnie w dół.

Na szczęście Krawiec chwycił mnie za ramię i dzięki temu woda nie porwała mnie w ślad za kijem. Owszem, upadłem, ale Krawiec szarpnął mnie tak mocno, że sam omal się nie przewrócił. Schylony nisko, żeby zachować równowagę, zaczął rozpaczliwie wzywać pomocy. Ludzie wrócili, wskoczyli z powrotem do strumienia i wyciągnęli mnie na brzeg. Przemoknięci, zdyszani i drżący, ruszyliśmy w kierunku obozu.

Najgorsze było ostatnie pół mili, gdyż musieliśmy się zsuwać ze skarpy, pełznąć od głazu do głazu, wreszcie jednak ujrzyliśmy wąski szmat równego terenu, gdzie był nasz obóz. Tylko perspektywa suchego ubrania, gorącego jedzenia i picia skłaniały mnie do marszu. Ale kiedy dotarliśmy na miejsce, ujrzyliśmy rozpaczliwy widok: niepozorny srebrzysty strumyk, który dotąd szemrał cichutko o dwadzieścia stóp od mego namiotu, był teraz potężną ryczącą rzeką, która wystąpiła z brzegów i zalała wszystko dokoła. Małe chatki tragarzy zostały zmiecione bez śladu; pół kuchni było całkowicie zniszczone, a w pozostałej części woda sięgała do kolan. Tylko mój namiot ocalał, gdyż ustawiony był na niewielkim wzniesieniu, ale i on był zamoknięty i otoczony grzęzawiskiem. Nie było suchego drewna, żeby rozniecić ogień, toteż jedzenie można było podgrzać jedynie na mojej wielkiej lampie. W tej sytuacji pozostało nam tylko jedno: wszyscy wpełzliśmy do mojego namiotu... ja i dwunastu Afrykanów znaleźliśmy się na powierzchni przeznaczonej dla najwyżej dwóch osób! Podgrzaliśmy na lampie czekoladę i piliśmy ją z rozmaitych naczyń, począwszy od cynowych kubków, a skończywszy na miskach dla zwierząt. Siedzieliśmy tak trzy godziny, a deszcz walił w napięte, mokre płótno, aż wreszcie stopniowo ustał i góra ukazała się otulona w zwoje białej chmury. Tragarze żwawo się zabrali do odbudowywania swych chatek i obserwując ich, nagle po raz pierwszy pomyślałem o dżu-dżu. No cóż, pierwszą rundę wygrało: moja noga była w bardzo kiepskim stanie, a deszcz prawie uniemożliwił nam łowy. Miałem bardzo złą noc, nazajutrz lało bez przerwy od świtu do zmroku, a noga bolała mnie nadal. Z wielkim ociąganiem podjąłem wreszcie decyzję: trzeba się poddać dżu-dżu i wycofać. Na dole w Bakebe przynajmniej noga mi wydobrzeje i będę mógł z pożytkiem pracować. Dalsze siedzenie pod szczytem N'da Ali było bez sensu. Oznajmiłem więc, że się pakujemy, i powiedziałem, że następnego dnia ruszamy w drogę powrotną, z czego wszyscy, z wyjątkiem mnie, byli bardzo zadowoleni.

Kiedy wyruszyliśmy następnego dnia, ranek był promienny, a niebo bezchmurne, słońce pięknie świeciło. Nie wiadomo skąd, pojawiła się chmara maleńkich komarów, które przez dłuższy czas kąsały nas niemiłosiernie. Na szczęście zniknęły, kiedy dotarliśmy do dżungli u podnóża N'da Ali, równie tajemniczo, jak się pojawiły.

Kuśtykając drogą wiodącą w dół do Bakebe, pocieszałem się myślą, że przynajmniej dostałem w prezencie od góry kilka ciekawych okazów. Obejrzałem się na nią: w przezroczystym porannym świetle wydawała się tak blisko, że można by jej dotknąć ręką i palcami przeczesać gęste runo dżungli. Jej skaliste zbocza lśniły w słońcu i tylko srebrzysto wijące się nitki wodospadów przypominały o straszliwej nawałnicy.

XII

Życie i śmierć Cholmondeleya

Na krótko przed naszą wyprawą z chaty na szczycie wzgórza w Bakebe i przenosinami do ostatniego obozu w Rumbie przybył do nas niezwykle gość: Cholmondeley, zwany przez przyjaciół Chumleyem.

Chumley był dorosłym szympansem; jego właściciel, zarządca okręgu, napisał do nas, że tak duża małpa jest bardzo kłopotliwa, toteż chciałby ją wysłać w prezencie londyńskiemu zoo i odwiedzać Chumleya podczas urlopu w Anglii. Zapytał, czy zechcemy zabrać Chumleya i umieścić go w zoo w Londynie. Oczywiście zgodziliśmy się. Jednak ani John, ani ja sam nie mieliśmy wcale pojęcia, jak duży jest Chumley. Sądziłem, że zapewne liczy mniej więcej trzy lata, a więc stojąc, ma około trzech stóp wzrostu, i doprawdy przeżyłem wielki szok, kiedy się pojawił. Przybył małą ciężarówką, siedząc spokojnie w wielkiej klatce. Kiedy drzwi klatki otwarto i Chumley wyszedł z wdziękiem i pewnością siebie gwiazdy filmowej, zdumiałem się: stojąc na ugiętych nogach, w normalnej dla szympansa pochylonej pozycji, sięgał mi do pasa; gdyby się wyprostował, jego łeb sięgałby mi do piersi. Miał potężne ramiona, a obwód jego kudłatej piersi był chyba dwa razy większy niż mojej. Z powodu wadliwego uzębienia jego twarz była nadmiernie po obu stronach rozrośnięta, tak że wyglądał jak jakiś niesamowity bokser. Oczy miał małe, głęboko osadzone, inteligentne, czubek głowy prawie łysy, ponieważ, jak się później przekonałem, miał zwyczaj obiema dłońmi pocierać sobie czaszkę, co najwyraźniej sprawiało mu wielką przyjemność i co robił tak często, że całkiem wytarł sobie włosy na ciemieniu. Nie był to młody szympan, jak się spodziewałem, lecz dorosły osobnik, liczący osiem, może dziewięć lat, silny jak mężczyzna i, sądząc po wyrazie jego twarzy, o sporym doświadczeniu życiowym. Choć nie był specjalnie przystojny (widywałem znacznie przystojniejsze szympansy), z pewnością miał wybitną osobowość: wystarczyło na niego spojrzeć, żeby się o tym przekonać. W jego małych oczkach malowała się wielka inteligencja i nawet coś na kształt ironicznego uśmiechu, co sprawiło, że poczułem się jakoś nieswojo.

Stał na ziemi i lustrował swoje nowe otoczenie byстрым wzrokiem, następnie ze znudzonym wyrazem twarzy, jaki widuje się czasem u osób z wyższych sfer, odwrócił się do mnie i wyciągnął miękką różową dłoń, żebym ją uścisnął. Na szyi miał gruby łańcuch, który przerzucony przez tylną burtę ciężarówki niknął w głębi jego klatki. W wypadku zwierzęcia o słabszej osobowości niż Chumley, byłaby to oznaka jego poddaństwa, niewoli. Ale Chumley nosił swój łańcuch z wyniosłą miną lorda. Po fachowym uściśnięciu mi ręki odwrócił się i zaczął wyciągać z klatki łańcuch, który miał chyba piętnaście stóp. Zwinął go starannie na jednej ręce i wszedł do naszej chaty, jakby był prawowitym właścicielem. W ten sposób już w chwili swego przybycia Chumley dał nam odczuć naszą niższość; wszedł do chaty, nie dlatego że myśmy tego

chcieli, ale dlatego że on tak chciał. Kiedy znalazł się w środku, niemal miałem ochotę przeprosić go za to, że na stole jest nieporządek.

Usiadł w fotelu, łańcuch spuścił na podłogę i spojrzał na mnie z wyrazem oczekiwania. Było jasne, że po długiej podróży oczekiwał na jakiś orzeźwiający napój. Krzyknąłem do kuchni, żeby zrobili herbatę, gdyż byłem uprzedzony, że Chumley bardzo ją lubi. Zostawiłem go w fotelu, lustrującego nasze skromne pomieszczenie z wyrazem ledwie ukrywanego obrzydzenia, i poszedłem do jego klatki. Znalazłem w niej cynowy talerz i zniszczony cynowy kubek kolosalnych rozmiarów. Kiedy wróciłem z nimi do chaty, Chumley bardzo się ucieszył i nawet wielkodusznie wyraził uznanie dla mojej inteligencji.

– Uuuuu, umf! – powiedział, po czym skrzyżował nogi i kontynuował inspekcję chaty. Usiadłem naprzeciw i sięgnąłem po paczkę papierosów. Kiedy wyjąłem papierosa, nad stołem wyciągnęła się długa czarna ręka i Chumley zaczął chrząkać z radością. Ciekawy, co robi, podałem mu papierosa, a on ku mojemu zdumieniu umieścił go starannie w kąciku ust. Zapaliłem swego papierosa i podałem Chumleyowi zapalki, przekonany, że go tym zaskoczę. Ale on otworzył pudełeczko, wyjął jedną zapalkę, potarł ją fachowo o bok pudełka, przypalił, rzucił zapalki na stół, znów skrzyżował nogi i rozparł się wygodnie w fotelu, zaciągając się powoli, z namysłem, i wydmuchując nosem kłęby dymu. Najwyraźniej miał pewne braki w wychowaniu, o czym nie zostałem poinformowany.

Właśnie w tym momencie wszedł Pius z herbatą na tacy; kiedy zobaczył, że siedzę przy stole z palącym papierosa szympansem i najwyraźniej z nim rozmawiam, osłupiał.

– Ik... eechh! – wyszeptał, cofając się.

– HUUUU... hu – powiedział Chumley na widok herbaty, wymachując przy tym energicznie ręką.

– Co to jest, sah? – spytał Pius od progu.

– To Chumley – wyjaśniłem. – Nie robi ci krzywdy. Postaw tacę na stole.

Pius zrobił, jak mu kazałem, i znów uciekł do drzwi. Kiedy nalewalem herbatę i mleko do kubka i dodawałem trzy łyżeczki cukru, Chumley patrzył na mnie z błyskiem w oku i cicho pod nosem mówił „uuuu”. Podałem mu kubek, wziął go ostrożnie w obie ręce. Przez chwilę, kiedy próbował pozbyć się papierosa, czego nie mógł zrobić, trzymając oburącz kubek, był lekko zmieszany. Rozwiązał ten problem, kładąc papierosa na stole. Potem ostrożnie wysunął dolną wargę, żeby posmakować i sprawdzić, czy herbata nie jest zbyt gorąca. Ponieważ okazało się, że tak, podmuchał na nią, by uzyskać właściwą temperaturę. Kiedy wypił, na dnie została warstwa nie rozpuszczonego cukru; zasadą Chumleya najwidoczniej było nic nie marnować, zaczął więc balansować kubkiem na nosie, aż syrop spłynął mu do ust. Wtedy podał mi kubek, żeby mu jeszcze nalać.

Klatka Chumleya została umieszczona w wygodnym punkcie, o jakieś pięćdziesiąt jardów

od chaty, w pobliżu wielkiego sękatego pnia, do którego przyczepiłem jego łańcuch. Z tego miejsca miał dobry widok na wszystko, co się działo w chacie i wokół niej. Kiedy pracowaliśmy, wykrzykiwał do mnie swoje komentarze, a ja mu odpowiadałem. Już pierwszego dnia wywołał wielkie zamieszanie; ledwie go uwiązałem i poszedłem do chaty, wśród małp wybuchł wielki rwetes. Wszystkie były przywiązane sznurami w stojącej naprzeciw chaty szopie z dachem z liści palmowych. Kiedy opuściłem Chumleya, najwyraźniej zaczął się nudzić, rozejrzał się więc wokoło i zauważył leżące w pobliżu kamienie. Nazbierał ich i zaczął ćwiczyć pchnięcie kulą. Słyszając przeraźliwe krzyki i jazgot mandryli i koczokodanów, zaniepokojony wybiegłem na dwór akurat w momencie, kiedy wylądował wśród nich kamień wielkości główki kapusty, na szczęście nie robiąc im krzywdy. Gdyby jeden z tych wielkich kamieni trafił w którąś z małp, zostałaaby zmiażdżona. Złapałem kij i zacząłem gonić Chumleya, krzycząc nań i starając się wyglądać bardzo groźnie, choć przez cały czas zastanawiałem się, co będzie, jeśli spróbuję ukarać zwierzę prawie mego wzrostu, dwukrotnie ode mnie silniejsze, uzbrojony tylko w krótki cienki kij. Jednak ku memu zdumieniu Chumley na mój widok przypadł do ziemi i zasłonił sobie twarz i głowę długimi rękami, krzycząc na całe gardło. Trzepnąłem go dwa razy kijem po grzbiecie, co miało mniej więcej taki skutek, jakbym próbował zniszczyć katedrę Świętego Pawła wykałaczką. Plecy miał szerokie, płaskie, a mięśnie twarde jak żelazo.

– Jesteś bardzo niedobry – powiedziałem z największą surowością, a Chumley, widząc, że to już koniec kary, usiadł i zaczął czyścić się z liści.

– HUUUU... – powiedział, patrząc za mnie z zawstydzeniem.

– Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, to cię naprawdę mocno zbije – ciągnąłem, zastanawiając się, czy w ogóle jakiś kij może zrobić na nim wrażenie.

– Arr... uuu – odparł Chumley. Przysunął się do mnie, przykucnął i zaczął mi podwijać nogawkę, oglądając łydkę w poszukiwaniu jakichś plamek, brudu lub czegoś w tym rodzaju. Kiedy był tym zajęty, wezwałem ludzi z obsługi zwierząt i kazałem im wybierać wszystkie kamienie w pobliżu. Potem jeszcze raz wygłosiłem przemowę do szympansa i odszedłem, ale potem zauważyłem, że kopie z zapalem w ziemi koło klatki, zapewne szukając kamieni.

Tego wieczoru, kiedy przyniosłem Chumleyowi jedzenie i herbatę, powitał mnie głośnym pełnym zachwytu „huuu” i zaczął biegać wokoło, podpierając się napiętkami obu rąk. Nim zabrał się do jedzenia, chwycił moją dłoń i podniósł do ust. Z pewnym niepokojem patrzyłem, jak jeden mój palec wkłada sobie między zęby, ugryzł go delikatnie, i wtedy zrozumiałem, o co chodzi: w świecie szympanсів włożenie palca do pyska innej małpy i zrobienie tego samego z jej palcem jest pozdrowieniem i oznaką zaufania. Tak więc Chumley zrobił mi zaszczyt, traktując jak swego pobratymca. Z wielką ochotą zabrał się do jedzenia, a kiedy skończył, usiadłem koło niego na ziemi, on zaś zaczął starannie przeszukiwać moje kieszenie, oglądając wszystko, co w nich znalazł.

Kiedy doszedłem do wniosku, że już czas, żeby szedł spać, nie chciał mi oddać chustki do nosa. Trzymał ją za plecami i przekładał sobie z ręki do ręki, kiedy próbowałem mu ją zabrać. Potem nagle włożył ją sobie szybko do pyska, przekonany, że to załatwi całą sprawę. Wiedziałem, że jeśli choć raz pozwolę mu zatrzymać chustkę, dojdzie do wniosku, że zawsze będzie mógł zabierać mi wszystko, więc przez całe pół godziny siedziałem, prosząc go i przymilając się, aż wreszcie z wielkim ociąganiem wypluł bardzo mokrą i zmiętą chustkę. Od tej pory nie miałem już więcej z nim kłopotów; jeśli bawił się czymś, co było mi potrzebne, wystarczyło, że wyciągnąłem rękę i poprosiłem go, a on natychmiast mi oddawał.

Znam mnóstwo interesujących i uroczych zwierząt, począwszy od myszy, a skończywszy na słoniach, ale nigdy nie spotkałem żadnego zwierzęcia, które dorównywałoby Chumleyowi siłą i urokiem osobowości, jak również inteligencją. Wkrótce zacząłem go traktować nie jak zwierzę, lecz raczej jak czarodzieja, przekornego, dwornego starszego pana, który dla jakiegoś sobie tylko znanego powodu przebrał się za szympansa. Maniery miał doskonałe: nigdy nie chwycił jedzenia i nie rzucał się na nie łapczywie, jak to robią inne małpy, dopóki mnie nie powitał i nie podziękował, pokrzykując serdecznie „huu, huu”. Jedyne odstępstwo od dobrych manier przy stole miało miejsce po zakończeniu posiłku, kiedy chwycił swój pusty kubek i talerz i odrzucał je, jak mógł najdalej.

Miał też wiele innych obyczajów, dzięki którym wydawał się jeszcze bardziej ludzki, w tym przede wszystkim palenie. Potrafił zapalić sobie papierosa nie tylko zapalkami, ale i zapalniczką, a potem kładł się na plecach, z jedną ręką pod głową, z nogą na nodze, i wydmuchiwał wielkie kłęby dymu, od czasu do czasu fachowo oglądając papierosa, żeby sprawdzić, czy nie trzeba strząsnąć popiołu. Jeśli tak, robił to bardzo ostrożnie paznokciem jednego palca. Kiedy mu dałem butelkę lemoniady i szklankę, nalewał sobie napój z wielką starannością i skupieniem, jak prawdziwy barman mieszający koktajle. Był jedynym zwierzęciem, jakie znałem, które chciało się ze mną dzielić tym, co miało: kiedy dawałem mu pęk bananów albo kilka owoców mango, brał jeden owoc i podawał mi z pytającym wyrazem twarzy, a jeśli wziąłem i usiadłem na ziemi koło niego, żeby go zjeść, chrząkał z zadowoleniem.

Chumley żywił awersję tylko do trzech rzeczy: kolorowych ludzi, krocionogów i węży. Tubylców tolerował, ale miał wielką uciechę, kiedy udało mu się ściągnąć ich w pobliże siebie, a potem wyskoczyć na nich z wielkim wrzaskiem. Nigdy jednak, o ile mi wiadomo, nie zrobił im żadnej krzywdy, po prostu lubił patrzeć, jak uciekają przerażeni. W odwecie drażnili go przy każdej okazji, a wtedy Chumley wpadał w wielki gniew, sierść mu się jeżyła, kiwał się z boku na bok i wymachiwał swoimi potężnymi rękami, szczerząc wielkie zęby. Nie daj Boże, by w tym momencie któryś z tubylców zbliżył się do niego.

Krocionogi fascynowały go, ale nigdy nie odważył się całkowicie im zawierzyć. Krocionóg przypomina małą porcję czarnego budyniu z frędzlą odnóży (sto albo i więcej par),

umieszczonych pod spodem; z przodu mają parę krótkich czulek. Są to całkiem niegroźne stworzenia, które żywią się zbutwiałym drewnem. Ponieważ jednak poruszają się podobnie jak węże, budziły niepokój Chumleya, choć zdawał on sobie sprawę, że to nie są węże. Kiedy umieszczałem dwa takie krocionogi na jego klatce, siadał i wpatrywał się w nie godzinami, zaciskając wargi i drapiąc się co chwila. Gdy któryś z nich spadał na ziemię i zaczynał iść w jego kierunku, zrywał się na nogi i cofał, na ile mu pozwalał łańcuch, krzycząc głośno, żebym go ratował przed tym okropnym potworem.

Oczywiście węże niepokoiły go znacznie więcej i naprawdę był przestraszony, kiedy widział, że się któryś zajmuje; krzyczał żałośnie i wyłamywał sobie palce u rąk, dopóki nie odłożyłem węża. Jeśli potem pokazywałem mu ręce, zawsze oglądał je bardzo uważnie, chyba po to, żeby sprawdzić, czy nie zostałem ukąszony. Jeśli wąż znalazł się w pobliżu, Chumley niemal dostawał ataku, włosy mu się jeżyły, jęczał, a kiedy wąż się zbliżał, rzucał w niego kępami trawy i patykami, na próżno starając się go zatrzymać. Pewnego wieczoru stanowczo odmówił wejścia do klatki, co nigdy dotąd się nie zdarzyło. Kiedy próbowałem wepchnąć go siłą, sądząc, że to taka zabawa, zaprowadził mnie do drzwiczek klatki i wskazał coś ręką, głośno pohukując, wyraźnie przestraszony. Obejrzałem uważnie jego posłanie z kory i liści bananowych i znalazłem tam zwiniętego małego ślepego węża ryjącego. Było to całkiem niegroźne stworzenie, ale Chumley wolał nie ryzykować.

Wkrótce po przybyciu do nas Chumley przestał jeść, był osowiały i cały dzień spędzał skulony w swojej klatce. W ciągu dnia wypijał tylko pół kubka wody. Byłem wtedy nieobecny i rozpaczliwe wezwanie Johna skłoniło mnie do spieszego powrotu; mój przyjaciel nie wiedział, co dolega małpie i czy nie jest poważnie chora. Natychmiast zacząłem kusić Chumleya różnymi przysmakami, gdyż wyraźnie schudł. Wysłałem ludzi na poszukiwanie dojrzałych owoców mango i papai i osobiście przyrządzałem mu delikatne sałatki owocowe. Ale Chumley nie chciał jeść. Trwało to prawie tydzień i już myślałem, że go stracimy. Co wieczór zmuszałem go do spaceru, ale był tak osłabiony, że po paru krokach siadał, żeby odpocząć. Wiedziałem, że będzie fatalnie, jeśli straci zainteresowanie życiem, gdyż w takim przypadku każda małpa jest stracona. Pewnego wieczoru przed pójściem na spacer, otworzyłem puszkę herbatników i kilkanaście schowałem do kieszeni. Przeszliśmy kawałek, Chumley usiadł, ja koło niego. Przez jakiś czas oglądaliśmy razem piękny widok, potem wyjąłem herbatnik i zacząłem go jeść. Chumley obserwował mnie uważnie, zdziwiony, że go nie poczęstowałem, ale ja spokojnie zjadłem herbatnik i ze smakiem oblizywałem usta. Przysunął się do mnie i zaczął mi szperać po kieszeniach, co już było dobrym znakiem, gdyż nie robił tego ani razu od dnia, kiedy zachorował. Znalazł herbatnik, wyciągnął go i ku mojej radości zjadł. Potem znów zaczął grzebać w kieszeniach, wyciągnął następny i znów go zjadł. W sumie zjadł sześć herbatników i przez następne cztery dni żywił się tylko nimi i pił wodę. Wreszcie nadszedł ranek, kiedy wypił

swój pierwszy kubek herbaty, a potem zjadł dwa banany. Wtedy byłem pewien, że wyzdrowieje. Apetyt szybko mu wrócił i po dwóch tygodniach Chumley wrócił do normy. Byłem bardzo rad, że udało nam się wyciągnąć go z tej choroby, gdyż wkrótce mieliśmy wyruszyć do Kumby, a tak osłabiony z pewnością nie wytrzymałby tej podróży.

Nadszedł dzień naszego wyjazdu z Bakebe. Kiedy Chumley zobaczył ciężarówkę, która przyjechała po naszą menażerię, zrozumiał, że czeka go najbardziej ulubiona rozrywka – jazda ciężarówką. Podniecony pohukiwał i tańczył na końcu swego łańcucha, i wybijał szalony rytm na klatce, robiąc jak największy hałas, tylko po to, żebyśmy o nim nie zapomnieli. Kiedy już wszystko zostało załadowane, a jego klatka wciągnięta na ciężarówkę, wszedł do niej, krzycząc z radości. Ruszyliśmy. Nasi ludzie, oparci o burty ciężarówki, swoim zwyczajem zaczęli głośno śpiewać. Chumley przyłączył się do nich, długo, melodyjnie krzycząc, co niezwykle rozbawiło naszych Afrykanów, a pomocnik kucharza dostał takiego ataku śmiechu, że wypadł z ciężarówki i musieliśmy się zatrzymać, żeby go zabrać. Był utyłany w kurzu, ale nie przestał się śmiać. Na szczęście nie jechaliśmy zbyt szybko.

W Kumbie dzięki uprzejmości wielbnego pastora Paula Schiblera i jego żony mieliśmy do dyspozycji trzy budynki szkolne, należące do misji Bazylea. Kiedyśmy się wprowadzali do tych domów, jak zawsze na początku organizowania nowego obozu przez pewien czas panował całkowity chaos, a jedną z mnóstwa rzeczy, których należało dopilnować, była sprawa wody. Zatrudniliśmy nosiwodę, daliśmy mu bańki i pouczyliśmy, że będzie musiał nosić dwa razy tyle wody co zwykle. Chumley całkiem wyraźnie dawał do zrozumienia, że naprawdę bardzo jest spragniony. Był przywiązany na dworze i zebrał się wokół niego tłum krajowców, którzy nigdy dotąd nie widzieli dorosłego szympansa. Zdesperowany otworzyłem butelkę piwa i podałem mu ją, a on ku memu zdumieniu powitał to okrzykami radości i napił się, zlizując pianę z warg. Im bardziej obniżał się poziom piwa w butelce, tym bardziej Chumley się popisywał i tym większy narastał wokół niego tłum. Wkrótce zaczął fikać koziółki, a potem wykonywać dziwny posuwisty taniec, klaszcząc przy tym w dłonie. Był ochlapany pianą z piwa i bardzo z siebie zadowolony. Ale ten taneczny występ przysporzył mi wiele kłopotów, gdyż Chumley wytrzeźwiał dopiero po kilku godzinach, a poza tym aż trzech policjantów musiało rozpędzić tłum, liczący około dwustu osób, które zgromadziły się wokół naszych domów, utrudniając nam pracę. Od tego dnia Chumley nie pił nigdy więcej nic mocniejszego niż herbata albo lemoniada, nawet kiedy był bardzo spragniony.

Wkrótce po naszych przenosinach do Kumby przybyła Sue. Nigdy dotąd nie widziałem tak małego szympansa: nie umiała chodzić i miała tylko cztery zęby. Przybyła do nas w koszyku, z którego wyglądała zaciekawiona, ssąc swoją lewą stopę. Jak zdołała wyżyć karmiona przez swego tubylczego właściciela tylko papką ze słodkich ziemniaków, nie mam pojęcia. W przeciągu godziny wyssała przez smoczek butelkę ciepłego mleka wzbogaconego cukrem

i tranem. Kiedy ją pokazałem Chumleyowi, nie okazał specjalnego zainteresowania, próbował tylko włożyć jej w oko palec, tak więc moje nadzieje na ich romantyczny związek natychmiast się rozwiały.

Każdej matce, udęczonej płaczem swego czerwonoliciego maleństwa, dałbym, następującą radę: „Wymień go na małego szympansa, takiego jak Sue; będzie z nim o połowę, mniej kłopotu, a za to podwójna radość”. W nocy małpka spała w ciepłym koszyku, a w dzień na moim łóżku i nigdy nawet nie pisnęła. Krzyczała tylko wtedy, zaciskając swoje małe piąstki i kopiąc nóżkami ze złości, kiedy za wcześnie pokazałem jej butelkę z ciepłym mlekiem i musiała czekać, aż ją ostudzę. To była zbrodnia i Sue wyraźnie dawała mi to do zrozumienia. Spała spokojnie przez całą noc, czego wiele dzieci ludzkich mogłoby się od niej nauczyć. Pierwsze karmienie było o siódmej rano, ostatnie o północy. W ciągu dnia, jak już powiedziałem, leżała na moim łóżku, ssąc kciuk lub stopę, czasem zaś robiła pompki na brzegu łóżka, ćwicząc mięśnie, żeby mieć siłę na czas karmienia. Ale większość dnia przesyiała.

Twarcyzkę, dłonie i stopy miała różowe i była porośnięta czarną sztywną sierścią. Włosy na jej główce wyglądały jak uczesane, z przedziałkiem po środku i przycięte krótko nad dużymi uszami. Przypominała mi japońską lalkę o poważnej buzi. Kiedy ją zobaczyłem taką maleńką, bezbronną, byłem przerażony, obawiałem się, że będzie wymagać ustawicznej opieki, na co ja nie miałem czasu. Ale jak się wkrótce okazało, sprawiała znacznie mniej kłopotu niż inne zwierzęta. Ludzie opiekujący się nimi tak ją polubili, że sprzeczała się, kto będzie miał przywilej podania jej butelki. Nawet John często głaskał ją po tłustym brzuszku i gaworzył do niej po dziecinnemu, kiedy myślał, że tego nie słyszę.

Chumley moim zdaniem był nieco zazdrosny o Sue, ale jak na dzentelmena przystało, nie okazywał tego. Niestety wkrótce po jej przybyciu do nas przyjechał do Kamerunu przedstawiciel londyńskiego zoo i z wielkim żalem przekazałem mu szympansa, gdyż to on miał go przetransportować do Anglii. Nie widziałem Chumleya przeszło cztery miesiące i po raz pierwszy odwiedziłem go w lecznicy dla zwierząt w Regent's Park. Mieszkał w dużym, wypełnionym słomą pokoju i cieszył się wielką sympatią całego personelu. Myślałem, że mnie nie pozna, gdyż kiedy się ostatnio widzieliśmy, nosiłem tropikalny strój, miałem brodę i wasy, teraz zaś byłem gładko ogolony i ubrany jak człowiek cywilizowany. Poznał mnie jednak. Zaczął na mój widok krążyć wokół pokoju jak derwisz, a potem podbiegł i powitał mnie w dawny sposób, lekko gryząc w palec. Usiedliśmy na słomie i poczęstowałem go cukrem, który specjalnie przyniosłem, a kiedy potem obaj paliliśmy papierosy, zdjął mi buty i skarpetki, sprawdzając, czy moje stopy są w porządku. Wreszcie wziął w palce swój niedopałek i zgniótł go starannie w kącie pokoju, z dala od słomy. Na pożegnanie uścisnął mi dłoń i przez szparę w drzwiach patrzył, jak odchodzę. Wkrótce potem został przeniesiony do małpiarni, gdzie w swoim prywatnym pomieszczeniu nie mógł przyjmować gości.

Nigdy więcej nie widziałem już Chumleya, ale znam jego losy: stał się wielkim telewizyjnym gwiazdorem, jeździł do Alexandra Palace i występował przed kamerami jak rutynowany aktor. Niestety zaczęły mu dokuczać zęby i z małpiarni został przeniesiony znów do lecznicy, gdzie miał operację. Pewnego dnia znudzony uciekł stamtąd i zaczął wędrować po Regent's Park. Kiedy wyszedł na główną ulicę, akurat nadjechał autobus, wsiadł więc do niego, ale jego obecność wywołała tak wielkie poruszenie wśród pasażerów, że bardzo się zdenerwował i ugryzł kogoś. Ludzie nie rozumieją, że krzyki i panika prowokują każde dzikie zwierzę do ataku. Chumley wysiadł z autobusu, zostawiając w nim zakrwawionych pasażerów, i na ulicy zbliżył się do kobiety, pchającej wózek z dzieckiem, która omal nie zemdlała. Potem spacerował, zastanawiając się, w jaki sposób rozweselić londyńczyków, dopóki nie pojawił się pielęgniarz z lecznicy dla zwierząt. Chyba właśnie wtedy Chumley doszedł do wniosku, że cywilizowani ludzie nie są odpowiednim towarzystwem dla dobrze wychowanego szympansa, wziął więc swego opiekuna za rękę i spokojnie wrócił do lecznicy. Od tej pory miał opinię zwierzęcia niebezpiecznego i znów zamknięto go w małpiarni. Nie skończył jednak z publiczną karierą, a kiedy wkrótce potem znów musiał wrócić do lecznicy, gdyż dokuczały mu zęby, postanowił raz jeszcze odbyć małą eskapadę.

Była to Wigilia Bożego Narodzenia i Chumley widocznie miał miłe wspomnienia z różnych wesołych uroczystości, zapewne w jakimś klubie w Afryce. W każdym razie doszedł do wniosku, że gdyby przespacerował się po Londynie w tym właśnie dniu, pełnym życzliwości i wzajemnej dobroci, może spotkałby kogoś, kto poczęstowałby go piwem. Wyrwał się więc ze swojej klatki i ponownie ruszył przez Regens Park. Na Gloucester Gate zaczął się rozglądać za autobusem, ale żaden nie nadjechał. Zauważył jednak kilka zaparkowanych w pobliżu samochodów, podszedł więc do nich i zaczął energicznie uderzać w drzwiczki w nadziei, że któryś z pasażerów otworzy je i zaproponuje mu przejażdżkę, Chumley bowiem uwielbiał jazdę wszelkimi środkami lokomocji. Głupi ludzie nie zrozumieli jednak jego intencji; on był w świątecznym nastroju i chciał tylko, żeby go podwieziono, a ci głupcy zakręcali szyby i wzywali pomocy. Był to, zdaniem Chumleya, bardzo niewłaściwy sposób okazywania bliźniemu tradycyjnej brytyjskiej gościnności. Nim jednak zdołał wyjaśnić, o co mu chodzi, pojawiła się grupa dozorców i zabrała go do zoo. To była druga ucieczka Chumleya i nikt nie chciał ryzykować jeszcze jednej: z pięknego inteligentnego zwierzęcia, które mogło z powodzeniem występować w telewizji, nagle stał się z powodu tych eskapad groźnym, nieobliczalnym potworem, który znów mógł uciec, a może nawet ugryźć jakiegoś zanego obywatela. Chumley został skazany na śmierć i zastrzelony.

XIII

Wioska na jeziorze

Kumba była sporą wsią i jak na Kamerun względnie cywilizowaną, to znaczy mieszkało w niej dziesięciu białych, szczyciła się sklepem United Africa Company i małym szpitalikiem, był tu również stały postój ciężarówek, jadących z wybrzeża. Sądziliśmy więc, że nie znajdziemy tu żadnych ciekawych okazów, i uważaliśmy, że będzie to po prostu wygodna baza blisko portu. Ku naszemu wielkiemu zdumieniu mieszkańcy Kumby i okolic dostarczyli nam kilka bardzo rzadkich okazów.

Pierwszy kupiłem wkrótce potem, jak się rozgościliśmy w trzech miłych przewiewnych budynkach na skraju wsi. Pewnego dnia pojawił się dziko wyglądający tubylec, niosący na głowie długą klatkę, zręcznie uplecioną z bambusa i starannie owiniętą liśćmi bananowymi. Jak się okazało, człowiek ten mieszkał we francuskim Kamerunie, o jakieś trzydzieści mil od Kumby, mówił tylko swoim dialektem i łamaną francuszczyzną. Mój francuski był mniej więcej taki sam, doszedłem więc do wniosku, że jakoś się porozumiemy. Powiedział mi, że słyszał, iż kupuję małpy, więc złapał dla mnie kilka. Tylko tyle. Potem zerwał bananowe liście i moim zdumionym oczom ukazały się trzy małpy, jakich nigdy przedtem nie widziałem. Kiedy przyjrzałem się bliżej, stwierdziłem, że naprawdę są cztery, gdyż jedna z nich tuliła do piersi dziecko, tak małe, że do połowy nikło w jej sierści. Były to dorodne, piękne zwierzęta w kolorze bardzo ciemnego szarego łupku, z wyjątkiem dwóch miejsc: pod brodą sierść była miękka, puszysta, jak puszek do pudru i bielusienka, w dolnej zaś części pleców ciemnordzawa. Bez targów zapłaciłem niewielką sumę, jakiej zażądał przybysz, i zacząłem go wypytywać w swojej najlepszej francuszczyźnie. Należało uprzejmie traktować człowieka, który potrafił schwytać tyle małp naraz.

– *Allons, mon ami, avec quelles choses avez-vous entrappé ces ani-maux?* – spytałem pełen nadziei.

– *Pardon, monsieur?*

Powtórzyłem, zastępując słowo *animaux* odpowiednikiem, jak mi się zdawało, słowa małpa.

Mój rozmówca długo milczał, drapiąc się w głowę.

– *Je ne comprends pas, monsieur* – odparł wreszcie.

Rozpaczliwie zacząłem się rozglądać, szukając kogoś do pomocy, kiedy pojawił się John. Przypomniałem sobie, że mój dzielny towarzysz przez pewien czas był w Belgii i mówi po francusku, a w każdym razie tak mi powiedział. Zawołałem go więc. Ze świetnym oksfordzkim akcentem przetłumaczył moje słowa wytatuowanemu tubylcowi, który ku memu zdumieniu wszystko zrozumiał i odparł coś bardzo długo i kwiecicie. Ale tym razem John nie zrozumiał. Po bardzo wyczerpującej półgodzinie, kiedy wyrzucaliśmy z siebie słowa francuskie, angielskie

i w *pidgin-English*, używając prawie wszystkich znanych nam zwrotów francuskich z wyjątkiem „pióro mojej ciotki”, udało nam się dogadać z naszym dzikusiem. Na swoim polu, w pobliżu miejsca, gdzie często przebywały małpy, zbudował małą klatkę i zaczął przynęcać zwierzęta dojrzałymi bananami. Potem rozkładał banany w klatce, i małpy, wchodząc do środka, przesuwały starannie wyważone, sprytnie umieszczone drażki, które zatrzaśkiwały za nimi drzwi. Błagałem go, żeby złapał dla mnie więcej małp, i jako zadatek dałem mu dwie paczki papierosów. Obiecał, że się postara, i odszedł, ale nigdy więcej go już nie zobaczyłem. Zapewne suma, jaką mu zapłaciłem za pierwszą partię małp, zaspokoila jego potrzeby na najbliższe parę miesięcy, a zgodnie z poglądami Kameruńczyków, po co miał się męczyć pracą, skoro miał dość pieniędzy, żeby kupić to, czego potrzebuje? Jak się pieniądze skończą, będzie dosyć czasu, żeby zacząć szukać jakiegoś zarobku. Wspaniała postawa, bez wątpienia, wyraz bardzo wygodnej filozofii, ale nie takiej życzyliśmy sobie u naszych myśliwych.

Małpy, jak się okazało, należały do gatunku koczokodanów Preussa. W Anglii żywego przedstawiciela tego gatunku nie widziano od lat co najmniej czterdziestu. Najszybciej, jak to było możliwe, przeniosłem je do przyzwoitych klatek, oddzielając matkę z dzieckiem, żeby jej nie dokuczały. Były dumą mojej małpiarni i cieszyłem się nimi kilka dni. I nagle pewnego okropnego ranka jakiś nieznośny mały urwis (mam nadzieję, że spotkał go bolesny i zły koniec) zakradł się do pomieszczenia dla zwierząt i zaczął otwierać klatki, żeby nakarmić małpy. Większość z nich była oswojona i ufnie jadła z ręki... Ale moje bezcenne koczokodany Preussa jeszcze się nie zaadaptowały do nowych warunków i przestraszyły się obcego, który otworzył klatki i wymachiwał owocami. Jeden z samców zeskoczył i ugryzł chłopca w rękę. Ten oczywiście odskoczył i przez kilka minut drzwi stały otworem. Małpy wykorzystały to natychmiast, wybiegły z klatki i błyskawicznie wspięły się na krokwie. W tym momencie weszli dozorczy opiekujący się zwierzętami, schwyтали winowajcę, zobaczyli małpy tańczące pod dachem i przybiegli do mnie. Kiedy z sieciami wpadliśmy do szopy, było już za późno, a moje dwa bezcenne koczokodany pędziły przez trawę w kierunku najbliższych drzew. Zarządziłem obławę, która nic nie dała. Miałem tylko nadzieję, że będą na tyle mądre, by jak najszybciej uciec do dżungli, bo gdyby zostały na drzewach w pobliżu wsi, z pewnością wkrótce znalazłyby się w garnku. Tak więc została tylko samica i jej dziecko.

Powoli podszedłem do winowajcy, którego ręka – jak zauważyłem z satysfakcją – była mocno pogryziona. Wyraz mojej twarzy zapewne nie wróżył nic dobrego, bo chłopak uciekł ile sił w czarnych nogach. Wkrótce wrócili mocno zasapani moi ludzie i natychmiast ruszyli w pogoń za chłopakiem, który jednak podobnie jak małpy miał zbyt dużą przewagę i zniknął gdzieś w zabudowaniach wsi.

Nadal nie mogłem przeboleć mojej straty i ciągle się łudziłem nadzieją, że francuski Kameruńczyk wróci z jeszcze jedną partią koczokodanów Preussa, kiedy otrzymałem okaz, który

wynagrodził mi stratę małp. Otóż kilka dni później przyszedł do mnie chłopak niosący w ramionach pudełko z nalepką mydła Lifebuoy. Zresztą o tym, że mydło znajdowało się tam jeszcze całkiem niedawno, świadczył mocny zapach. Podniosłem wieko, zajrzałem do środka i zobaczyłem przyczajone angwantibo.

I znów powstał wielki rwetes: lemura trzeba było umieścić w tymczasowej klatce, nim zostanie zrobiona ta właściwa. Tymczasowa klatka nie nadawała się dla tak rzadkiego i cennego okazu, była jednak lepsza niż pudełko, w którym mógłby się udusić. Zapłaciliśmy chłopcu, chwając go i prosząc, żeby jeszcze raz spróbował upolować angwantibo, co obiecał zrobić. Nazajutrz właśnie wkładałem zwierzę do właściwej klatki, którą umieściłem koło mego pierwszego okazu, kiedy przyszedł ten sam chłopiec z tym samym pudełkiem po mydle.

– Ah... aaa! – powitałem go radośnie. – Co za zwierzę przyniosłeś? Takie samo jak to? – I wskazałem na angwantibo.

– Tak, sah – odparł z całym spokojem.

– Co takiego? Przyniosłeś znów to samo zwierzę?

Zamiast odpowiedzi uniósł wieko pudła; w środku zobaczyłem trzecie angwantibo.

Wprost nie mogłem uwierzyć własnym oczom: dwa angwantibo, w ciągu dwóch dni, to było coś, o czym się śni, marzy, ale co się nigdy nie spełnia. Drżącą ręką zapłaciłem mu, powiedziałem, żeby postarał się schwytać następne okazy, i poszedłem opowiedzieć o wszystkim Johnowi.

– Zgadnij, co właśnie zdobyłem?

– Coś interesującego?

– Jeszcze jedno angwantibo...

– To wspaniale – powiedział grzecznie John. – A więc teraz mamy trzy.

– Tak, ale martwię się: wczoraj prosiłem tego chłopca, żeby mi przyniósł jeszcze jedno, no i przyniósł je dzisiaj, jakby to mu nie sprawiało żadnego kłopotu; przed chwilą prosiłem, żeby złapał mi czwarte; co będzie, jeśli jutro przyniesie mi tutaj, powiedzmy, sześć sztuk? Ostatecznie nie mogę bez końca płacić takich horrendalnych sum.

– Nie martw się – odparł spokojnie John. – Jestem pewien, że więcej nie przyjdzie.

Okazało się, że miał rację, ale przez kilka następnych dni prześladowała mnie myśl, że lada chwila zobaczę kosz pełen angwantibo. A przy tym wiedziałem, że jeśli chłopiec je przyniesie, nie oprę się pokusie i kupię wszystkie.

Następnym dobrym nabytkiem był rzadki i piękny nektarnik wspaniały, którego przyniósł mały chłopiec, zaciśniętego w gorącej, lepkiej dłoni. Ptak ten, samczyk, był bardziej kolorowy niż samica i w dobrym stanie. Akurat byłem w ptaszarni w chwili, kiedy chłopiec przyszedł, i miałem przyjemność być świadkiem, jak zwykle bardzo opanowany John aż jęknął ze zdumienia i radości na widok ptaszka. Szybko nad sobą zapanował i znów stał się spokojnym,

opanowanym Anglikiem, ale w oku jego dostrzegłem gorączkowy błysk, kiedy się targował o cenę. Po dobieciu targu spytał chłopca, w jaki sposób schwytał ptaka.

– Ręką, sah – odparł.

– Gołą ręką?

– Tak, sah, on do mnie blisko przyleciał, a ja go chap ręką, o tak... – wyjaśnił chłopiec, robiąc ręką taki ruch jak przy łapaniu much.

John odwrócił się do mnie.

– Ty podobno znasz mentalność krajowców – powiedział. – Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego ci chłopcy nigdy nie mówią prawdy, w jaki sposób łapiają ptaki. Żeby złapać tego nektarnika w locie, trzeba by mieć wzrok jastrzębia i szybkość kuli karabinowej... Dlaczego on sądzi, że ja uwierzę w takie oczywiste kłamstwo?

– Dlatego, stary, że wyglądasz bardzo miło i niewinnie. Robisz wrażenie faceta, któremu można sprzedać Pałac Buckingham. Emanuje z ciebie naiwność.

John westchnął, powiedział chłopcu, żeby spróbował złapać więcej takich ptaków, i wrócił do swoich zajęć. Ale kiedy myślał, że tego nie widzę, wrócił do swego nektarnika, żeby się nim nacieszyć.

Kilka dni później wielebny Paul Schibler spytał mnie, czy nie chciałbym towarzyszyć jemu i żonie w wycieczce, jaką zamierzają odbyć do wioski na wyspie na jeziorze Soden o kilka mil od Kumby. Żeby mnie zachęcić, powiedział, że nad jeziorem są setki ptaków i że z pewnością zdobędę bardzo ciekawe okazy. Powiedziałem o tym Johnowi, a on przyjął ten pomysł z entuzjazmem, obiecując, że do mego powrotu będzie czuwać nad moimi ssakami. Postanowiliśmy wyjechać na tydzień, przygotowałem więc sporą ilość małych klatek i pudełek na ewentualną zdobycz, złożyłem swoje polowe łóżko i pewnego dnia wczesnym rankiem wyruszyłem furgonetką Schiblera wraz z Piusem, który miał mi usługiwać. Dojechaliśmy do końca bitej drogi, gdzie czekali na nas tragarze, i pieszo ruszyliśmy w dalszą wędrówkę do jeziora, liczącą jakieś dwanaście, piętnaście mil.

Szlak był równy i wił się łagodnie wśród dżungli, mijając pojedyncze gospodarstwa tubylców i wsie liczące kilka zaledwie chat, rozrzuconych na polach wśród wielkich drzew. Zawsze na spotkanie Schiblerów wychodzili mieszkańcy, żeby uścisnąć im rękę. Ustawiali się po jednej stronie drogi, żebyśmy mieli wygodne przejście, i wygłaszali powitalną formułkę. Jeśli dźwigali duże ciężary albo widać było, że cierpią na jakąś chorobę, Schiblerowie zatrzymywali się, pytając, jak daleko idą i o zdrowie, zawsze kończąc serdecznym „do zobaczenia”. Często przechodziliśmy obsypywani płomiennie czerwonym kwieciem pod ceibami, których wielkie srebrzyste pnie tonęły u podnóża w powodzi żółtych i białych powojów. Na polach rosła dorodna kukurydza, srebrzystymi pióropuszcami powiewając na wietrze, a z drzew zwisały wielkie żółte kiście bananów, które wyglądały jak nieforemne woskowe świece.

Do jeziora dotarliśmy dopiero przed wieczorem. Ścieżka wiła się jak wąż wśród potężnych drzew i nagle ujrzyliśmy przed sobą wielką tafłę wody, gładką i szarą, z wyjątkiem miejsc, na których zachodzące słońce kładło drabinę złocistych lśniących smug. Dżungla kończyła się w miejscu, gdzie zaczynała się woda, wzdłuż okrągłego brzegu stały na straży drzewa. Pośrodku tego wodnego bezmiaru znajdowała się mała wyspa, z rzadka porośnięta drzewami, i tylko ciemna plama wskazywała miejsce, gdzie jest wieś.

Weszliśmy po kolana do bardzo ciepłej wody i wtedy jeden z tragarzy wydał przeraźliwy, dziwnie bolesny krzyk, który przetoczył się po tafli jeziora i rozbił tysięcznym echem o drzewa na przeciwległym brzegu. Dwa czarnobiałe sępy rakama zerwały się z uschniętego drzewa i ciężko machając skrzydłami, odleciały w kierunku wyspy. Zaraz potem usłyszeliśmy od strony wioski taki sam żalony odzew i od wyspy oderwała się mała plamka, zmierzająca w naszym kierunku. Było to kanoe. Za nim płynęło jeszcze jedno i jeszcze jedno, jak rój małych, czarnych migocących rybek, wyskakujących spod zielonej omszałej skały.

Wkrótce łodzie znalazły się blisko nas, ich dzioby z szumem przecinały trzciny, a uśmiechnięci wiosłarze wołali: „Witamy, masa, witamy”. Załadowaliśmy nasz ekwipunek na kruche łupiny, które podskakiwały i cofały się jak płochliwe konie, i wypłynęliśmy na jezioro. Zanurzyłem rękę w ciepłej wodzie. Jezioro, wyspa i otaczająca je dżungla były skąpane w złocistym świetle zachodzącego słońca. Słysząc było tylko łagodny plusk wody opływającej burty, czasem uderzenie wiosła o kawał pływającego drzewa i łagodny pomruk wiosłarzy, kiedy zanurzali wiosła głęboko w wodzie, a wtedy łódka skakała naprzód jak ryba. Wówczas po raz pierwszy ukazały się nad nami dwie papugi żako; leciały szybko jak gołębie, gwizdząc i gruchając, aż echo się rozchodziło, kiedy przecinały złociste niebo. I tak dotarliśmy do wyspy prawie w ciszy, w głębokiej, spokojnej niemal dotykanej ciszy, w której najdrobniejszy dźwięk zdawał się pogłębiać wieczorny spokój.

Schiblerowie mieli chatę na wzniesieniu, w środku wsi, moja zaś mała chatka była prawie schowana w niewielkim zagajniku na prawym brzegu jeziora. Przed pójściem spać stanąłem nad brzegiem wody, paląc ostatniego papierosa. Jezioro było spokojne, srebrzyste w poświacie księżycy i tylko od czasu do czasu na powierzchni wody pojawiał się niewyraźny ciemny krąg tam, gdzie z pluskiem wyskoczyła w górę ryba. W głębi dżungli słyszałem długie, drżące pohukiwanie sowy na tle odległego grania cykad.

Następnego ranka, kiedy słońce znalazło się nad wierzchołkami lasu, światło zalało moją chatę i ujrzałem przez otwarte drzwi jezioro: wyglądało niezwykle zachęcająco. Wypłynęłem spod moskitiery, stanąłem na progu i z rozpędu wskoczyłem do wody, jeszcze ogrzanej wczorajszym słońcem, a jednak na tyle chłodnej, żeby mnie orzeźwić. Przepłynąłem kilka jardów, kiedy nagle przypomniałem sobie o krokodylach, zatrzymałem się i stanąłem na dnie, rozglądając się wokoło. Właśnie zza małego półwyspu ukazało się miniaturowe kanoe, w którym wiosłował

może pięcioletni dzieciak.

– Hej, przyjacielu! – zawołałem, machając ręką. – Czy w tej wodzie są krokodyle?

Wybuch śmiechu skwitował to pytanie.

– Nie, masa, w tej wodzie nie ma krokodyla.

– Ani innych złych zwierząt?

– Żadnych, żadnych, sah – odparł malec i słyszałem, jak się zaśmiewa, energicznie wiosłując. Po tym zapewnieniu długo rozkoszowałem się cudowną kąpielą, po czym poszedłem do wioski na śniadanie. Przedstawiono mi dwóch wioślarzy, którzy mieli mnie obwieźć wokół brzegów jeziora, żebym obejrzał sobie ptaki. Byli to rośli młodzi ludzie, nieśmiali i zachwycająco spokojni; odzywali się tylko zapytani. Wypłynęliśmy długim, głębokim kanoe, ja na dziobie, z lornetką na kolanach i strzelbą obok. Schibler obiecał mi, że zobaczę mnóstwo ptaków, ale nie oczekiwałem takiego, wręcz niewiarygodnego, bogactwa gatunków, jakie ujrzałem tego ranką.

Na płaskim brzegu jeziora leżały wybielone słońcem pnie olbrzymich drzew, których skręcone gałęzie sterczały nad ciemną wodą, rzucając drżące, podobne do węży odbicia. Drzewa obumarły, zniszczone przez kaprysy aury i pasożyty, jezioro wymyło ziemię z korzeni, aż wreszcie zwały się w płytką wodę, miejsce swego ostatniego spoczynku, z każdym rokiem zapadając się powoli coraz głębiej w miękkie czerwony muł. Ich pnie i gałęzie stały się doskonałym miejscem odpoczynku dla okolicznego ptactwa, które obserwowałem przez lornetkę, kiedy powoli opływałem jezioro. Najczęściej spotykanymi tu ptakami były wężówki afrykańskie, które bardzo przypominają angielskie kormorany, z tym, że ich długie szyje są wygięte w literę S. Przesiadują długimi szeregami na uschłych drzewach, susząc na słońcu rozpostarte skrzydła. Kiedy przepływałem blisko, przekrzywiały głowy na długich szyjach i przyglądały się nam uważnie. Miały ciemnobrazowe upierzenie, które z daleka wyglądało jak czarne i sprawiało, że ponure wyprostowane szeregi ptactwa przypominały niemych żałobników, czekających na karawan. Jeśli podpłynęliśmy zbyt blisko, podrywały się, machając ciężko skrzydłami nad wodą, i lądowały z wielkim pluskiem nieco dalej na brzegu. Potem nurkowały i po chwili nad powierzchnią wody w najmniej oczekiwanych miejscach ukazywały się ich głowy na długich szyjach. Dlatego właśnie nazwano je wężoptakami.

Następnym występującym tu częściej gatunkiem były, zawsze siedzące parami, rakamy, których czarnobiała liberia wyraźnie odbija się na tle zieleni, a kanarkowożółte dzioby i łapy jaśnieją w słońcu. Pozwalały podpływać do siebie całkiem blisko, a potem, wolno machając skrzydłami, odlatywały na pobliskie drzewa.

Najbardziej jednak zdumiały mnie i zachwyciły wielkie ilości zimorodków wszelkiego kształtu, rozmiaru i barwy, tak przy tym oswojonych, że pozwalały zbliżyć się kanoe na odległość sześciu stóp, nim się zerwały do lotu. Były tu rybaczki srokate, wyraźnie czarnobiałe,

które z daleka wyglądały jak ubrane w domino, gotowe na jakiś ptasi bal. Ich długie błyszczące dzioby były czarne jak węgiel. Widziałem też siedzące parami rybaczki wielkie, o ciemnych, ostrych czubach, z grzbietami w szare i białe cętki i rudą piersią. Były wielkości leśnych gołębi, a dzioby miały duże i ciężkie jak noże. Były także moje ulubione zimorodki malutkie; siedziały zazwyczaj na białych cienkich gałązkach, ściskając je swymi koralowoczerwonymi łapkami, a obok nich zimorodki gabońskie, błękitne, najbardziej barwne ze wszystkich. Przypominały mi moje ulubione zimorodki malutkie, ale w locie nie można było ich pomylić z innymi: szybują nisko nad wodą, ćwierkając przenikliwie, a ich grzbiety lśnią przezczystym błękitem, którego wprost nie da się opisać; przypominają opale lśniące nad powierzchnia jeziora. Patrząc z zachwytem na te ptaki, postanowiłem, że muszę zdobyć kilka, żeby wzbogacić kolekcję Johna. Zimorodki malutkie już miał, jak również niezbyt ciekawe zimorodki senegalskie, toteż moim celem stały się rybaczki srokate, rybaczki wielkie, a zwłaszcza gabońskie zimorodki błękitne. Pochłonięty obserwacją tylu odmian zimorodków, na inne ptaki patrzyłem dość obojętnie: były tu tłuste czajki białogłowe z żółtymi koralami zwisającymi po obu stronach dzioba i o śmiesznym, kiwającym się chodzie; małe, czarne, lśniące bagiewniki o delikatnych zielonych łapkach, które ciągnęły za sobą, spiesznie zrywając się z kępy trzciny; delikatne czaple złotawe; kroczące uroczyście po błocie ibisy kasztanowate, wyglądające zza drzew zimnymi, rybimi oczami. W pewnym momencie podpłynęliśmy do miejsca, gdzie niedawno przewróciło się drzewo i padając, pociągnęło za sobą wielką masę pnączy i kwitnących roślin, które na nim pasożytowały. Spokojna woda była jeszcze usiana zielonymi liśćmi, a tymczasem wśród kwiatów, które ocalały, ale usychały i blakły, wśród zieleni powalonego drzewa furkotała i żywiła się gromada nektarników; chwilami zawisały przed kwiatem tylko o kilka cali nad taflą jeziora, tak że jednocześnie kwiaty i ptaki odbijały się w wodzie.

Po powrocie do wioski przeprowadziłem rozeznanie i wkrótce miałem trzech chłopców, którzy wiedzieli, jak się posługiwać lepem na ptaki, którego zastosowanie widziałem w Eszobi. Opisałem im dokładnie, o jakiego rodzaju zimorodki mi chodzi, i podałem cenę, jaką zamierzam im płacić; reszta należała do nich. Następnego dnia o bladezielonym świcie, tuż przed wschodem słońca, obudził mnie plusk wiosła, a kiedy wyrzałem przez drzwi chaty, zobaczyłem płynące przez jezioro trzy małe kanoe z młodymi łowcami. Pierwsza łódka wróciła w południe; chłopiec przywiózł mi koszyk, w którym były dwa rybaczki srokate i jeden zimorodek senegalski. Senegalczyka wypuściłem, ponieważ wiedziałem, że John ma ich kilka, ale rybaczki umieściłem w mojej najlepszej klatce i byłem z nich bardzo dumny. Nie były przestraszone, jak się obawiałem, raczej agresywne. Ilekroć zbliżałem rękę do prętów klatki, oba dziobały swoimi ostrymi dziobami i szybko się przekonałem, że czyszczenie ich klatek jest zajęciem bolesnym. Problem żywienia został łatwo rozwiązany, gdyż płycizny wokół wyspy pełne były narybku i wystarczyło dwa, trzy razy zarzucić sieci, żeby nakarmić kilkanaście zimorodków. Moja para

rybaczków szybko pochłaniała jedzenie, a potem zapadała w drzemkę.

Po południu przypłynął drugi łowca, ale miał tylko zimorodka malutkiego. Biedaczek tak był oblepiony klejem, że zajęło mi pół godziny, nim przed wypuszczeniem go oczyściłem. Kiedy otworzyłem dłoń, przez chwilę siedział na moim palcu, trzymając się go z trudem swoimi małymi łapkami, wygładził sobie piórka, nastroszone w czasie kąpieli, i nagle frunął przez jezioro prosto jak strzała. Trzeci łowca wrócił wieczorem, a w jego małym koszyczku z wikliny był zimorodek gaboński błękitny. Ten zaadaptował się równie dobrze jak rybaczki, ale był trochę bardziej nerwowy. Byłem niezwykle rad z tych nabytków i poprosiłem chłopców, żeby następnego dnia spróbowali mi złapać zimorodka wielkiego. Oczyma duszy widziałem już zdumienie Johna, kiedy wejść do niego z trzema odmianami zimorodków. Niestety moje marzenia się nie ziściły, gdyż następnego dnia łowcy oświadczyli mi, że lep jest zbyt słaby, żeby schwytać zimorodka wielkiego. Zapewne w upale lep nieco wysechł i choć można było na niego łapać mniejsze ptaki, te większe, silne jak zimorodek wielki, z łatwością się wyrwały. Przynieśli mi jednak jeszcze jednego rybaczka srokatego i gabońskiego zimorodka niebieskiego, tak że w sumie byłem bardzo rad.

Tego popołudnia, kiedy leżałem w ciepłej wodzie w pobliżu chaty, obserwując ławice ryb badających moje nogi, przyszedł jakiś człowiek od Schiblerów z wiadomością, żebym zaraz do nich przyszedł, ponieważ przyniesiono dla mnie jakieś zwierzę. Po przyjeździe na miejsce zobaczyłem tłum zebrany wokół czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak wielki płaski kamień. Po bliższych oględzinach okazało się jednak, że jest to największy słodkowodny żółw, jakiego w życiu widziałem. Gatunek ten znany jest jako żółwiak afrykański, skorupę ma raczej gładką i sklepioną, na krawędziach otoczoną miękkim rąbkiem, podobnym do mokrej tektury. Młode okazy przypominają gruby i miękki naleśnik. Nos tego ciekawego gada to para miniaturowych trąbek, tak że może on wystawiać je nad powierzchnię wody i oddychać bez wynurzania się. Nieszczęsne stworzenie zostało trafione harpunem w szyję i zakończyło życie akurat, kiedy się pojawiłem. Kiedy w trakcie odcinania mu głowy między jego ostre jak brzytwa szczęki dostał się kawałek drewna, został rozłupany na pół. Nie miałem pojęcia, że te żółwie osiągają tak wielkie rozmiary: ten mierzył cztery stopy długości i podnieść go mogło dopiero dwóch ludzi. Po dokładnym zbadaniu kazałem go podzielić na części i został uduszony w potrawce. Mięso okazało się bardzo smaczne, przypominało nieco tłustą cielęcinę. Niestety nie przyniesiono mi żywego takiego żółwia, czym byłem bardzo rozczarowany.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Uścisnęliśmy ręce mieszkańcom wioski, przepłynęliśmy przez łagodne, przepiękne jezioro i wylądowaliśmy w pobliżu szlaku. Nim wyruszyliśmy, po raz ostatni spojrziałem na wyspę pośrodku wielkiej, złocistej wodnej tafli, otoczonej tętniącą życiem dżunglą. Ruszyliśmy między drzewa, a ja musiałem bardzo pilnować moich tragarzy, żeby nie objęli klatak o nisko wiszące gałęzie i podczas postojów nie stawiali ich w prażącym słońcu.

Dwa razy po drodze nakarmiłem bezcenne zimorodki, rybaczki srokatę, gdyż zabrałem ze sobą puszkę z wodą, w której pływały malutkie rybki. Jeden z rybaczków był bardzo zdenerwowany i nie chciał jeść, ale inne najwyraźniej wcale nie przejmowały się podróżą.

O zmierzchu wyszliśmy na bity trakt, zapłaciliśmy tragarzom i z radością wsiedliśmy do furgonetki. Było już całkiem ciemno, kiedy przybyłem do budynku szkolnego i zastałem Johna właśnie siadającego do kolacji. Jednak nawet zachwyty Johna z powodu zimorodków nie mógł rozjaśnić mego ponurego nastroju, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że właśnie zakończyła się moja ostatnia wyprawa. Za dziesięć dni mieliśmy opuścić Afrykę. Położyłem się do łóżka i kiedy zaczął mnie ogarniać sen, przypomniałem sobie ciepłe wody jeziora, przedziwną małą wyspę, wioskę i jej uroczych, szczęśliwych mieszkańców. Pewnego dnia – obiecałem sobie – wrócę do wioski na jeziorze, ot tak, by wypocząć. Będę się kąpać wśród ryb, płynąć wolno kanoem w pobliżu martwych drzew i obserwować zimorodki.

XIV

Arka wyrusza w drogę

Niełatwo jest załatwić sobie przejazd statkiem z ładunkiem przeważnie składającym się z żywych ptaków, ssaków i gadów, bardzo przy tym ruchliwych. Mieliśmy więc dużo kłopotów, aż wreszcie zlitowała się nad nami firma Elders and Fyffes i zdecydowała się zabrać nas na któryś ze swoich statków. Kiedy ustalona została data odpłynięcia, stwierdziliśmy z przerażeniem, że mamy znacznie mniej czasu na przygotowania, niż przypuszczaliśmy. Nie można było tak po prostu wejść na pokład statku ze zwierzętami i oczekiwać, że będzie je karmić kucharz. Należało kupić odpowiednie zapasy żywności, zamówić mięso, zabezpieczyć odpowiednio klatki, żeby nic nam nie uciekło, no i w ogóle załatwić setki innych rzeczy. Musieliśmy wysłać naszych ludzi o dwieście mil od Bakebe, żeby kupili różnego rodzaju żywność, której nie uprawiano na nizinie; na przykład zwykłe ziemniaki. Na miejscu można było kupić tylko słodkie. Następnie sprawa kukurydzy: w hurcie jest tańsza tam, gdzie się ją uprawia, a górzyste tereny Kamerunu są terenami rolniczymi. Musieliśmy mieć dziesięć tuzinów jajek, czterdzieści kiści bananów w różnej fazie dojrzewania, pięćdziesiąt owoców papai, setkę pomarańcz, dwadzieścia ananasów, cztery worki kukurydzy, cztery słodkich ziemniaków i cztery zwykłych, dwa worki fasoli i całą tuszę wołową. To wszystko, jak już powiedziałem, trzeba było kupić w różnych częściach Kamerunu i sprowadzić jak najszybciej, żebyśmy nie odpłynęli bez niezbędnych naszym zwierzętom zapasów żywności.

Akurat w tym pełnym napięcia okresie zapadłem na malarię. Nie miałem pojęcia, że jestem chory, myślałem po prostu, że to wyczerpanie, i tak snułem się przez prawie tydzień, czując się okropnie, aż wreszcie doszedłem do wniosku, że coś jednak ze mną jest niedobrze, i złożyłem wizytę w miejscowym szpitalu. Lekarz zbadał mnie, zrobił potężny zastrzyk w bardzo wrażliwą część ciała i kazał położyć się do łóżka. Bardzo niechętnie leżałem dwa dni, podczas gdy w naszym zwierzyńcu panował wielki chaos i zamęt, a biedny John karmił swoje ptaki, sprawdzał worki z ziemniakami i pilnował, żeby mały dostały jeść. Postanowiliśmy jechać do portu nocą, żeby przybyć tam o świcie w dniu wyjazdu, załadować zwierzaki na statek i odpłynąć. W przeddzień wyjazdu odwiedził mnie lekarz. Nasza chata wyglądała teraz jak targowisko, wszędzie na podłodze leżały worki z żywnością, stały pudła z jajkami i kosze z owocami. Doktor z trudem przedostał się do mego łóżka, zmierzył mi temperaturę i szykował się do zrobienia następnego zastrzyku. Trzymając w górze strzykawkę z igłą i wypuszczając na próbę parę kropel chininy (jest to okropny zwyczaj lekarzy), podczas kiedy ja leżałem i trząsałem się, spytał, dlaczego panuje u mnie taki zamęt.

- Jutro wieczorem wyjeżdżamy – odparłem wesoło, wpatrzony w igłę.
- Co to znaczy, wyjeżdżamy?

– Wyjeżdżamy do portu, żeby wsiąść na statek. Na pokładzie musimy być o dziesiątej trzydzieści we wtorek.

– Pan tu leży i powiada mi, że zamierza jechać do Tiko i wsiąść jutro na statek w pańskim stanie zdrowia? – spytał wściekły. Słyszac ten ton, powinienem był się zamienić w słup soli.

– Przecież nie jestem tak bardzo chory – zaprotestowałem. – Dziś rano czułem się całkiem dobrze.

– Niech mnie pan posłucha – powiedział ze złością lekarz. – W ciągu ostatniego tygodnia miał pan prawie codziennie przeszło czterdzieści stopni gorączki. Powinien pan leżeć w łóżku co najmniej przez dwa tygodnie. Pan nie może odpłynąć tym statkiem.

– Ale ja muszę odpłynąć, panie doktorze. Z największym trudem udało nam się załatwić przejazd. Jeśli go odwołamy, nie załatwimy innego. My musimy wsiąść na ten statek.

– Pan może w ogóle nie dotrzeć do Tiko. W pańskim stanie tego rodzaju podróż to czyste szaleństwo. Jeśli nastąpi nawrót choroby, a jest to więcej niż pewne, będzie pan musiał pójść do szpitala albo...

– Albo co? – spytałem.

– Albo pan umrze – odparł bez ogródek, po czym wbił mi igłę z wielką wprawą.

Gdy tylko znów mogłem mówić, powiedziałem:

– Ale my teraz nie możemy tego odwołać. Musimy odpłynąć tym statkiem.

– W porządku – odparł lekarz – ale ja nie biorę za pana żadnej odpowiedzialności. – I lawirując wśród worków i koszy, wymaszerował w ciemność.

Następnego dnia przyjechały ciężarówki, zostały załadowane wszystkie zwierzęta, a potem cała żywność: worki z ziemniakami, kukurydza, fasola, pudła z jajkami i tusza wołowa, dla ochrony przed upałem owinięta w wilgotne worki. W momencie, kiedy mieliśmy wyruszyć, poczułem się, jakbym był pijany, w głowie mi huczało. Wsiadłem do szoferki, małą szympansię Sue, owiniętą w koc, wziąłem na kolana i nasza kawalkada ruszyła. Była to koszmarna podróż. Właśnie zaczęła się pora deszczowa i czerwona ziemia zmieniła się w gliniaste grzęzawisko, w którym ciężarówka zataczała się i podskakiwała na niewidocznych wybojach. Słyszałem, jak jadące z tyłu małpy głośno protestują, i zastanawiałem się z obawą, które z naszych rzadkich, nie do zastąpienia już okazów rozchorują się, a może nawet zginą na skutek tych gwałtownych podrzutów. Zapadłem w przerywany, ciężki sen, a kiedy obudziłem się zeszywniały z zimna, zęby mi szczękały. Kazałem zatrzymać ciężarówkę i poszedłem na tył, żeby wziąć sobie koce do przykrycia. Po dziesięciu minutach byłem tak spocony, że musiałem zrzucić koce. W pewnym momencie ciężarówka Johna złapała gumę, stanęliśmy więc, a John przyszedł do mnie zapytać, jak się czuję. Napiliśmy się wtedy tak bardzo upragnionej herbaty z termosu.

– Jak ptaki znoszą podróż? – spytałem.

– Nie wiem – odparł ponuro John. – Jechaliśmy po strasznych wybojach. Boję się zajrzeć do

nich, zrobię to dopiero w Tiko.

– Doskonale to rozumiem, ze mną jest tak samo. Zresztą nic nie możemy zrobić, dopóki nie zaczniemy wyładunku. Trzeba się tylko modlić.

Kiedy zjeżdżaliśmy z góry Kamerun i droga zmierzała już prosto do wybrzeża, zaczęła padać zimna mżawka, ograniczając widoczność, i tak już złą. Do pierwszych plantacji palmowych dotarliśmy, kiedy wstające słońce zaczęło się przebijać przez chmury wiszące nisko nad wielką górą. Wkrótce, jadąc wzdłuż skalistej skarpy, zobaczyliśmy w dole wielką równinę, otaczającą Tiko. Był to już kawałek cywilizowanej Afryki i aż zadrzałem na ten widok: całe mile nudnych drzew bananowych, ustawionych w regularne rzędy jak zielona szachownica. Odrażające wojsko: miliony drzew bananowych, stojących w zwartych szeregach, posłusznie wydających owoce, zrywane, kiedy jeszcze są zielone, i odstawiane na statki. Nic, tylko w nieskończonych rzędach poruszane wiatrem mokre, oklapłe liście, wielkie niby zielone tarcze. Od czasu do czasu monotonię tego krajobrazu przerywała polana z białym bungalowem, w którym mieszkał nadzorca Europejczyk, albo rząd okropnych baraków z blachy falistej, gdzie mieszkali zbieracze bananów. Nasze ciężarówki, rozchlapując błoto, jechały w zacinającym deszczu, aż wreszcie zatrzymały się przy wąskotorowej kolejce, której sapiące parowozy ciągnęły płaskie platformy, wyładowane wysoko kiśćmi zielonych bananów. Pociągi te musiały przeciąć błotnisty teren, żeby się dostać do nabrzeża, gdzie czekał na owoce statek z otwartymi ładowniami.

Okazało się ku naszemu zdumieniu, że przyjechaliśmy o kilka godzin za wcześnie i że z załadunkiem naszej menażerii musimy trochę zaczekać. Zostawiliśmy więc zwierzaki na ciężarówkach, gdyż tam przynajmniej nie groził im deszcz, a ponieważ nie było słońca, klatki się nie nagrzewały zbyt. Na wyładunek zdecydowaliśmy się dopiero wtedy, kiedy słońce przedarło się przez chmury i zaczęło mocno prażyć, a deszcz ustał. Wtedy zabraliśmy się do roboty: wyładowaliśmy wszystkie klatki i ustawiliśmy je w cieniu wzdłuż toru kolejki, przedtem sprawdzając z niepokojem, czy ich lokatorzy czują się dobrze. Kiedy wszystko zostało wyładowane, porównaliśmy z Johnem nasze spisy.

– Straciłem dwa nektarniki, na szczęście nie te najlepsze. Pewno się przeraziły i jak szalone zaczęły latać po klatce, kiedy jechaliśmy przez te straszne wertepy. Inne ptaki są chyba w porządku, ale chciałbym, żeby jak najprędzej znalazły się na statku, żebym mógł je nakarmić i napoić. A jak u ciebie?

– Jeden niemądry mandryl uszkodził sobie mocno rękę. Pewno wysunął ją przez pręty, akurat kiedy podskoczyliśmy, i uderzył o sąsiednią klatkę. Ale łatwo da się ją wyleczyć, na szczęście, dzięki Bogu, to u mnie jedyna kontuzja. Angwantibo są w porządku, ale chyba trochę przerażone.

Po nieskończeniu długim, jak nam się zdawało, wyczekiwaniu, ponieważ nie mogliśmy

wtedy ani nakarmić zwierząt, ani oczyścić klatek, podjechała kolejka złożona z pustych platform i powiedziano nam, że możemy ładować klatki. Kiedy ustawiliśmy ostatnią, znów zaczęło padać, ale to nie była taka łagodna mżawka, jak poprzednio. Teraz, kiedy byliśmy na otwartej przestrzeni, bez żadnej osłony, Kamerun postanowił pokazać nam, jak tu naprawdę wygląda deszcz. W ciągu kilku sekund klatki zostały zalane wodą, a nasi ludzie, John i ja wyglądaliśmy, jakby ktoś zanurzył nas w basenie. Kolejka ruszyła, wolno podjechała do statku i wreszcie się z nim zrównała, a wtedy niezwykle szybko przeniesiono klatki na pokład. Znów miałem okropne dreszcze i czułem się bardzo źle. Pamiętając ostrzeżenia lekarza o nawrocie malarii, zbiegłem do naszej kabiny i przebrałem się w suche ubranie, a potem zacząłem szukać głównego stewarda. Ten zrozumiał w lot, o co chodzi, zabrał mnie do swej kabiny i tu nalał mi taką porcję whisky, że z pewnością powaliłaby konia, ale ja poczułem tylko, że ogarnia mnie miłe ciepło. Połknąłem tabletki, które dał mi lekarz, i dosłownie zataczając się, poszedłem na pokład. Wszystkie moje klatki oraz ich mieszkańcy ociekały wodą. Zabrałem się do ich czyszczenia, wyrzucając mokre trociny i podsypując suche, również trocinami starałem się osuszyć ociekające wodą małpy. Potem zagrzałem im mleko, nakarmiłem je owocami i chlebem, gdyż biedactwa trzęsły się z zimna, a ja wiedziałem, że jeśli ich nie wysuszę przed zapadnięciem zmroku, niektóre z pewnością dostaną zapalenia płuc. Po małpach oczyściłem angwantibo, które na szczęście osłonięte przez inne klatki uniknęły bezpośrednich ataków deszczu.

W tym momencie whisky przestała działać i zacząłem się czuć coraz gorzej. Pokład zdawał się falować pod nogami, a głowa, wielka jak dynia, omal mi nie pękła od pulsującego bólu. Po raz pierwszy naprawdę zacząłem się bać, nie chciałem stracić przytomności i wylądować w szpitalu, na cały rejs do Anglii zostawiając Johna tylko z dwoma ludźmi do pomocy. Dowlokłem się do naszej kabiny i padłem na kolę. Wkrótce przyszedł John, żeby mi powiedzieć, że mniej więcej zrobił wszystko, co trzeba, z ptakami i za pół godziny może mi pomóc, ale ja spałem głębokim, spokojnym snem. Obudziłem się jak nowo narodzony. Wyszedłem na pokład nadal jeszcze trochę oszołomiony, ale całkiem już pewien, że nie umrę. Zakończyłem wieczorne karmienie, klatki małp i angwantibo owinąłem z przodu kocami, a potem przygotowałem Sue butelkę na dobranoc. Zaczęła krzyczeć z radości na jej widok, więc najwyraźniej deszcz jej nie zaszkodził. Wreszcie wszystko na noc było zrobione i pierwszy raz od dwóch dni mogłem się odprężyć. Oparty o reling, patrzyłem na rozmokły, przygnębiający widok gajów bananowych i porośnięte mangrowcami bagniska, a deszcz nieustannie bębnił w płócienną markizę nad moją głową. Wkrótce przyszedł John, który też skończył swoją pracę, i obaj paląc w milczeniu papierosy, patrzyliśmy na deszcz.

– Jestem pewien, że ludzie nie mają pojęcia, jak trudną pracą jest zdobywanie zwierząt dla ogrodów zoologicznych – odezwał się John, w zamyśleniu spoglądając na spiętrzony stos klatek.
– Weźmy choćby dzisiejszy dzień; przez tę okropną ulewę z łatwością mogliśmy stracić

wszystkie zwierzęta. Ale ci, którzy odwiedzają zoo, nigdy się nad tym nie zastanawiają.

– No cóż, trudno się tego spodziewać. Uważają, że to jest tak łatwe, jak było dla Noego.

– Noe! – parsknął pogardliwie. – Gdyby Noe miał tylko jedną piątą tego, co podobno zabrał, to arka by zatonała.

– Weźmy choćby te przeróżne gatunki ptaków i ssaków, które widzieliśmy i które udało nam się zdobyć! Gdyby Noe ograniczył się tylko do tego, jego arka już byłaby przeciążona.

– Mam wrażenie – powiedział John, ziewając – że nasza arka też jest przeciążona tą niewielką ilością zwierząt, jakie tu mamy. – I wskazał na przeszło sto naszych klatek.

– Ja idę spać. O której godzinie odpływamy?

– Chyba około północy. Ja też się kładę.

John zszedł na dół, a ja stałem zapatrzony w ciemniejący, smagany deszczem krajobraz. Nagle między drzewami wykwitł mały ogienek, świecący w ciemności jak czerwone serce. A potem ktoś bardzo cicho zaczął grać na bębnie. Słyszałem, jak zbieracze bananów ochryplymi głosami podjęli rytm melodii. W ciemności i deszczu ogień drżał jak serce, a bęben jak serce pulsował. Głosy cicho śpiewały pieśń odwieczną jak dżungla. Melodia była ostra, prymitywna, a jednak pełna skargi i słodyczy; taką pieśń z pewnością śpiewał bożek Pan. Wpatrzony w drgający wśród drzew ogień, słuchałem uderzeń bębna zlewających się z głosami, które tworzyły skomplikowany wzór dźwięków, i wiedziałem, że pewnego dnia wrócę do Afryki, gdyż w przeciwnym razie do końca życia nękać mnie będzie tęsknota za pięknem i tajemniczością tego kontynentu.

Final

Wbrew pozorom podróż do Anglii nie była najłatwiejszym etapem naszej wyprawy. Przez czternaście dni obaj ciężko harowaliśmy, ale naszą nagrodą było to, że straciliśmy tylko dwa okazy: ptaka, który był już w złym stanie, kiedy znaleźliśmy się na statku, więc jego śmierć nie była dla nas zaskoczeniem, i mangustę, która jakoś uciekła z klatki, przeskoczyła przez reling i wpadła do morza, nim zdążyłem ją złapać.

Mówiono mi, że wystarczy dać funta komuś z załogi i potem właściwie można zapomnieć o zwierzętach aż do wylądowania. Ale nawet zakładając, że wśród załogi znalazłby się ktoś, kto miałby wolny czas (co było całkiem nieprawdopodobne), nie ocalałby żaden z rzadszych okazów, gdyż nikt, nawet przy najlepszych chęciach, nie wiedziałby, jak doglądać zwierzęta. Niestety, nie było to łatwe. Do pierwszego karmienia gramoliliśmy się z koi o jakiejś nieludzkiej godzinie nad ranem i od tej pory przez cały dzień nie mieliśmy ani jednej wolnej chwili.

Największym problemem w czasie naszej podróży była dla mnie Sue, która w obozie całe dnie spędzała rozciągnięta na moim łóżku, mając pełno powietrza i słońca. Nie chciałem, żeby teraz cały czas przebywała zamknięta w swojej małej drewnianej klatce, ale nie mogłem też pozwolić, żeby leżała na pokładzie, ponieważ właśnie zaczęła raczkować i bałem się, że skończy tak samo tragicznie jak mangusta. Odbyłem naradę z głównym stewardem i wyjaśniłem, o co mi chodzi. Po chwili namysłu zniknął i wrócił z dużym dzieciennym kojcem, który zapewne jakaś kobieta, podróżująca z małym dzieckiem, zostawiła na statku. W duchu błogosławiłem ją za ten niezamierzony dobry uczynek. Kojec, ustawiony na pokładzie w cichym zacienionym miejscu, wyłożyłem kocami i umieściłem tam Sue, która uznała, że jest to świetna rozrywka, i po kilku dniach nauczyła się stać wyprostowana, trzymając się górnej barierki. Co prawda padała ciężko na swoją małą pupę, ilekroć statek mocniej się przechylił, ale potrafiła już stać wyprostowana przez kilka sekund i była bardzo z tego dumna. Na jednym z boków kojca była świetna zabawka: kilka rzędów różnobarwnych koralików, które można było przesuwac po pręcie w górę i w dół. Zachwycona tym Sue wiele godzin spędzała, bawiąc się nimi albo ssąc je z zapalem.

Swoim urokiem oczywiście podbiła całą załogę. Ci, którzy mieli wolny czas, stali wokół kojca, przemawiając do niej albo głaszcząc po tłustym brzuszku. Był to niezwykle widok, kiedy wielcy zarośnięci palacze, wyglądający, jakby nie mieli w sobie za grosz sentymentalizmu, pochylali się nad kojcem i gruchali do rozłożonej na miękkich kocach, ssającej palec małej szympanscy. Tego dnia, kiedy Sue po raz pierwszy przeszła sama trzy kroki, trzymając się prętów kojca, kilku ludzi z załogi, świadków tego niezwyklego wydarzenia, przybiegło, żeby mi o tym powiedzieć. Byli tak podnieceni, jakby Sue była ich własnym dzieckiem. Małpka tak ich oczarowała, iż jestem pewien, że gdybym o to poprosił, cała obsada maszynowni robiłaby dla niej na drutach śpioszki.

Również inne zwierzęta cieszyły się wielkim zainteresowaniem.

Wystarczyło, by jedna z małp zaziębiła się albo zaczęła kaszleć, a już wiadomość o tej katastrofie lotem błyskawicy obiegała statek i wkrótce marynarze przychodzili do mnie z cukrem czy innymi łakociami „dla tej chorej małpki”. Kucharz i jego pomocnicy zawsze zostawiali jakieś przysmaki dla swoich faworytów, do których oczywiście przede wszystkim należał George. Przyjmował te dary jako rzecz całkiem oczywistą i siedział w swojej klatce z królewską miną, biorąc łaskawie przez kraty wszystko, co mu podawano. Tylko raz podczas podróży zachował się niewłaściwie. Jednym z tych, którzy stale odwiedzali George’a, był radiooficer Sparks, który aby lepiej widzieć pawiana w mrocznym wnętrzu klatki, zakładał masywne okulary w rogowej oprawie. George był nimi zafascynowany i czekał tylko na sposobność, żeby je dokładnie zbadać. Pewnego dnia Sparks podszedł zbyt blisko do klatki, a wtedy w ułamku sekundy George wysunął rękę przez pręty i chwycił okulary. Wiele czasu zajęły mi namowy, żeby je oddał, ale trzeba przyznać, że obchodził się z nimi tak ostrożnie, iż kiedy je wreszcie oddał, były nietknięte.

W powrotnej drodze pogoda nam sprzyjała, morze było spokojne aż do dnia, kiedy znaleźliśmy się u wejścia do Zatoki Biskajskiej.

Tutaj morze było silnie wzburzone, padała mżawka, tak że od razu poczuliśmy bliskość Anglii. Dla nas te ostatnie dni były najcięższe, temperatura spadła, wiał silny lodowaty wiatr i hulał wśród klatek, a nasze zwierzęta trzęsły się z zimna. Gdyby teraz któraś z małp się zaziębiła, niewiele miałaby szans na wyzdrowienie. Kocami i plandekami owinęliśmy przednie ściany klatek, a małpy codziennie rano i wieczorem dostawały gorące mleko. Statek, przewalając się z boku na bok, opływał Land’s End, latarnię morską, która swym mruganiem dodawała nam otuchy podczas karmienia o północy i potem, kiedy wpłynęliśmy na Morze Irlandzkie. No, i wreszcie pewnego szarego wilgotnego ranka spostrzegliśmy połączane niekształtne ptaki na dachach budynków Unilever; dotarliśmy do Liverpoolu. Nasza podróż, ze wszystkimi kłopotami i troskami, była zakończona. Wkrótce mieliśmy przeżyć największą radość: mieliśmy być świadkami, jak nasze zwierzęta wyjdą ze swoich ciasnych klatek i odetchną pełną piersią po tylu miesiącach zamknięcia.

Wyładowywanie zwierząt ze statku zawsze jest bardzo trudne, ale wreszcie wszystkie klatki zostały ustawione na molo i mogliśmy zacząć je ładować na ciężarówki różnych ogrodów zoologicznych. Wszystkie angwantibo, pracowicie wędrujące wśród gałęzi swoich klatek, były przeznaczone dla londyńskiego zoo, George, szczerzący zęby przez pręty swojej klatki, i Sue, nadal robiąca pompki mimo hałasu i zamieszania, wraz z mandrylami, mangustą czarnonogą i wieloma ptakami Johna mieli zamieszkać w zoo w Paignton, w Devon. Koczkodany były przeznaczone dla nowej małpiarni w zoo w Chester, a resztę zwierząt miano rozdzielić między ogrodami zoologicznymi w Manchesterze i Bristolu.

Wreszcie ostatnia klatka została załadowana i ciężarówki ruszyły wśród drobnego zacinającego deszczu, wioząc zwierzęta ku nowemu życiu, a nas ku przygotowaniom do nowej wyprawy.